

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 1 (291) • ROK XXVI • STYCZEŃ 2020



CENA
ZDROWIA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Marek Skwara



Pomimo iż w powszechnej świadomości projektowanie domów jednorodzinnych wydaje się być mniej poważne od projektów wieżowców lub fabryk, jest w istocie bardzo skomplikowanym wyzwaniem dla architektów. To bardzo złożony proces, polegający na łączeniu przemyśleń i umiejętności architekta z potrzebami i poglądami zamawiającego projekt inwestora.

Szczegóły str. 18

fot. Julia Montewska



Reprezentacyjna rezydencja rodu Frankenbergów powstała w dolnośląskich Biestrzykowicach w XVIII wieku. Pałac wzniesiony pierwotnie w stylu barokowym przetrwał zarówno wojnę jak i trudny okres PRL. W całkowitą ruinę popadł stosunkowo niedawno.

Szczegóły str. 50

fot. Tomasz Bieniek



W ostatniej fazie II wojny światowej pod górnośląskimi miastami powstały setki schronów przeciwlotniczych, mających chronić ludność przemysłowego regionu przed alianckimi nalotami. Przez dekady zasypywane i zapomniane, dziś podziemne korytarze odsłaniają swoje sekrety dzięki miłośnikom fortyfikacji, którzy poszukują tych obiektów w terenie.

Szczegóły str. 52

fot. Galeria Bielska BWA



Od 1968 roku coroczna Bielska Jesień to impreza artystyczna poświęcona malarstwu i stanowiąca przekrój aktualnych polskich trendów w tej dyscyplinie. Podobnie jak co roku, ostatnia edycja tej imprezy wyłoniła utalentowanych twórców z kraju i regionu.

Szczegóły str. 74

Nr 1(291). Rok XXVI. STYCZEŃ 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

ANNA GAUDY-PIĄTEK Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNOŹEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskglt.pl
Nakład: 1800 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Katarzyna Lisowska* GLIWICCY NAUKOWCY STWORZYLI NOWY MODEL DO
BADAŃ NAD RAKIEM
6 *Jarosław Derejczyk* ZESTARZEĆ SIĘ ZDROWO NA ŚLĄSKU
10 *Eleonora Jozsko* KOŃSKIE ZDROWIE
13 *Andrzej Jarcewski* EKOLOGIA AKUSTYCZNA PERONU PÓLTOROWEGO
16 *Stefan Gierlotka* ŚLĄSCY MISJONARZE WERBIŚCI W INDONEZJI
18 *Marek Skwara* PROJEKTY INTYMNE
20 *Małgorzata Lichecka* CZASZKA W DOBRYCH RĘKACH
22 *Antoni Wilgusiewicz* LWÓW W ZBIORACH POLSKICH EDWARDA CHWALEWIKA
24 *Tomasz Pyzik* DROGA DO SACRUM. O WIERSZU ŚWIATŁO STANISŁAWA HORAKA
27 SALON SZTUK W KATOWICACH
28 *Zbigniew Lubowski* OPERETKOWE SMUTKI I RADOŚCI
30 *Ks. Henryk Pyka* NIEUGASZONA TĘSKNOTA ARTYSTY
48 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* NAJSTARSZE RĘKOPISY BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ
50 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W BIESTRZYKOWICACH
52 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* LSD JAK GRZYBÓW PO
DESZCZU
56 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* EKSTRAORDYNARYJNIE I EWALUACYJNIE
O LIMERYKACH

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 32 *Karol Chwastek* MALARZ HISTORII DOJMUJĄCEJ. ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM
GRZONDZIELEM
68 *Piotr Komorowski* EDEN
69 GALERIA: JOANNA STOGA, FOTOGRAFIA
74 *Magda Brzeska* BIELSKA JESIEŃ

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Paweł Lekszycki* DIOGENES Z SYNOPY PISZE LIST DO
WSPÓŁCZESNYCH – TRAKTAT NA CZASIE
14 *Paweł Lekszycki* WIERSZE
40 *Joanna Stoga* CZTERY PORY CZASU – SIEDEM RZEK
43 *Joanna Stoga* OKRUCHY

TEATR

- 44 *Grzegorz Ćwiertniewicz* TEATR JEST ŚWIĄTYNIĄ WYOBRAŹNI. ROZMOWA
Z TERESĄ SAWICKĄ, AKTORKĄ TEATRALNĄ I FILMOWĄ
47 *Wojciech Lipowski* 13. PIĘTRO SUPERBOHATERA

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* WIESZOWA – CHECHŁO – NAKŁO
37 *Krzysztof Korwin-Piotrowski* MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* OJKOFobia – CZY NAM ZAGRAŻA?
39 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* CZARODZIEJSKI FLET AGNIESZKI

KSIĄŻKI

- 58 *Julia Słomska* TAM, GDZIE WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO
59 *Elżbieta Dutka* ŚWIAT NIEUPORZĄDKOWANY I OBRONA METAFORY
60 *Andrzej Jarcewski* STUDIUM IDEOWEGO ZNIEWOLENIA
62 *Andrzej Juchniewicz* KRUCHE, ZEPSUTE I NIEPOTRZEBNE PIĘKNO
73 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

64 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Katarzyna Fober "#zerotrosk" (głina ceramiczna, drewno, kredki).

Tył okładki:

Joanna Stoga, fotografia, cykl Qi – Tulipany

Od Redaktora!

Podczas 16. posiedzenia Sejmiku Województwa Śląskiego VI kadencji w dniu 16.12.2019, w obecności znakomitych przedstawicieli Sejmiku Rzeczypospolitej: pani wicemarszałek Senatu RP Gabrieli Morawskiej Staneckiej (SLD), posłów Rafała Adamczyka (SLD), Michała Gramatyki (KO), Przemysława Koperskiego (SLD) i Moniki Rosy (KO), pani radna z Częstochowy Marta Salwierak Przewodnicząca Klubu Radnych Koalicji Obywatelskiej w Sejmiku Województwa Śląskiego, członkini Komisji Doradźnej Sejmiku: „Kapituły Odznaki Honorowej za Zasługi dla Województwa Śląskiego” oraz Komisji Współpracy Zagranicznej i Integracji Europejskiej zgłosiła wniosek o zmianę zaproponowanego porządku obrad poprzez usunięcie z projektowanego porządku posiedzenia Sejmiku punktu dotyczącego wniosku o zmianę dotychczasowej nazwy wojewódzkiej instytucji kultury w jej dotychczasowym brzmieniu: Regionalny Instytut Kultury (RIK) na: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańtego. Trzeba dodać, że RIK w swoim dorobku ma wiele bardzo cennych i wartościowych przedsięwzięć edukacyjnych, organizacyjnych itp.

Pani wicemarszałek Senatu i postowie w dalszej części posiedzenia także wspierali tę propozycję i uzasadniali swój sprzeciw wobec proponowanych zmian w nazwie instytucji oraz w Statucie RIK. Należy z uznaniem przyjąć obecność na posiedzeniu Sejmiku oraz wielkie zainteresowanie sprawami kultury w naszym regionie grona przedstawicieli władz ustawodawczych naszego państwa i mieć nadzieję, że nie jest ono jedynie incydentalną inicjatywą polityczną grupy senatorów i posłów, **ale także w przyszłości skutkować będzie stałą troską o wsparcie poprzez budżet naszego państwa wszystkich tych inicjatyw i przedsięwzięć, które służyć będą rozwojowi kapitału kulturowego naszego województwa.**

Propozycja zmian w porządku obrad Sejmiku także nie jest niczym nadzwyczajnym, wielokrotnie była i pewnie będzie jeszcze zgłaszana podczas kolejnych posiedzeń.

Uzasadniając tę propozycję, pani radna Marta Salwierak sięgnęła po ważne argu-

menty, mówiąc, iż Klub Radnych KO sprzeciwia się owej zmianie, ponieważ, cyt.: *bogactwem województwa śląskiego jest właśnie wielokulturowość naszego regionu, o której stanowią mieszkańcy naszego regionu, czyli Ślązacy, mieszkańcy Zagłębia, Śląska Cieszyńskiego, Żywiecczyny, Podbeskidzia, Ziemi Częstochowskiej czy Jury. Nasza różnorodność regionalna tworzy bogactwo województwa śląskiego...* Tak rozumiana wielokulturowość niewątpliwie stanowi istotną wartość i cenny zasób kapitału kulturowego społeczeństwa naszego województwa, naszego zróżnicowanego kulturowo Regionu.

Jednakże konkluzja, jaką sformułowała pani przewodnicząca, musi budzić zdumienie, cyt.: *Regionalny Instytut Kultury to wojewódzka jednostka kultury, a nie państwowa, dlatego żadnej myśli państwowej, polskiej nie widzimy w naszym regionie* (podkreślenie moje). Tak uzasadniając swój wniosek, stworzyła pani radna, absolwentka Uniwersytetu im. Jana Długosza w Częstochowie, pretekst do celnej riposty, jaką z należytą elegancją przedstawił w swym krótkim wystąpieniu pan radny Zbigniew Przedpełski (PIS). Negowanie w sali obrad Sejmiku Województwa Śląskiego obecności *polskiej myśli państwowej*, w sali ozdobionej popiersiami m.in. takich postaci, jak: Pawła Stalmacha, Józefa Lompy, Karola Miarki, Juliusza Ligonja jest nieco ekstrawagancką koncepcją intelektualną, pomijając fakt, iż pani radna zapomniała zapewne, że jako radna już dwukrotnie składała ślubowanie, w którym zawarta jest fraza: *„Uroczyście ślubuję rzetelnie i sumiennie wykonywać obowiązki wobec Narodu Polskiego, strzec suwerenności i interesów Państwa Polskiego...* (podkreślenie moje). Czyżby chciała spełniać tę powinność bezmyślnie? Czy była to tylko niezręczność, zaciętrzewienie polemiczne, niezbyt szczęśliwy chwyt retoryczny w obronie obiektywnego zjawiska, jakim jest zróżnicowanie kulturowe regionów w całej Polsce, nie tylko w województwie śląskim? Pułapka intelektualna przeciwstawiająca polskość – regionowi, może dać pretekst do podtrzymania negatywnych opinii o Śląsku i Ślązakach,

jakim zapewne chciała zaprzeczyć i zwalczać pani radna.

Równie wielkie zdumienie musi budzić nieoczekiwana decyzja pani dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu dr hab. Moniki Ożóg o cyt.: „Zmianie organizacji pracy w Muzeum Czynu Powstańczego” w Leśnicy pod Górą św. Anny. Zmianie dokonywanej w szczególnym okresie czczenia pamięci powstańców, uczestników trzech Powstań Śląskich. Modernizacji placówki polegającej m.in. na rozwiązaniu umowy o pracę z całym dwuosobowym personelem Muzeum (a jakże, za porozumieniem stron), podporządkowaniem Muzeum – swojemu Kierownikowi Działu Przyrody (sic!), no i zaplanowaniu wielu atrakcyjnych działań w roku 2020 (np. złożeniu wniosku do MKiDN, prezentacji wystawy czasowej, organizacji sesji historycznej, organizacji Nocy Muzeów w MCzP, itp., itd.) oraz włączeniu w cykl obchodów rocznicy III Powstania Śląskiego wszystkich wydarzeń, które będą się odbywać w placówce w 2021 roku.

Wszystko to po zapewne koniecznej i uzasadnionej modernizacji i reorganizacji Muzeum Czynu Powstańczego (tyle wiemy z opublikowanego w internecie Oświadczenia pani dyrektor i odpowiedzi udzielonej na piśmie Prezes zarządu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Polski Śląsk w Opolu).

W 1999 roku, nieżyjąca już dziś Henryka Wolna van Das zaalarmowała naszych czytelników udokumentowanym, rzetelnym artykułem w miesięczniku „Śląsk” o projektowanej wówczas także „reorganizacji” owego Muzeum. Będziemy więc się bacznie przyglądać tendencjom modernizacyjnym i reorganizacyjnym oraz efektom tych działań. Prawie 21 lat temu ocalono to Muzeum. Czy dziś, w stulecie Powstań Śląskich nic mu już nie grozi?

Być może nieobecność polskiej myśli państwowej jest nie tylko w województwie śląskim nieopatrzenie nieszczyśliwie zwerbalizowanym postulatem. Czyżby w województwie opolskim także rodziła się taka idea modernizacyjna?

Diogenes z Synopy pisze list do współczesnych – traktat na Czasie

Tak prędko minęła niedziela,
jakby jej wcale nie było, i zamiast na nią,
lepiej już czekać na najbliższą sobotę,
nie zapominając o piątku – jej umęczonym
heroldzie.
Po co się jednak spieszyć?
Dokąd tak pędzić przez poniedziałki i środy,
burzliwe wtorki, na skróty?
O co kłócić się w czwartki?
Po co zamartwiać się cudzym złotem,
albo zazdrościć możliwym dwóm setkom koni
pod zgrabną maską zbyt drogiej fury?
Niech śmieją się z nas i wyszydzą,
wytykając palcami tego, kogo uznają za głupca,
panowie świata,
bardziej śmieszni i przeszli niż mgnienie oka.
Do nich należą drogie zegarki:
Rolexy, Casio, Tissoty,
my mamy Czas.

Paweł Lekszycki, ur. 1976. Nauczyciel, poeta. Był redaktorem naczelnym Magazynu Literackiego „Kursywa”, współpracował z internetowym dwutygodnikiem kulturalnym „artPapier”. Opublikował tomy wierszy: *Ten i Tamten* (wraz z Pawłem Sarną, 2000), *wiersze przygodowe i dokumentalne* (2001), *Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie* (2005), *Wiersze przebrane* (2010) oraz książkę krytyczno-literacką *Grupa Na Dziko. Socjologia i poetyka zjawiska* (2001). Publikował w pismach, m.in. w: „FA-arcie”, „Lampie”, „Opcjach”, „Toposie”, „Kresach”, „Akcencie”, „Nowej Polsce”, „Śląsku”, „Gazecie Wyborczej”, „Szafie” i antologiach literackich: *Antologii nowej poezji polskiej*, *Tekstyliach* i *Martwych punktach*. Jego wiersze były tłumaczone na języki niemiecki, słoweński, słowacki, czeski i rosyjski.

Gliwiccy naukowcy stworzyli nowy model do badań nad rakiem

KATARZYNA LISOWSKA

Współczesna medycyna nie polega na aplikowaniu cudownie działających ziółek. Zatwierdzenie i stosowanie każdej procedury medycznej i każdego leku poprzedzone jest wieloletnimi badaniami naukowymi. To nie zawsze wygląda przyjemnie i nie wszystko tam nazywa się ładnie. Ale bez tej pracy pozostawalibyśmy nadal na etapie cudownych ziółek (przy całym szacunku dla ziołolecznictwa, stosowanego tam, gdzie przynosi dobre efekty). Dlatego prezentujemy niektóre ważne osiągnięcia Instytutu Onkologii w Gliwicach, zdając sobie sprawę, że samo przeczytanie pewnych fragmentów wymaga pewnej... ostrożności. /Red./

Rak jajnika jest stosunkowo rzadkim nowotworem, jeżeli – pod względem częstości – porównywać go do raka piersi czy raka płuca. Jest jednak trudny w leczeniu. Mówi się o raku jajnika, że jest cichym zabójcą. Długo bowiem nie daje żadnych objawów, rozwijając się swobodnie w obszernej jamie ciała. Kiedy objawy już się pojawiają, są one mało specyficzne (np. uczucie ciężkości w dole brzucha, wzdęcia, zaparcia) i dlatego często bywają mylone z innymi pospolitymi schorzeniami. To wszystko opóźnia diagnozę i rak jajnika jest najczęściej wykrywany w stadium zaawansowanym. Wtedy szanse na całkowite wyleczenie znacznie maleją. Niestety, mimo długoletnich badań zakrojonych na dużą skalę, wciąż

nie udało się opracować testów przesiewowych (takich jak np. mammografia stosowana do wykrywania raka piersi), które pozwoliłyby na wczesną diagnostykę tego nowotworu.

Rak jajnika to w ogóle dosyć tajemnicza choroba. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat naukowcy zaczęli kojarzyć różne wcześniejsze obserwacje i doszli do wniosku, że nowotwór ten nie stanowi jednolitej jednostki chorobowej. Wygląda na to, że 'rak jajnika' jest to w rzeczywistości zbiorcza nazwa, pod którą kryją się różne inwazyjne raki zlokalizowane w obrębie miednicy, które wywodzą się z różnych tkanek i są całkowicie odrębne pod względem histologicznym i epidemiologicznym. Dzisiaj mamy coraz więcej dowodów, że to, co nazywamy rakiem jajnika, tylko w części przypadków wywodzi się, tak jak wcześniej uważano – z nabłonka pokrywającego jajnik.

Najgroźniejszy – tzw. niskozróżnicowany rak surowiczy – wywodzi się bowiem w większości przypadków z nabłonka jajowodu, a raki endometrioidalne i jasnokomórkowe – pochodzą z komórek z błony śluzowej macicy (endometrium). Te komórki podczas menstruacji mogą się przedostać w górę jajowodu i zagnieździć na powierzchni jajnika, a później, pod wpływem lokalnego środowiska (hormony, czynniki wzrostowe, itp. obecne w jajniku), mogą ulec transformacji nowotworowej (zezłośliwieniu). Są to zaskakujące dane, które każą całko-

wicie zrewidować wcześniejsze pojmowanie choroby określanej jako rak jajnika. I pokazują, jak bardzo potrzebne są ściśle zdefiniowane modele komórkowe do badań nad każdym typem histologicznym tego nowotworu. Tymczasem, od kilkudziesięciu lat naukowcy najczęściej prowadzą badania na jednej ulubionej linii komórkowej, nazwanej SKOV3, która ma niejasne pochodzenie, ale według współczesnych analiz odpowiada raczej rakowi jasnokomórkowemu. Brak natomiast dobrego modelu do badań nad najczęstszym i najgroźniejszym podtypem, jakim jest niskozróżnicowany rak surowiczy. Z pomocą w rozwiązywaniu tego problemu przyszedł zespół naukowców z Instytutu Onkologii w Gliwicach, który wyprowadził nową linię komórkową niskozróżnicowanego raka surowiczego.

Tu trzeba wyjaśnić, że większość badań w onkologii doświadczalnej zaczyna się od eksperymentów na komórkach nowotworowych, hodowanych w inkubatorze (tzw. hodowla *in vitro*). Pierwsze hodowle komórek nowotworowych otrzymano już w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku w laboratoriach w USA. Przykładem może być słynna linia *Hela*, wywodząca się z komórek pobranych od 31-letniej czarnoskórej pacjentki **Henrietty Lacks**, chorej na raka szyjki macicy. Pacjentka ta zmarła w 1951 roku, a komórki *Hela* żyją do dzisiaj i są dalej powszechnie wykorzystywane w wielu laboratoriach naukowych. Obecnie, oprócz linii *Hela*, naukowcy mają do dyspozycji wiele innych linii komórkowych, wywodzących się z nowotworów różnych narządów. Linie te można pozyskać ze specjalnych repozytoriów, takich jak np. European Collection of Authenticated Cell Cultures (ECACC). Takie komórki hoduje się na specjalnej pożywce w inkubatorze i można badać ich biologię czy testować na nich różne nowe substancje chemiczne – potencjalne leki. Jeżeli substancja okaże się skuteczna, można przejść do testów na zwierzętach i wreszcie do zastosowania nowego leku w leczeniu ludzi.

Pacjentka, od której pozyskaliśmy komórki nowotworowe, zmarła w 2011 roku. W zaawansowanych stadiach raka jajnika często pojawia się wodobrzusze, czyli płyn wysiękowy w jamie otrzewnowej, który powoduje znaczny dyskomfort i wymaga usunięcia. W płynie tym pływają żywe komórki nowotworowe

fot. Andrzej Pieczyrak



Alexander Cortez, doktorant w Centrum Badań Translacyjnych i Biologii Molekularnej Nowotworów w Instytucie Onkologii

złuszczające się z powierzchni guza. U naszej pacjentki w jamie otrzewnowej zebrało się aż kilka litrów płynu, który został usunięty. Część tego płynu została przekazana do działu naukowego. Płyn został odwirowany, a komórki obecne w otrzymanym osadzie zostały zbada- ne przez patologa. Charakteryzowały się one obecnością wielkich jąder komórkowych i małą ilością cytoplazmy, tworzyły też charakterystyczne skupiska. Już po samym wyglądzie patolog ocenił, że są to złośliwe komórki rakowe. Zostały one przeniesione do specjalnej pożywki i umieszczone w inkubatorze. Mieliśmy materiał komórkowy od ośmiu pacjentek, ale tylko w tym jednym przypadku udało nam się wyprzewodzić stabilną linię komórkową, która mnoży się i żyje do dzisiaj. Nazwaliśmy tę linię OVPA8 (*ovarian cancer patient 8*), ponieważ była to ósma pacjentka, od której uzyskaliśmy materiał komórkowy.

Kiedy linia była już ustalona, rozpoczęliśmy badania genetyczne. Od razu podejrzewaliśmy, że ta pacjentka musiała mieć dziedziczną mutację w genie BRCA1. Zachorowała w wieku 41 lat, czyli bardzo młodo, co jest ewidentnym sygnałem, że mamy do czynienia z dziedziczną predyspozycją. W pierwszej fazie próbowaliśmy zbadać prostym testem PCR (reakcja łańcuchowa polimerazy) te mutacje, które najczęściej występują w polskiej populacji, ale otrzymaliśmy wynik negatywny. Na szczęście w naszym Instytucie od jakiegoś czasu dysponujemy techniką sekwencjonowania nowej generacji (NGS). Po wykonaniu sekwencjonowania NGS okazało się, że pacjentka jednak miała mutację w genie BRCA1, tylko w nietypowym miejscu.

Cechą charakterystyczną niskozróżnicowanego raka surowiczego jajnika jest obecność mutacji w genie TP53, który jest nazywany strażnikiem genomu. Gen TP53 koduje białko p53, które nie pozwala się dzielić i mnożyć komórkom, które mają uszkodzone geny, co może prowadzić do rozwoju nowotworu. Kiedy jednak w genie TP53 pojawiają się mutacje, traci on swoje funkcje kontrolne. Przeprowadziliśmy więc sekwencjonowanie genu TP53 i znaleźliśmy w nim mutację. Widząc te zaburzenia w genach BRCA i TP53, uzyskałam dodatkowe potwierdzenie, że mamy do czynienia z niskozróżnicowanym rakiem surowiczym jajnika.

Następnie wykonaliśmy analizę cytogenetyczną – czyli mikroskopową ocenę liczby i budowy chromosomów. Potwierdziło się to, co wiadomo o tego typu rakach – obserwowaliśmy bardzo duże zaburzenia chromosomowe i nietypową liczbę chromosomów. Przykładowo, w dużej części komórek występowały cztery kopie chromosomu 12,

a chromosomu 10 nie było w ogóle! Na tym etapie choroby pacjentka nie reagowała już na leczenie pochodnymi platyny. Potwierdziliśmy to w testach *in vitro* – komórki OVPA8 wykazywały oporność na wysokie stężenia cisplatyny. Testowaliśmy także na tej linii komórkowej nową substancję otrzymaną przez polską firmę farmaceutyczną Celonpharma z Łomianek – potencjalny inhibitor receptora dla czynnika wzrostu fibroblastów (FGFR). Polski inhibitor wykazywał większą aktywność przeciwnowotworową w odniesieniu do komórek raka jajnika niż używany przez nas – jako kontrolny – inhibitor firmy zagranicznej. Badania te były prowadzone w ramach projektu CELONKO finansowanego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Za pomocą specjalnych testów *in vitro*, oceniliśmy różne cechy funkcjonalne komórek OVPA8 – ich ruchliwość, adhezję do podłoża, tempo podziałów komórkowych. Są to cechy, które decydują o agresywności nowotworu.

Wyniki naszych badań opisaliśmy w publikacji, która ukazała się w zeszłym roku w międzynarodowym czasopiśmie naukowym „International Journal of Molecular Sciences”. Po tej publikacji zwróciliśmy się do nas różne laboratoria badawcze z prośbą o udostępnienie komórek OVPA8. Zostały one wysłane do badaczy z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi i do ośrodka badawczego w Kolonii, w Niemczech. A największym sukcesem jest przekazanie tych komórek do europejskiej kolekcji kultur komórkowych ECACC oraz do niemieckiego repozytorium DSMZ (Deutsche Sammlung von Mikroorganismen und Zellkulturen in Braunschweig). Dzięki temu będą one dostępne dla całej społeczności naukowej, pracującej nad rakiem jajnika.

Nasze osiągnięcie zostało wyróżnione w konkursie Złoty Skalpel, organizowanym przez wydawnictwo medyczne „Puls Medycyny” oraz firmę farmaceutyczną Polpharma.

W tym samym konkursie zostały także wyróżnione dwa inne projekty naukowców z naszego Instytutu. Pierwszy dotyczy opracowania testu genetycznego pozwalającego wykrywać we krwi pacjentów cząsteczki wirusa brodawczaka HPV. Jeżeli pacjent choruje na nowotwór, w którego komórkach jest obecny wirus HPV, to można takie badanie wykorzystać do monitorowania przebiegu leczenia. W trakcie skutecznej terapii obserwujemy zanikanie wirusa we krwi pacjenta, natomiast ponowne pojawienie się wirusa świadczy o tym, że za chwilę nastąpi nawrót choroby. Taki test opracowuje zespół złożony z prof. Tomasza Rutkowskiego i dr Agnieszki Mazurek. Test jest już stosowany u pacjentów w naszym Instytucie i jest przygotowywany do komercjalizacji.

Kolejne wyróżnienie, jakie odebrał dyrektor Instytutu Onkologii, zostało przyznane za utworzenie Centrum Radiochirurgii Nowotworów – pracowni, w której znalazł się najnowszej generacji aparat do radioterapii. Ten aparat pozwala na chirurgiczną precyzją usuwać ogniska przerzutowe bez uszkodzenia ważnych narządów w sąsiedztwie guza. Można więc powiedzieć, że gliwicki Instytut Onkologii został wyróżniony w trzech kluczowych obszarach: badań podstawowych nad biologią nowotworów, prac wdrożeniowych, które pozwalają wyniki badań doświadczaćalnych przenieść bezpośrednio do kliniki oraz rozwijania infrastruktury medycznej, aby móc zaoferować pacjentom leczenie za pomocą najnowszych metod terapeutycznych. ■



Od lewej stoją: doktoranci – mgr Patrycja Tudrej i mgr Alexander Cortez, dr Agnieszka Mazurek, prof. Krzysztof Składowski, dyrektor Instytutu Onkologii w Gliwicach, prof. Katarzyna Lisowska, dr Katarzyna Kujawa i prof. Tomasz Rutkowski, dyrektor ds. naukowych

Zestarzeć się zdrowo na Śląsku

JAROSŁAW DEREJCZYK

Przez nadchodzące ćwierćwiecze będziemy świadkami nieznanego historii ludzkości wzrostu populacji osób po 65. roku życia. Już obecnie w wielu miastach województwa śląskiego ponad 25% mieszkańców przekroczyło tę granicę wieku. W Polsce w ciągu ostatnich 30 lat liczba osób powyżej 75. roku życia podwoiła się, natomiast powyżej 80. – potroiła. Szybko rosnąca populacja osób starszych stale zwiększa zapotrzebowanie na wyspecjalizowane w tym zakresie kadry socjalne i medyczne. Wydatki na opiekę zdrowotną nad osobą po 80. roku życia są cztery razy wyższe niż koszty leczenia statystycznego czterdziestolatka, co nie jest winą seniora, lecz sukcesem cywilizacji, a jednak fakty te – powierzchownie odczytywane – bywają rozumiane wyłącznie jako koszt. Takim zagadnieniom poświęcony jest niniejszy artykuł – jako próba oswojenia tematu z bliższej perspektywy.

Dwa słowa o geriatrii

Geriatry (od gr. *gerontos* – starzec) jest nową dziedziną medycyny, zajmującą się zapobieganiem i leczeniem chorób spotykanych u osób starszych. Zdefiniował ją w Ameryce, w 1909 r., austriacki lekarz Ignatz Leo Nascher. Geriatry jest dziedziną interny, nadspecjalizacją. Dodatkowo czerpie ona z genetyki, biologii komórki, patofizjologii, psychiatrii, ortopedii i neurologii. Posługuje się warsztatem skal, testów, wiedzą z zakresu psychoneurologii, neurofarmakologii, rehabilitacji, korzysta z terapii zajęciowej, terapii dietetycznej i odżywczej, inicjuje interwencje socjalne, a wszystko po to, by choremu dostarczyć najskuteczniejszą pomoc poprzez stawianie diagnoz, planowanie leczenia i rehabilitacji, dobór sprzętu wspomagającego aktywność i ułożenie planu opieki.

Różnorodność populacji, którą zajmuje się geriatry, i towarzysząca chorobom wieku podeszłego skąpoobjawowość wymaga indywidualnego i specyficznego podejścia do każdego lezonego chorego. Geriatry – podobnie jak pediatria – ma odrębności i specyfikę postępowania ze swoimi podopiecznymi, co różni te dziedziny od **mediatrii** – medycyny wieku średniego.

Geriatry, będąc stosunkowo młodą dziedziną medycyny, przekonuje do siebie osoby, które nie szukają radykalnych i szybkich efektów leczniczych. Wyróżnia się tym, że

– korzystając ze znajomości mechanizmów i przyczyn zmian w stanie emocjonalnym i poznawczym u osób starszych – próbuje je tłumaczyć zmianami zachodzącymi w narządach, a szczególnie w mózgu. To, co dziwi opiekunów osób starszych – spadek aktywności, osłabienie zmysłów, spowolnienie chodu, tendencje do retrospekcji, narzekanie, gorsze uczenie się nowości, zapominanie, inne preferencje zachowań, zmieniające się gusty i podejmowane wybory – to dla geriatry badającego seniora są stany przewi-



Pani Tekla Juniewicz – najstarsza Polka – obchodząca swoje 113. urodziny w roku 2019; materiał autora, udostępniony za zgodą osoby fotografowanej

dywalne i powtarzalne w perspektywie nieodwracalności cykli zmian biologicznych i chorobowych, które opisuje tzw. **indywidualna trajektoria starzenia**. Określenie, czy ta trajektoria wyprzedza PESEL, czy zgadza się z nim, czy też pozostawia go z tyłu stanowi właśnie istotę geriatry.

Zrozumieć starość

Inne normy zachowań niż u osób młodych, wynikające z procesów starzenia się czy ze zmian chorobowych, pozwalają zrozumieć dobry odbiór i akceptację tzw. telewizji senioralnej, a także rosnącą oglądalność przez osoby starsze takich programów, jak „Sanatorium miłości”, „Rolnik szuka żony”, „Ojciec Mateusz”, „The Voice Senior” czy „Jaka to melodia”. Są to wideoterapie zajęciowe dla dużej grupy starszych odbiorców, mających naturalne zapotrzebowanie na tego typu pozytywnie aktywizujące produkcje. Wynika to często ze zmieniającej się już rezerwy poznawczej.

Przy szybkiej próbie oceny stanu poznawczego – prowadzonej na podstawie rozmowy

z osobą starszą – tym, co może zwrócić uwagę opiekuna, jest przede wszystkim sztywny zestaw pojęć, sekwencyjne wytwarzanie tych samych opowieści, spadek aktywności, wycofanie i bierność. W ocenie geriatrycznej, przy użyciu zestawów testów, kwalifikuje się badaną osobę do jednej z trzech kategorii starzenia – przyspieszonego, normalnego bądź spowolnionego. Rozmowę ze sprawną poznawczo osobą starszą cechuje używanie przez nią świeżo zasłyszanych nazw własnych, bogaty słownik pojęciowy, manifestowana

aktywność i chęć do podejmowania nowych zadań. W tej grupie udaje się wyróżnić kategorię szczególną. Należą do niej osoby żyjące ponad sto lat w dobrym zdrowiu. One to właśnie stanowią przykład pozwalający zrozumieć rolę genów w utrzymaniu dobrego zdrowia i nieuleganiu chorobom (tolerancja na choroby). Są to superstulatkowie, czyli osoby, które przekroczyły 110. rok życia.

Najstarsza Polka, pani Tekla Juniewicz, 10 czerwca 2019 r. skończyła 113 lat i żyje na Śląsku. Potrafi używać w rozmowie autoironii, ma zdolność do ripostowania w dyskusji, utrzymuje poczucie humoru, rozpoznaje znane wcześniej osoby, celnie określa swoje oczekiwania, odnoszące się do jej obecnego okresu życia. W codziennym funkcjonowaniu pomagają jej wnuczki i liczne grono przyjaciół.

– wy z osobą starszą – tym, co może zwrócić uwagę opiekuna, jest przede wszystkim sztywny zestaw pojęć, sekwencyjne wytwarzanie tych samych opowieści, spadek aktywności, wycofanie i bierność. W ocenie geriatrycznej, przy użyciu zestawów testów, kwalifikuje się badaną osobę do jednej z trzech kategorii starzenia – przyspieszonego, normalnego bądź spowolnionego. Rozmowę ze sprawną poznawczo osobą starszą cechuje używanie przez nią świeżo zasłyszanych nazw własnych, bogaty słownik pojęciowy, manifestowana

Śląsk w awangardzie

Pierwszy w Polsce szpitalny oddział geriatryczny utworzono w roku 1961 w katowickiej dzielnicy Szopienice, w kompleksie budynków szpitala powstałego w 1892 r. Obiekt ten był wielokrotnie przebudowywany i zmieniany organizacyjnie. W roku 1998 powołano tu Szpital Geriatryczny, w którego nazwie (z inicjatywy chorych) od 2006 r. pojawił się patron – Jan Paweł II. Od lat powojennych do roku 2008 ośrodek ten był placówką publiczną, dysponującą czterdziestoma łóżkami oraz własną bazą radiologiczną, laboratoryjną i licznymi przychodniami specjalistycznymi, które – skupione razem w jednym miejscu – wspomagały diagnostykę osób starszych. Pomysłodawczynią założenia oddziału geriatrycznego na początku lat sześćdziesiątych minionego stulecia była dr n. med. Bogna Żakowska-Wachelko, lekarz geriatry i gerontolog z Katowic.

W roku 2008, decyzją katowickiej Rady

Miejskiej, szopienicki szpital został sprywatyzowany i rozbudowany, dzięki czemu zwiększył do 90 bazę łóżkową. Obecnie szpital prowadzi spółka z udziałem podmiotu prywatnego EMC SA i miasta Katowice. W oddziale finansowanym ze środków publicznych są 44 łóżka, na których leczy się rocznie ok. 1600 chorych geriatrycznych. W szpitalu pracuje zespół doświadczonych geriatrów, rehabilitantów i psychologów. Szpital dysponuje też Centrum Badawczo-Rozwojowym, zbudowanym i uruchomionym w 2015 r. W szpitalu, przy wykorzystaniu geriatrycznej kadry pielęgniarskiej i lekarskiej, prowadzone są również dzienne formy opieki. Na bazie doświadczeń szopienickiej placówki – w województwie śląskim i w całym kraju powstawały kolejne oddziały geriatryczne o podobnym wzorcu opieki. Pierwsze łóżka geriatryczne w strukturze Śląskiej Akademii Medycznej powstały w 1999 r., w Klinice Geriatrii i Chorób Układu Krążenia. Kierownikami Kliniki Geriatrii byli kolejno profesorowie Eugeniusz Fojt, Adam Misiewicz, a obecnie od 2012 r. jest nim prof. Jan Szewieczek.

W 2018 r. na terenie województwa śląskiego działało 13 oddziałów geriatrycznych z 345 łóżkami i 18 poradniami geriatrycznymi, które miały kontrakt z NFZ. Pracuje tu 65 lekarzy geriatrów. I chociaż województwo śląskie ma w kraju największą liczbę zarówno poradni, jak i oddziałów oraz specjalistów z geriatrii przypadających na jednego mieszkańca, to w konfrontacji z normami europejskimi, które zakładają 20 łóżek geriatrycznych na 100 tys. mieszkańców, jest to zdecydowanie za mało. Zgodnie z tymi normami, w województwie śląskim podobnych placówek powinno być tyle, by w zasobach pojawiło się 912 łóżek, rozlokowanych również w takich miejscach, gdzie obecnie w ogóle nie ma bazy geriatrycznej. Liczba 912 łóżek to tyle, ile jest ich w sumie w całym kraju. Podobnie – liczba geriatrów powinna wzrosnąć w Polsce do 1500 wobec 500 osób po specjalizacji, zarejestrowanych obecnie. W Szwecji, w samym tylko Sztokholmie, w oddziałach geriatrycznych dostępnych jest ok. 1000 łóżek.

Szacunek dla starszych

Podstawowy cel geriatrii, którym jest zachowanie maksymalnej sprawności u osób z koncentracją licznych chorób przewlekłych, był przez minionych 30 lat znany i rozumiany przez kierowników i dyrektorów szpitali, którzy powoływali w ramach swoich zasobów oddziały geriatryczne. Nie do przecenienia jest również fakt, iż przyjazne nastawienie, jakie obserwowaliśmy w województwie śląskim dla rozwoju geriatrii wynika z nieukrywanego szacunku do osób starszych wśród mieszkańców regionu. Ten szacunek ma szczególnie na Śląsku głębokie korzenie rodzinne i społeczne. Poszaniec względem starszej matki, jako osoby o kluczowej roli dla rodziny i ochraniającej przez dzieci, wywodzi się na Śląsku z dużo wyższej przeżywalności kobiet i misji, jaką



Wizyta lekarska w Oddziale Geriatrycznym w Katowicach-Szopienicach, rok 1973. W środku przy chorym (ze słuchawkami w dłoni) dr Bogna Żakowska-Wachelko; archiwum autora

pełniły w swoich rodzinach pod nieobecność mężów, często powoływanych do służby w oddziałach różnych armii na frontach wojen lub wcześniej umierających na skutek ciężkiej pracy w kopalniach czy hutach.

Im jesteśmy starsi, tym odsetek osób wolnych od chorób jest mniejszy, stanowiąc promile w grupie stułatków. Geny i wpływy środowiskowe są odpowiedzialne za indywidualny wynik bilansu zdrowia, który coraz częściej ujawnia wśród nas ludzi długowiecznych, a za takich uważamy osoby powyżej 90. roku życia. Dzięki postępowi medycznemu udaje się identyfikować kolejne geny związane z wydłużaniem średniej długości życia. Rośnie również liczba osób dożywających starości zaawansowanej i osób długowiecznych. Prognoza opisująca populację polskich 100-latków w roku 2050 mówi już o grupie 60 000 osób.

Zapobieganie zbędnej hospitalizacji i instytucjonalizacji (przeprowadzce pacjenta do zakładu całodobowej opieki) to też cele geriatrii. Warunkiem, jaki wiąże się z satysfakcją z pracy z osobami o takim profilu potrzeb, jest wiedza o mechanizmach starzenia, którą lekarz uzyskuje w trakcie edukacji na studiach i podczas specjalizacji, a jeszcze bardziej – wyobraźnia i wrażliwość, pozwalające odpowiedzieć na liczne potrzeby terapeutyczne i psychospołeczne, wynikające ze starzenia mózgu i narządu ruchu w tej grupie osób. Problemem okazuje się niedobór wiedzy, związany z opóźnieniem wprowadzenia geriatrii do programów nauczania na wydziałach lekarskich. Stało się to dopiero trzy lata temu!

Kluczem skutecznej pomocy medycznej dla seniorów jest praca wielu osób, czyli zespołu geriatrycznego, przeprowadzającego ocenę osoby starszej. Bez wymiany informacji na temat podopiecznego między lekarzem, pielęgniarką, opiekunem, psychologiem i rehabilitantem nie można mówić o podejściu geriatrycznym. Podobnie – wykonanie licznych, kosztownych procedur zabiegowych bez oceny stanu psychoneurologicznego i funkcjonalnego, a także bez

planu opieki poszpitalnej najczęściej przekreśla efekty zabiegu, gdy tymczasem wystarczy sprawdzić, czy chory widzi, słyszy, czyta ze zrozumieniem, czy potrafi samodzielnie rozłożyć i zażywać leki, i czy chodzi po pokoju bez ryzyka upadku. Jeżeli bywa inaczej, jest to prosty znak, że chory wymaga przede wszystkim konsultacji nie chirurgicznej, ale właśnie geriatrycznej. Najczęściej takiej nie otrzymuje, bo lekarze różnych specjalności nie mają wiedzy geriatrycznej i nie widzą takiego problemu, a z grupy kilkuset lekarzy po specjalizacji z geriatrii połowa nie pracuje w polskiej publicznej służbie zdrowia.

Zespół słabości

Geriatrzy widzą zapotrzebowanie na swoją obecność w prywatnej służbie zdrowia, do której zapraszają ich sami chorzy i ich opiekunowie, poszukujący porad geriatrycznych. Z drugiej strony decyzjami płatnika, czyli NFZ i kolejnych szefów resortu zdrowia, specjaliści tej branży zostali wyproszeni z publicznej służby zdrowia, w której za ocenę geriatryczną, wykonywanie testów psychologicznych podczas wizyt, diagnozowanie otępienia, majaczenia – czy depresji w podeszłym wieku – po prostu nie zapewniono w minionej dekadzie finansowania.

Tymczasem wśród osób starszych, przyjmowanych do szpitali w trybie ostrym, połowa cierpi na sygnalizowane wcześniej choroby mózgu. Od roku Ministerstwo Zdrowia nie podjęło wprowadzania przygotowanych przez Konsultanta Krajowego ds. Geriatrii produktów zdrowotnych, skierowanych szczególnie do potrzebujących seniorów z tzw. zespołem słabości – są to osoby starsze z postępującą utratą samodzielności, wymagające szybkiej oceny geriatrycznej. Nadal z żalem przychodzi spoglądać na Anglię i Francję – kraje, w których dostępna jest jednodniowa ocena geriatryczna, możliwość skorzystania z wyjazdowej konsultacji, wykonanej przez zespół geriatryczny, czy pobyt na oddziale rehabilitacji geriatrycznej – produkty opłacane z ubez-

pieczenia zdrowotnego, a w Polsce dostępne tylko w ofercie usług prywatnych. Również doprecyzowanie zadań medycznych w tamtejszych izbach przyjąć, gdzie przywożeni są chorzy ze złamanym biodrem (chorobą ludzi starszych), jest opłacalne dla wszystkich i daje lepsze wyniki leczenia. Wprowadzenie tak zwanego **standardu ortogeriatrycznego**, nieobecnego w Polsce, skraca pobyt i zmniejsza śmiertelność związaną z samym zabiegiem, jak i w okresie po zabiegu.

Mimo potoku informacji o bezpłatnej i ogólnodostępnej służbie zdrowia, coraz wyraźniej czujemy, że sporą część świadczeń trzeba finansować ze środków prywatnych i bywa, że jest to jedyny sposób na skrócenie kolejek oczekujących. W naszym kraju, wg badań OECD, 23% wydatków na leczenie pochodzi ze środków prywatnych, wobec 15% w Unii Europejskiej. Obydwa sektory – państwowy i prywatny – są wzajemnie po-przerastane i dobrze, że w miejsce obietnic o dostępności wszystkiego dla wszystkich w ramach państwowej opieki zdrowotnej istnieje możliwość skorzystania z usług prywatnych. Obiecywanie pełnego bezpieczeństwa zdrowotnego w ramach obowiązującej składki zdrowotnej nie jest obecnie możliwe do zrealizowania celem społecznym.

Rolą państwa jest inicjowanie i uruchamianie mechanizmów opartych na solidaryzmie społecznym, w którym osoby bez finansowych możliwości samodzielnego opłacenia zabiegu, na który nie mogą czekać przez kilka lat, uzyskują go właśnie dzięki pomocy finansowej państwa. Tak stało się ze skróceniem kolejek do operacji zaćmy, choroby występującej głównie w starszym wieku. Rozwój pielęgniarstwa paliatywnego i długoterminowego dla chorych wędrowanych w miejscu ich pobytu, czy wprowadzenie procedur żywienia pozajelitowego i dojelitowego u osób z zaburzeniami połykania jest przykładem dobrego działania, które pozwoliło włączyć do katalogu opłacanego z ubezpieczenia kilka procedur dla chorych, którzy nie mogą się bez nich obejść.

Chociaż trudno nie zauważyć niezaprze-czalnych korzyści, jakie daje np. obowiązu-jąca obecnie regulacja dotycząca wydawania bezpłatnych leków dla osób powyżej 75. roku życia, to **wciąż brakuje wielu rozwiązań organizacyjnych**, które mają pomóc w rozwiązaniu określonych kategorii problemów związanych z chorobami i niesprawnością podeszłego wieku. Powoduje to, że wcześniej opisane, pozytywne przykłady błędną w zestawieniu z katalogiem braków.

Błędy systemu

Poziom jakości opieki medycznej i satysfakcja chorych seniorów są zależne od współdziałania systemów ochrony zdrowia i pomocy społecznej, ale przede wszystkim od zakresu realizowanych w szpitalach procedur, sposobu ich przeprowadzania i tego, jak odpowiadają na potrzeby starszych pacjentów. Jak rozumieć dwuletnią perspektywę oczekiwania na przyjęcie do placówki opiekuńczej czy szpitala osoby tego wy-

magającej? Kończy się to powstaniem odleżyn i spadkiem sprawności, powodującym trwałe unieruchomienie osoby wcześniej jeszcze chodzącej? System oddala się od potrzeb najsłabszych osób starszych, które **wymagają czasu na dojście do zdrowia** po ostrym okresie terapii. Proces zdrowienia u takich osób jest znacznie dłuższy, niż u osób młodych. Szkoda, że nie uwzględniono tego faktu w naszym systemie ochrony zdrowia. Na ogół powielany jest szkodliwy mit, iż senior w ogóle nie powinien trafić do szpitala, bo to mu może zaszkodzić, a miarą efektywności placówek jest ograniczanie liczby łóżek niezabiegowych i skracanie czasu pobytu w szpitalu.

Brak kadr pielęgniarstwa, szpitale nieprzystosowane architektonicznie oraz sprzętowo do potrzeb osób starszych, brak standardów opieki, stosowanie przymusu fizycznego i farmakologicznego niosą istotne ryzyko pogorszenia sprawności starszych pacjentów po pobycie w szpitalu. W krajach o wysokim poziomie opieki medycznej (Izrael, USA) około **30% osób starszych po wypisie z oddziału szpitalnego wykazuje pogorszenie sprawności** w stosunku do okresu sprzed przyjęcia do szpitala, co jednak nie upoważnia do uproszczeń sugerujących, iż osoby starsze powinny być leczone głównie w swoich domach. Podobnie niebezpiecznym trendem jest leczenie podstandardowe i nieadekwatne do potrzeb, tzw. **dystanacja**.

Przykładem potwierdzającym opisywaną sytuację braku adaptacji systemu opieki medycznej do specyfiki potrzeb chorego w starszym wieku jest likwidacja miejsc na zdrowienie dla osób starszych w oddziałach dla przewlekle chorych, które przed kilkoma laty zostały wykreślone z katalogu pojęć systemowych w ochronie zdrowia. Tym samym wykluczono świadczenie dla osób, które powinny pozostawać pod opieką i korzystać z aktywizacji pod nadzorem zespołu opiekunów i rehabilitantów do trzech tygodni po leczeniu ostrym, zanim powrócą do domu. Nieuleczalnej niesprawności nie powinno się diagnozować bez próby konsultacji geriatrycznej i/lub neurologicznej i bez próby rehabilitacji osoby starszej, która ma widoczne problemy z chodzeniem, równowagą i wykonywaniem czynności domowych. Jest to bowiem jeden ze „złotych standardów” geriatрії.

Kultura uzależniająca zakresy podmiotowości i autonomii człowieka od jego zdolności do myślowego poszukiwania wygody, szczęścia i bieżącego zaspokajania potrzeb nie akceptuje okresu późnej starości, kiedy kończy się *healthy ageing* i powstaje inny obraz człowieka. Takiego, który podlega procesowi deautonomizacji z powodu tłoczących się w jego naczyniach, mózgu, stawach i mięśniach problemów zdrowotnych. Te problemy niestety zbyt często odrywają podmiotowość od osoby potrzebującej wsparcia i oczekującej na pomoc. Przewlekłość chorób, niesamodzielność i zależność opiekunów starszych osób otwierają u młodych drogę do postaw, w których wyrażają

uczucie wyższości wobec zależnych bądź tylko starszych osób, wskazując na ich niższą rangę społeczną. Jest to zjawisko **dyskryminacji z powodu wieku**, czyli *age-izm*. Młodzi w tej postawie zdają się zapominać, że kiedyś dołączają do bliźnich, którzy się zestarli.

Zdolności poznawcze, potocznie interpretowane jako sprawność umysłowa, u osób zdrowych po 60. roku życia powoli obniżają się. Manifestuje się to mniejszą sprawnością w uczeniu, słabszym odtwarzaniem zasłyszanych nazw i zdań złożonych. Natomiast na poziomie funkcjonowania (zachowań behawioralnych) różnice w stosunku do osób młodych są niewielkie. Cechą naturalnego procesu starzenia jest spadek szybkości przetwarzania informacji, mniejsza pojemność pamięci roboczej, wolniejsza udzielnosc pamięci. W przypadku osób długowiecznych o wysokiej sprawności intelektualnej wiąże się ją z zachowaniem wysokiej odporności na stresy (rezyliencja) i umiejętnością adaptacji do różnych warunków, czyli z wysoką neuroplastycznością. Są to często osoby z autoironią, poczuciem humoru, dystansujące się od wysokiego zaangażowania emocjonalnego. Sytuacja zmienia się, gdy proces starzenia mózgu wchodzi na ścieżkę „szybką”, z obecnością łagodnych zaburzeń poznawczych i łagodnego otępienia.

Internet senioralny

W Polsce na podstawie wyników badania Polsenior, przeprowadzonego na kilkusetosobnej grupie osób powyżej 65. roku życia i opublikowanych w 2006 r. stwierdzono, iż stan normy sprawności poznawczych dotyczy ok. 41% badanej populacji, u 37% oceniono obecność łagodnych zaburzeń funkcji poznawczych, a u 22% rozpoznano obecność zespołu otępiennego. Niestety, w badaniach przesiewowych prowadzonych na poziomie POZ przez lekarzy rodzinnych, tylko 1% osób ma badaną pamięć. Badanie przy pomocy testów oceniających sprawność pamięci należy w Polsce do gatunku wstydlivych i mało popularnych. W naszym systemie ochrony zdrowia brakuje zachęty do jego wykonywania, co powoduje, że **w Polsce otępienie jest rozpoznawane bardzo późno** i wczesna terapia nie jest włączana w porę. Na domiar tej nieciekawej sytuacji Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji uznała, że niecelowe jest finansowanie profilaktycznych badań pamięci ze środków samorządowych. Nie jest to stanowisko zgodne z aktualną wiedzą medyczną i ten stan rzeczy powinien się zmienić.

Rynek **internetu senioralnego** koncentruje się obecnie na stronach dotyczących porad o zdrowiu, porad kosmetycznych, rehabilitacji i paramedycyny. Zawiera też informacje o ośrodkach sanatoryjno-rekreacyjnych i placówkach opieki. Nie jest adresowany do osób w zaawansowanej starości z powodu częściowego wykluczenia informatycznego tej grupy, jednak w nadchodzącym dwudziestolecu grupa odbiorców z pokolenia *baby boomers* znacznie



Budynek Szpitala Geriatrycznego im. Jana Pawła II w Katowicach, archiwum autora

ożywi rynek usług senioralnych, oferowanych tą drogą. Poza ofertą edukacyjną potrzebne będzie dostosowanie designu stron internetowych i uproszczenie obsługi urządzeń IT. Ocenę stanu poznawczego można przeprowadzić m.in. w oparciu o aplikację znajdującą się w komputerze lub smartfonie. Wydaje się, że telediagnostyka senioralna stanowi część telemedycyny, która właśnie zaczyna się rozwijać. Zainteresowanym czytelnikom polecam jako przykład takich rozwiązań stronę www.testysenioralne.pl

Geragogika

W polityce senioralnej nie powinno brakować dyskursu na temat etyki i filozofii, koncentrującego się na przygotowaniu do starości, prowadzonego w ramach obszaru, noszącego nazwę **geragogiki** – niszowej dyscypliny geronto-pedagogicznej. Opiera się ona na założeniu, że do nauki życia potrzebna jest jego perspektywa od poczęcia aż do śmierci.

W XXI wieku, korzystając z internetu, 5G, produktów rynku VOD czy z Netflix, nadal w przestrzeniach społeczno-politycznych i medialnych nie stworzyliśmy **nurtu kontrkultury akceptującej starość**, tłumaczącego mechanizmy wypierania i strachu przed nieporadnością, powiązaną ze starością. Tymi lękami zaczynamy żyć niekiedy już po czterdziestce i z różnym natężeniem dzieje się tak aż do naszej późnej starości. Dla wielu ludzi w myśleniu o nieuchronności starzenia, o narastającej obecności chorób, umieraniu i śmierci, nawet w zestawieniu ze zmartwychwstaniem, strach wygrywa z racjonalnym podejściem do nieuchronności kolejnych etapów starości z jej bagażem przykrych objawów. W opinii społecznej konsekwencje procesu starzenia podlegają mechanizmowi podświadomego wypierania, a podejście geragogiczne stanowi reakcję mniejszości, stąd nie dziwią określenia: „starość nie radość” czy „Panu Bogu starość się nie udała”, które słyszane są często.

Psychologiczne **mechanizmy wypierania faktu starzenia się** są związane z wiekiem. Szczególnie młodzież i osoby w wieku prokreacyjnym nie myślą o późnych etapach życia. W wymianie pokoleniowej po

okresie dojrzewania następuje okres prokreacyjny, w którym do czasu, gdy młode potomstwo nie osiągnie samodzielności, rodzice koncentrują się na opiece i wychowaniu dzieci, nie mając na uwadze swoich następnych 40 lat. Widoczne przyspieszenie procesu starzenia biologicznego zaczyna się u rodziców z chwilą osiągnięcia przez ich dorosłe dzieci zdolności do założenia rodziny i zrodzenia własnego potomstwa. Po 50. roku życia dzieje się więc trochę tak, jak w serwisie samochodowym, kiedy to skończył się okres gwarancji i dostęp do pełnych napraw. W wymianie pokoleniowej zasadniczą cechą, która powoduje zastępowalność starych przez młodych jest zauważalne przez pracodawców obniżenie sprawności poznawczej i wydolności fizycznej. Długotrwała i pełna wydolność poznawcza z okresu młodości nie jest już osiągalna w późnej starości. W systemie polityki społecznej wobec osób starszych funkcjonuje zobowiązujący do przechodzenia na emeryturę graniczny wiek 65 lat, który w XIX w. wprowadzał Otto von Bismarck jako zasadę dotyczącą jego dowódców wojskowych i ówczesnych pracowników urzędów.

Stworzenie nowego podejścia w polityce senioralnej, innego od tego, które proponował Bismarck, powinno pozwolić na przyjęcie i akceptację pojęcia starości z interpretacjami zmniejszającymi wyzwalane lęki, poprzez **nadanie słowu „starość” wartości pozytywnej**. Podpowiedzi, jak to zrobić, wypływają z wyników badań gerontologicznych, a dotyczą m.in. sposobów na to, jak wydłużyć satysfakcjonujący poziom samodzielności i jak zapobiegać przedwczesnej utracie sprawności. Starzenie z dłuższym okresem zachowanego zdrowia pozwala na redukcję postaw, które cechuje beczynność, zaniżona samoocena, godzenie się na bierność i brak odpowiedzialności za samego siebie.

Silver economy

Różnorodność pojawiających się z wiekiem potrzeb napędza gospodarkę wówczas, kiedy niwelujemy niewiedzę o przygotowaniu do starości i pokazujemy sposoby reagowania na nowe potrzeby, zmieniające się w miarę dochodzenia do starości kolejnych roczników. Dotyczy to wymiany wiedzy na temat zmian w stylu życia czy w nawykach żywieniowych, w sposobach na podtrzymywanie aktywności, zabezpieczeniu zdolności lokomocyjnych, w tworzeniu przyjaznych dla seniorów przestrzeni czy w dostępie i korzystaniu z różnych form opieki medycznej i społecznej, przeznaczonej dla osób starszych.

Kluczową rolę w poprawie jakości życia osób starszych odgrywa nauka – przez rozwój dziedzin społecznych i medycznych traktujących o starzeniu i starości (gerontologia), poprzez postęp w badaniach powiększających naszą wiedzę o mechanizmach starzenia (biogerontologia), a także postęp w dziedzinach związanych z leczeniem i opieką dotyczącą osób starszych (opieka geriatryczna, psychogeriatryczna, długoterminowa i paliatywna). Trzecia i czwarta dekada XXI wieku będą okresem intensywnego rozwoju tych właśnie dziedzin.

Województwo śląskie, z tytułu ugruntowanej pozycji i wypracowanych metod w tworzeniu i prowadzeniu regionalnej polityki senioralnej, ma dobre warunki do dalszego rozwoju gerontologii w oparciu o zdobytą wiedzę, zasoby i potencjał ludzki. Nawet przy zupełnym braku zachęt do specjalizowania się w geriatryi nadal odczuwalny jest głód wiedzy w tym zakresie i nadal nie brakuje wśród młodszego personelu medycznego osób chętnych do odkrywania w trakcie specjalizacji tajników starzenia. Coraz częściej jakością życia i bezpieczeństwem osób starszych stają się celem regionalnych kampanii samorządowych (seniorzy.slaskie.pl, zdrowysenior.slaskie.pl).

W nadchodzących latach najcenniejszym kapitałem okaże się **rozumienie starzenia i starości** przez kolejne pokolenia społecznych, rządowych, samorządowych i medycznych sukcesorów w tej dziedzinie, a obecny stan rzeczy najefektywniej mogą zmienić osoby o nowym podejściu, aktywne na różnych poziomach administracji, w centrali NFZ i w resortach odpowiedzialnych za politykę społeczną i zdrowotną. Do postawy gerontologicznej wrażliwości – takiej, gdzie identyfikuje się faktyczne potrzeby osób starszych – nie da się nikogo przekonać racjonalnie, gdyż jest to próba zmierzenia się z sobą samym wobec potrzeb tej grupy ludzi, która nie walczy i której tak łatwo zabrać prawo do należnych świadczeń, gdyż jej reprezentanci już nie potrafią o nic się upomnieć, chociaż przez cały czas czekają. ■

Doktor n. med. Jarosław Derejczyk – konsultant wojewódzki w dziedzinie geriatryi dla woj. śląskiego. W 2017 r. został wyróżniony przez Zespół Rynku Zdrowia tytułem „Menedżera służby zdrowia”, a w roku 2019 tytułem „Marka Śląskie” w kategorii Zdrowie.

Końskie zdrowie to dobre zdrowie – takie znaczenie tego powszechnie znanego frazeologizmu podaje *Wielki słownik języka polskiego*. Koń (*Equus caballus*) to zwierzę znacznie większe, silniejsze i szybsze od człowieka. Nic dziwnego, że drapieжник, dla którego koń był dawniej uciekającym posiłkiem, widzi w nim uosobienie witalności i zdrowia. Czy słusznie?

Weterynarz prawdę Ci powie

Miłośnicy koni wiedzą, że rzeczywistość bywa inna. Dobrze wyraża to przewrotny tytuł książki *Koń zdrowy jak...*, w której Bożena Urbaniak-Czajka opisuje fizjologię i choroby poszczególnych układów w organizmie konia. Zarówno konie dziczące (ostatni prawdziwie dziki koń to osobny gatunek – słynny koń Przewalskiego), jak i utrzymywane przez człowieka cierpią na liczne dolegliwości. Różnica polega na tym, że te drugie zwykle żyją dłużej i są przeciętnie większe niż pierwsze. Ogromne znaczenie ma tu opieka weterynaryjna, przede wszystkim regularne odrobaczanie: to głównie pasożyty odpowiadają za niższy wzrost, mniejszą wagę i krótszy żywot koni dziczących. Opisuje to m.in. sławny amerykański trener koni Monty Roberts, który bez użycia siły obłaskawił na wolności dziczącego mustanga z wykorzystaniem odkrytych przez siebie naturalnych metod komunikacji z końmi. Gniady Shy Boy (ang. nieśmiały chłopiec) zawdzięcza swoje długie życie w dobrym zdrowiu właśnie fachowej opiece, jaką zapewnił mu człowiek.

Z drugiej strony, nienaturalne dla koni utrzymywanie w stajniach oraz użytkowanie w sporcie i do pracy powoduje nowe dolegliwości. Niedostatek ruchu, brudna stajnia i podkuwanie generują problemy z kopytami, które gniją i kruszeją. Niewłaściwe żywienie skutkuje m.in. kłopotami trawiennymi, gdyż koń ma stosunkowo mały i delikatny żołądek oraz nie może zwrócić pokarmu. Stosowany od wieków sprzęt, m.in. siodła, ogłowia i uprząż (rząd koński), a także sam ciężar człowieka dźwigany przez nieprzystosowany do tego kręgosłup konia oraz przeciążenie pracą mogą powodować ból, urazy i zwyrodnienia w aparacie ruchu, zwłaszcza przy nieumiejętnym treningu i nieodpasowanym rzędzie. Wreszcie niezrozumienie psychiki i zachowań konia skutkuje stresem i problemami behawioralnymi. Koń domowy traci nie tylko wolność, lecz także liczne aspekty swojego zdrowia.

Equus caballus znajduje się więc niejako między młotem a kowadłem: żyjąc na wolności, podlega nieubłaganym prawom natury, zaś utrzymywany przez człowieka często cierpi z jego powodu. Czy taka istota może wspomóc zdrowie innego gatunku?



Jazda konna rozwija zachowania społeczne u dzieci. SO Sieraków

Końskie zdrowie

ELEONORA JOSZKO

Od wojny do rehabilitacji

Jedna litera robi wielką różnicę. Gdy wykreślimy „n”, hipnoterapia zmieni się w uznaną metodę leczenia. Terapeutyczny wpływ konia na człowieka zachwał już „ojciec medycyny” Hipokrates z Kos w swoim traktacie z IV w. p.n.e. Wspominali o nim także: Asklepiades, Paracelsus, Andreas Vesalius i inni twórcy podstaw medycyny. Intensywny rozwój hipoterapii (od greckiego *hippos* „koń”) nastąpił jednak dopiero po II wojnie światowej, gdy większość pracy konia przejęły maszyny i rozkwitła nowoczesna rehabilitacja.

Przełomem były lata 50. XX w., kiedy zaczęto leczyć pacjentów jazdą konną po dwóch epidemiach polio w Skandynawii. W Anglii powstała w tym czasie pierwsza na świecie organizacja hipoterapeutyczna, obecnie znana jako Międzynarodowa Federacja na rzecz Jazdy Konnej Osób Niepełnosprawnych (ang. Riding for the Disabled Association, RDA). W kolejnych dekadach hipoterapia rozprzestrzeniła się w innych krajach.

Podejście do hipoterapii i szeroko pojętego jeździectwa niepełnosprawnych jest niejednolite. Wiele państw Europy Zachodniej przynajmniej częściowo finansuje tę formę leczenia, w tym Dania i Norwegia w znacznym stopniu. Anglia i Szwecja zintegrowały hipoterapię z działalnością klubów jeździeckich (Anglia posiada ponad 600 ośrodków prowadzących hipoterapię!). Kraje powstałe z brytyjskiej macierzy – USA, Kanada, Australia i Nowa Zelandia – bazują na ośrodkach prywatnych wspieranych głównie przez fundacje i wolontariat. We Włoszech i Francji ośrodki jeździecko-hipoterapeutyczne czę-

sto działają w obrębie placówek opieki zdrowotnej. Najlepiej uporządkowana organizacyjnie i naukowo hipoterapia jest jednak w Niemczech: nasi zachodni sąsiedzi mają bogatą ofertę kształcenia w tej dziedzinie ze studiami włączanie, a terapię prowadzą specjalistyczne zespoły złożone z instruktora jazdy konnej, rehabilitanta i lekarza.

Hipoterapia na Śląsku

Hipoterapia zaczęła rozwijać się w Polsce w połowie lat 80. XX w., kiedy powstały cztery ośrodki (w Krakowie, Poznaniu, Rzeszowie i Warszawie). Nie znaczy to jednak, że wcześniej u nas nie istniała – już w latach 1962–1980 działało Stołeczne Centrum Rehabilitacji w Konstancinie. W 1991 r. odbyło się pierwsze ogólnopolskie spotkanie hipoterapeutów, a w roku 1992 założono Polskie Towarzystwo Hipoterapeutyczne (PTHip). Jego cele obejmują m.in. uznanie hipoterapii za oficjalną metodę rehabilitacji specjalistycznej i wpisanie hipoterapeuty na listę zawodów (na razie, od 2010 r., figuruje tam tylko instruktor hipoterapii). Ów status prawny dobitnie świadczy o tym, jak daleko w tyle za Europą Zachodnią pozostaje na tym polu nasz kraj. Aby to zmienić, PTHip nadaje swój patronat ośrodkom, które spełnią odpowiednie kryteria. Obecnie jest ich 47, w tym: siedem (najwięcej) w Mazowieckiem, po sześć w Kujawsko-Pomorskiem i Wielkopolskiem, pięć w Podlaskiem, cztery w Małopolskiem, po trzy w Dolnośląskiem, Pomorskiem i Śląskiem, po dwa w Łódzkim, Warmińsko-Mazurskiem i Zachodniopomorskiem oraz tylko po jednym w Lubelskiem, Lubuskim, Świętokrzyskiem

i Podkarpackiem. Wiele dalszych ośrodków prowadzi hipoterapię bez patronatu, co zwiększa szanse pacjentów na skorzystanie z zajęć, lecz wymaga ostrożności ich rodziców i opiekunów w doborze miejsca.

Na Śląsku certyfikat PTHip posiadają obecnie ośrodki „Padok” w Katowicach i „Promyk” w Pszczynie oraz Ośrodek Animaloterapii i Fizjoterapii w Rybniku. Łącznie z zajęć można skorzystać w kilkunastu stajniach, m.in. w Gliwicach, Paniówkach, Świerklańcu i Tarnowskich Górach. Hipoterapię oferuje również słynny Klub Jeździecki Zbrostawice, założony w roku 1973 jako ośrodek akademicki przez zapaleńców studiujących na śląskich uczelniach.

Hipoterapia nie jest w Polsce refundowana systemowo. Prowadzące ją ośrodki mogą starać się o dofinansowanie zajęć ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON). Jak każda terapia specjalistyczna, hipoterapia bywa więc kosztowna dla niezamożnych zwykle rodzin osób niepełnosprawnych. Typowa cena zajęć to 40–60 zł za pół godziny, co daje ok. 200 zł miesięcznie przy rehabilitacji raz w tygodniu. Intensywniejsza terapia to już znacząca pozycja w domowym budżecie przeznaczonym na leczenie.

Z wymienionych względów bardzo cenne jest zaangażowanie znanych Polaków w popularyzację hipoterapii. Prawdopodobnie najlepszym tego przykładem jest zmarły w 2016 r. aktor i artysta kabaretowy Bohdan Smoleń, który w roku 2007 założył Fundację Stworzenia Pana Smolenia w Mosinie pod Poznaniem. Obecnie z chorymi dziećmi pracuje tam 12 koni i kuców, a ośrodek posiada patronat PTHip.

Czworonożny terapeuta

Na hipoterapię składa się kilka zbliżonych do siebie dziedzin:



Kontakt dzieci z końmi wymaga nadzoru dorosłych. Pokaz szkoły jeździeckiej JNBT w KJ Zbrostawice

- rehabilitacja konna: pacjent wykonuje na koniu ćwiczenia dobrane do jego choroby przez specjalistę rehabilitanta;

- woltyżerka pedagogiczno-terapeutyczna: służy wyciszeniu i poprawie koncentracji sprawnych pacjentów m.in. z nadpobudliwością psychoruchową;

- terapeutyczna jazda konna: pacjent jest poddawany ruchowi konia, ale nie wykonuje ćwiczeń;

- terapia kontaktem z koniem: odpowiednia dla osób z zaburzeniami psychicznymi oraz osób starszych, słabszych i z przeciwwskazaniami do jazdy wierzchem.

Kontakt z koniem stanowi rehabilitację wieloprofilową, ponieważ wpływa na cztery obszary funkcjonowania organizmu człowieka: ruchowy, zmysłowy, psychiczny i społeczny. W sferze ruchowej wzorzec pracy miednicy konia w stępie (najwolniejszym z końskich chodów) jest zbliżony do wzorca pracy miednicy idącego człowieka, gdyż obydwie miednice poru-

szają się w trzech płaszczyznach (pochylenie boczne, przesunięcie boczne i rotacja przód–tył). Dzięki temu koń może pomóc ukształtować prawidłowy wzorzec chodu u osób z zaburzeniami. W sferze zmysłowej koń oddziałuje na człowieka przede wszystkim temperaturą ciała, która jest średnio o 1–2°C wyższa od ludzkiej, rozgrzewając mięśnie pacjenta i pobudzając jego krążenie, a także poprzez wstrząsania płynące z dotyku końskiej sierści i angażowanie zmysłu równowagi. W sferze psychicznej koń zwiększa u pacjenta poczucie własnej wartości i pewność siebie. W sferze społecznej wreszcie kontakt z koniem poprawia empatię i zdolność nawiązywania relacji z innymi ludźmi.

Hipoterapia jest wykorzystywana w leczeniu wielu zaburzeń fizycznych i psychicznych u dzieci i dorosłych. Schorzenia fizyczne to m.in.: mózgowo-porażenie dziecięce (MPD), niektóre wady postawy, przepukliny oponowo-rdzeniowe (po operacji), dysplazje bioder, dystrofia mięśniowa, stwardnienie rozsiane oraz niedowłady i przykurcze kończyn. Zaburzenia psychiczne usprawniane dzięki koniom obejmują m.in.: zespół Downa, autyzm, minimalne uszkodzenia mózgu (MBD), nadpobudliwość psychoruchową, opóźnienia psychoruchowe, upośledzenia umysłowe i problemy emocjonalne.

Hipoterapia – poważna sprawa

Jak każda metoda leczenia, hipoterapia jest objęta pewnymi obostrzeniami. Przeciwwskazania bezwzględne to m.in.: całkowity brak akceptacji konia przez pacjenta, uczulenie na sierść/zapach konia lub zapach stajni, zrzeszotnienie kości, wrodzona łamliwość kości oraz niestabilność szyjny. Istnieją także przeciwwskazania tymczasowe, takie jak czynne infekcje, gorączka, ostre za-



Koń do hipoterapii wymaga specjalnego szkolenia. Trener Janusz Kurowski na Rancho Palomino



Naturalna ciekawość koni korzystnie działa na umysł człowieka. SK Golejewko

palenie stawów, świeże złamania, stan po ataku padaczki, stany pooperacyjne czy rany na powierzchniach dźwigających ciężar ciała na koniu (np. uda, łydki, pośladki). W każdej sytuacji wymagane jest zresztą aktualne orzeczenie o stopniu niepełnosprawności i skierowanie od lekarza prowadzącego.

Istnieją dwie tzw. szkoły hipoterapii: niemiecka i amerykańska – i w tym przypadku stereotypy na temat obu krajów trafnie sugerują różnice między nimi. Szkoła niemiecka jest bardziej rygorystyczna i zorganizowana: zajęcia prowadzone są indywidualnie w spokojnym, odizolowanym miejscu według ścisłego harmonogramu i skupiają się na usprawnianiu ruchowym i zmysłowym. Szkoła amerykańska cechuje się swobodniejszą atmosferą i bardziej urozmaiconym przebiegiem zajęć: jazda często odbywa się w małej grupie, wprowadzane są gry i zabawy, a terapeuci skupiają się na usprawnianiu psychiki i zachowań społecznych. Łatwo stąd wywnioskować, że szkoła niemiecka jest wskazana dla cięższych schorzeń, zaś amerykańska jest korzystna zwłaszcza dla opóźnień psychoruchowych i lżejszych postaci porażenia mózgowego.

Niezależnie od podejścia, podczas samych zajęć należy przestrzegać podstawowych zasad bezpieczeństwa. To przede wszystkim właściwe, tj. spokojne zachowanie przy koniu i w stajni. Terapeuta musi dostosować czas trwania zajęć, ćwiczenia i sposób komunikacji do pacjenta; jeśli jest nim dziecko, konieczne są dobre relacje z rodzicami, którzy znają je najlepiej i mogą dostarczyć cennych wskazówek. Podczas jazdy absolutnie konieczna jest asekuracja pacjenta, co oznacza, że konia musi prowadzić inna osoba niż terapeuta – często jest to rodzic lub opiekun dziecka pod warunkiem, że potrafi prawidłowo i bez lęku prowadzić konia.

Hipoterapia stawia wysokie wymagania również samemu koniowi. Rasa i uroda to cechy mniej istotne, choć ważna jest prawidłowa budowa (pokrój) zapewniająca zdrowie zwierzęciu i wygodę pacjentowi. Koń do hipoterapii musi być bezpieczny w obsłudze, cierpliwy i niepłochliwy. Osiąga się to przez odpowiednie szkolenie mające przyzwyczaić zwierzę do wielu bodźców środowiskowych oraz zachowań pacjenta, które często są dla konia nieprzyjemne, takich jak ucisk różnych części ciała czy ciągnięcie za ogon lub grzywę (autystyczne dzieci mogą nawet kopać, gryźć i krzyczeć). Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że koń pracujący w hipoterapii to zwierzę do zadań specjalnych tak samo, jak koń policyjny, zaś PTHip słusznie nazywa go współterapeutą.

Oczy niewidomych i nogi kalek

Hipoterapia – pełnoprawna i skuteczna metoda terapeutyczna – jest jednak mało widowiskowa. Międzynarodową opinię publiczną regularnie poruszają zdumiewające przypadki osób, którym koń daje coś więcej niż leczenie: pozwala niepełnosprawnym zaznać życia zdrowych.

Doskonałym przykładem jest tu Francuzka Laetitia Bernard, 37-letnia dziennikarka i sześciokrotna mistrzyni Francji w skokach przez przeszkody osób niepełnosprawnych, która pracuje w Radio France, a od roku 2008 startuje w zawodach otwartych ze zdrowymi. Osiągnięcia te budzą zdumienie dopiero wtedy, gdy dowiemy się, że Laetitia od urodzenia jest... niewidoma. Na dużych koniach zaczęła jeździć w wieku 12 lat, a obecnie posiada własnego wierzchowca dzięki fundacji Little Dreams (ang. małe marzenia) Phila i Orianne Collinsów. W zawodach startuje zawsze za jeźdźcem-przewodnikiem – rolę tę spełniały już gwiazdy światowego jeździectwa, takie jak dwu-

krotny olimpijczyk Michel Robert czy żywa legenda skoków przez przeszkody John Whitaker. Laetitia musi stale przełamywać strach wynikający z pokonywania przeszkód, których nie widzi, lecz konie wprowadzają do jej życia prawdziwą równowagę i nie wyobraża już sobie życia bez nich.

Erin to 38-letnia Amerykanka, która urodziła się bez lewej ręki i obu nóg. Początkowo korzystała z hipoterapii, a następnie z pomocą rodziców i przyjaciółki zaczęła jeździć na własnej klaczy. Posiada specjalnie skonstruowane siodło, wózek i platformę, dzięki którym jest samodzielna przy koniu. Obecnie startuje w zawodach z osobami zdrowymi i – rzecz w polskich realiach wciąż niebywała – układa młode konie do pracy pod siodłem. Jeszcze bardziej szokujący był wyczyn Dunki Liz Hartel, która doznała ciężkiego porażenia z powodu polio. Nie zrezygnowała jednak z jeździeckiej pasji, która stanowiła najpierw jej rehabilitację, a następnie życiowy cel: w roku 1952 Liz zdobyła w Helsinkach srebrny medal olimpijski w konkurencji ujeżdżenia!

Lekarz dusz i ciał

Koń, choć sam podlega chorobom i śmierci, staje się dla człowieka miomowlonym terapeutą w znaczeniu jak najbardziej medycznym, jeśli tylko jest właściwie traktowany. Niezwykle trafnie podsumowuje to w książce *Jeździectwo naturalne bez tajemnic* słynny amerykański weterynarz oraz znawca i miłośnik koni, dr Robert Miller: „Wiedząc, że jazda konna przynosi tak doskonałe rezultaty w terapii osób upośledzonych fizycznie, poprawiając zarówno ich sprawność, jak i stan psychiczny, łatwo można zrozumieć, dlaczego konie są tak ważne dla wielu ludzi. Jazda, konkursy, powożenie, praca lub po prostu opieka nad końmi poprawiają nasze samopoczucie. A jeśli mamy lepsze samopoczucie, to z czasem sami stajemy się lepsi. To jest główny powód, dla którego konie stają się coraz bardziej popularne, choć ich pracę w naszym stuleciu wykonują maszyny. Konie pozwalają nam wypocząć, poprawiają samopoczucie fizyczne, równowagę, koordynację, pewność siebie i sprawiają, że jesteśmy bliżej natury. Naturalnie, to samo można powiedzieć o wielu innych sportach rekreacyjnych (...), ale koń daje nam dodatkowe korzyści. Jest żywym stworzeniem, a nie obojętnym elementem wyposażenia”. Jak trafnie zauważa ów autor, przypisywane Winstonowi Churchillowi stwierdzenie, iż wygląd zewnętrzny konia dobrze wpływa na wnętrze człowieka, to sama prawda, niezależnie od tego, czy słynny premier Wielkiej Brytanii faktycznie je wygłosił. ■

Ekologia akustyczna peronu półtorowego

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Rok 2020 zaczynam od medytacji na skrzyżowaniu żelaznych dróg z Gliwic do Sosnowca i z Bielska-Białej do Częstochowy. Badam na tych trasach wszystkie perony nieparzyste i niektóre parzyste, by potwierdzić, że wprawdzie nigdzie nie ma peronu 9%, ale za to prawie wszędzie są perony 1½. Jakkolwiek by liczyć, peron półtorowy jest tu uogólnieniem statystyczno-akustycznym sympatycznych peronów półtonowych, znanych nam z peregrynacji po Śląsku. Pół tonu tam słycać, pół nie. I nic nie poradzi pół tony głośników, nagłaśniających tysiące śmietników... akustycznych. Takimi śmietnikami są bowiem wszystkie znane współczesnym otolaryngologom perony półtorowe.

Niech tedy zawiadowcy peronów całkowitych nie zgłaszają interpelacji, jakoby w ich królestwie bywało inaczej lub tak samo, lub lepiej czy gorzej, bo jeżeli nawet mają rację, to niecałkowitą. Wszak nie chodzi tu o połowę toru, ale o przymiotnik, który można by urobić od liczebnika ułamkowego 'półtora'. Skoro bowiem na każdej stacji mamy peron pierwszy, a na wielu drugi, to dlaczego nie mielibyśmy mieć półtorowego? Wszak między liczebnikami 'jeden' i 'dwa' prawie dokładnie w środku lokuje się 'półtora'. Tako też, czyli pośrodku, jest i w miejscu, o którym ja wiem, a Państwo słusznie mniemają.

Teraz jednak naprawdę czekam na pociąg na peronie drugim. Oto głos z niebios ogłasza, że „w dniu dzisiejszym...”. Niestety, w tym momencie na peron trzeci wjechały, a po minucie wyjechały wagony zasypane czarnym złotem. Pomykając zżwawo, oderwały mnie od kontemplowania sygnalizowanego wyżej głosu, który jednak zapowiadał coś nietypowego, czyli typowego, bo podobne nowiny słyszę każdego dnia. A to że dzisiaj pociąg spóźni się trochę, a to że sporo, a to że pojawi się na innym niż zapisano peronie, a to że się nie pojawi... „i co mi pan robi?”

Ta przedostatnia opcja trochę mnie zaintrygowała, gdy po przejechaniu składu towarowego usłyszałem: „...wyjątkowo na peron pierwszy... pasażerów serdecznie ...prasząmy?”. Nie dało się jednak wysublimować, czy ci, co prasząją: zapraszają, przepraszają, czy wyprasząją. Poza tym – nic nie gwarantowało, że ta czy owa wzmianka dotyczy oczekiwanego przeze mnie pociągu, który przed półtoragodziną miał wjechać na peron drugi. Tam właśnie nad wyraz cierpliwie pełnię swoją rolę.

Tymczasem – zamiast pociągu do jakiegokolwiek – na tor lewy, choć z dru-

giej strony na prawy wtoczył się skądkolwiek i na dobre stanął skład bez oznaczeń, który zakończył chyba bieg, bo wyglądał na wielce zmęczonego. Sapał i dyszał wszystkimi swoimi wentylatorami, których wycie całkowicie wykluczyło zrozumienie kolejnego komunikatu. Do moich uszu docierały tylko pojedyncze słowa, a raczej półsłówka, choć starałem się w rzadkim tłumku zająć pozycję jak najbardziej zbliżoną do tub peronowych wielkogabarytowych, wiszących wszakoż o trzy metry za wysoko, by dało się wyizolować ich głos z bogatego wysypiska akustycznych odpadów zmieszanych.

Podobne zagadnienie, nie medytując nad tym zbyt długo, sto lat temu rozwiązyli budowniczowie sal wykładowych za pomocą stu tanich głośniczków o jakości telefonowej, instalowanych masowo co sto centymetrów i gwarantujących stu słuchaczom niezakłócony odbiór bez względu na walory akustyczne sali tudzież odgłosy wydawane przez stu innych słuchaczy z opcją na dwieście. Uświadomiono sobie bowiem, że skoro głośniczki będą służyć wyłącznie mówcom, a nie muzykantom, to pasmo przenoszenia powinno odpowiadać mowie, a nie orkiestrze symfonicznej. Na peronach szerokotorowych wciąż jednak panuje oczekiwanie na szerokotonową orkiestrę piccolo-kontrabasową. Nasz geniusz dworcowy nakazuje – zamiast gęsto małe – instalować rzadko tuby wielkie, które zresztą nie mogą pracować na pełnej mocy, bo zaraz by przybiegli okoliczni mieszkańcy, pragnący odrobiny ciszy chociażby w godzinach popołudniowych.

Muszę teraz zmienić taktykę i przejść do tunelu na pozycję półtoratorową, by w razie czego zdążyć zarówno na zgodny z rozkładem peron drugi, jak i na niewykluczony peron pierwszy, gdyby jednak mój pociąg miał zaparkować właśnie tam. Korzystam tedy z przyjaznej ciszy unieruchomionych schodów ruchomych i zajmuję w tunelu pozycję w połowie drogi między peronami. Po chwili najbliższa tuba zabrzmiała dźwiękiem jerychońskim, rezonując niskimi

półtonami w pustawym tunelu. Półtony było słycać dobrze, ale nie dało się ich skleić w całość, bo tak to dudniło, że potrzebna była dłuższa chwila na segregację różnych akustycznych zanieczyszczeń, by jakoś wyłowić ingredience pożądane.

Na szczęście na horyzoncie pojawiła się wycieczka i wypełniła cały ten półtorowy rezonator ciepłym, ludzkim elementem. Zrobiło się raźniej, ale kolejnym komunikatom zrozumiałości to nie przysporzyło, bo parzyste elementy ciągnęły po betonowej walizy na twarde kółkach, a nieparzyste krzyczały coś do swoich smartfonów w języku, którego nie dałoby się zidentyfikować, gdyby nie dwa subtelnie ekspresyjne identyfikatory etniczne, zrozumiałe zastępujące co drugie słowo czasownikowe i wszystkie modulanty. Zanim więc tuba mirum doszła do połowy zdania, tunel napelnił się radosnym zgiełkiem, nawoływaniem i wybuchami śmiechu, co nader skomplikowało odzyskiwanie nadających się do recyklingu substratów kompulsywnie wysypywanych przez tuby.

Cóż, myślę sobie, pozycja optymistyczna, ale nieoptymalna. Najlepiej będzie przejść do hali dworcowej, bo tam przecież żaden pociąg towarowy ani wentylatorowy nie wjedzie. Ciszy i spokoju nie zakłócą różne piski, gwizdy i warokoty, rozbrzmiewające przy byle okazji na peronie. Jeśli nawet czegoś nie dosłyszę, myślę sobie, to doczytam na tablicy świetlnej, która jest dowodem na istnienie urządzeń niezawodnych. Zawsze wisi, choć działa nie zawsze tak, jak byśmy chcieli.

W hali głównej słycać było wszystko doskonale, ale nie za bardzo to, na co czekałem. Rzuciłem więc lewym okiem na tablicę świetlną. Tym razem intuicja mnie nie zawiodła, choć i nie zachwycała. Bezasadnie podejrzywałem bowiem, że mój spóźniony pociąg może wjechać na nieobstawiony mną peron i zaraz odjechać. Na szczęście rzut okiem prawym na tablicę odjazdów uwolnił mnie od wszelkich takich obaw, jako i nadziei. Wszak karawany raz odwołane nie spóźniają się nigdy. ■



Zespół Diogenesa

Jestem Diogenesem, pochodzę z Synopy.
Mój ojciec, bankier Hikezjos, okradał klientów.
Nie miałem dobrych wzorców. Wygnano nas z miasta.

Czasami oddałbym wszystko,
żeby tam powrócić, ale nic nie miałem,
poza starą beczką oraz latarenką,
przy pomocy której chciałem Cię odnaleźć.

Jestem Diogenesem, zwą mnie psem i nie mam
wiary, że Cię jeszcze spotkam,
choć mówią mi, że jesteś
w sercach wszystkich ludzi.

Jednak Cię nie znajduję, przestałem się starać:
nawet się nie myję, nie dbam o ubranie,
publikę mam za nic, kiedy się opróżniam
na skwerku, pod drzewem.

Lubię leżeć w słońcu, nie mam stałej pracy.
Już Cię nigdy nie spotkam i nie stworzę dzieła,
w którym Cię uwiecznię dla późnych potomnych,
jak moi koledzy po piórze lub dłucie.

Jestem Diogenesem, lecz nie umrę w Synopie,
ale na obczyźnie, w szacie niewolnika.
Moim imieniem nie nazwą ni placów, ni mostów,
najwyżej szalety albo chorobę psychiczną.

rys. Bogna Skwara

**Diogenes z Synopy słusznie przypuszcza,
że przyjdzie mu umrzeć w Koryncie**

Nie zawsze byłem niewolnikiem, Kseniadesie,
lecz Ty kupiłeś mnie za grosze na ulicznym targu.

Diabli nadali tę podróż do Syrakuz.
Dobrze wiemy, czym pachnie żegluga w tych czasach.

Czy wraz z moim przybyciem dotarły do Ciebie
ateńskie legendy o moich wyczynach?

Nie wierz w każde słowo, które napisze Ci o mnie
Diogenes Laertios, choć większość z nich prawdą.

Teraz, za marne pieniądze, przyjdzie mi nauczać
Twych synów, Kseniadesie, czy się nie obawiasz?

Powiem im, po pierwsze, by się nie żenili.
Kobiety i dzieci powinny być wspólne.

Państwo i jego bogowie są nam niepotrzebni.
Na cóż nam oni – obywatelom kosmosu, którymi jesteśmy?

Warunkiem koniecznym do szczęścia jest ledwie
pogarda dla starych zwyczajów, natomiast przyjemność –

złem jest. Człowiek, który jej tu szuka, staje się zbyt szybko
niewolnikiem zmysłów. Trud jest za to Cnotą.

Tego mnie nauczył Antystenes, sam jak trąba głuchy.
Choć brzmiał bardzo donośnie, sam siebie nie słyszał.

Co innego ja. Mam inny charakter.
Jestem silny, pierwotny. Jestem barbarzyńcą.

Jak głosi legenda, umrę w dniu śmierci cesarza
Aleksandra Wielkiego, który gotów był kiedyś

obsypać mnie złotem. Nigdy o nie nie dbałem.
Na tym grobie postawcie rzeźbionego z marmuru psa.



Kratesa z Teb słowo o Diogenesie z Synopy

Chciałoby się powiedzieć: „Równy gość”,
ale po co kłamać?

Raczej nie miał przyjaciół i stronił od ludzi.
Znieważał swoich mistrzów.
Antystenesa, który go nauczał,
nazwał trąbą głuchą.

Plotka niesie, iż w drodze wyjątku
udzielił audiencji samemu królowi,
czego pożałował po tym, kiedy tamten
przesłonił mu słońce.

Diogenes!
Do Aten przyjechał z Synopy.

Dziwak, jakich wielu w naszych dziwnych czasach.

Nie sposób mu zarzucić braku gościnności,
nie jest o nią łatwo, gdy mieszka się w beczce.
Ani rozrzutności –
na ubrania nie wydał ni grosza.

Nagi chodził po mieście i szukał człowieka.
Kogo? I skąd miał na to świece –
o tym milczą źródła.

Opróżniał się bezwstydnie na rynku,
pod drzewkiem.

Zarzucał naszym bogom,
że opłacani przez państwo
nie są wiarygodni.

W jednym przyznam mu rację:
małżeństwo to przesąd.

Ech, Diogenes, Diogenes.

Któregoś dnia wyjechał, chyba
do Syrakuz. Ponoć wzięty w niewolę
skończył jako belfer.

Indonezja należąca do Archipelagu Malajskiego położona między Oceanem Spokojnym a Indyjskim jest największym krajem wyspiarskim na świecie z ponad trzynastoma tysiącami wysp. Około 6 tys. z nich jest zamieszkałych przez ponad 260-milionową populację z największą liczbą wyznawców islamu na świecie. Skład religijny stanowią muzułmanie – 87%, protestanci – 7%, katolicy – 3%, pozostali to hinduiści i buddyści. Na wyspach znajdują się liczne wulkany. Indonezja jest często nękana przez trzęsienia ziemi i tsunami.

Pierwszym śląskim misjonarzem werbistą, który wyjechał do Indonezji, był pochodzący z Pyskowic brat **Didymus Paul Goletz** (1883–1963). Mając 26 lat, wstąpił do zakonu werbistów. W 1920 roku wyjechał do pracy misyjnej na Flores, gdzie prowadził warsztat ślusarski i uczył mieszkańców tego zawodu. W 1938 roku przybyli do pracy misyjnej na Flores dwaj śląscy bracia. **Br. Florian Derlik** urodzony w 1912 roku w Makoszowach (dzisiaj Zabrze) z zawodu był rzeźnikiem. Po przyjeździe w 1938 roku na Flores oprócz pracy misyjnej uczył mieszkańców rzeźnictwa i produkcji konserw mięsnych. Drugi misjonarz, brat **Gabriel Porschke** urodzony w 1903 roku w Wilkowyjach koło Tych z zawodu był stolarzem i jako misjonarz wyjechał w 1935 roku najpierw do Chin, a następnie w 1938 roku został przeniesiony na Flores. W 1965 roku przeniesiony został na Timor.

W 1964 roku polski zakon werbistów na polecenie ówczesnego generała zakonu rozpoczął agitację misjonarzy do pracy w Indonezji. W tym czasie polsko-indonezyjskie stosunki dyplomatyczne były bardzo dobre i można było otrzymać paszport. W sierpniu 1965 roku



fot. arch. aut.

O. Glinka podczas procesji Bożego Ciała w 1970 roku w Katowicach-Piotrowicach

Śląscy misjonarze werbiści w Indonezji

O. Józef Glinka SVD (1932–2018)

STEFAN GIERLOTKA

pierwsza dziesiątka misjonarzy wyjechała pociągiem do Rzymu, a stamtąd do Bombaju i dalej do Dżakarty. W grupie wyjeżdżających misjonarzy było trzech Ślązaków: **o. Józef Glinka** z Makoszew,

o. Sylwester Pająk z Moszczenicy koło Jastrzębia oraz **o. Arkadiusz Siwiec** ze Świętochłowic. Do Dżakarty dopłynęli 27 sierpnia 1965 roku. Na początku w Mataloko uczyli się języka indonezyjskiego. W lutym 1966 roku otrzymali przydziały do miejsc pracy misyjnej w Indonezji.

O. Józef Rajnhold Glinka urodził się 7 czerwca 1932 i spędził dzieciństwo w Makoszowach (obecnie dzielnica Zabrze). Makoszowy były do 1939 roku wioską przygraniczną i od dzieciństwa znał dobrze języki polski i niemiecki. W latach pięćdziesiątych jego owdowiała matka poślubiła gospodarza z Piotrowic koło Katowic i cała rodzina tam się przeprowadziła.

Józef Glinka w 1945 roku wstąpił do zakonu werbistów i rozpoczął naukę w małym seminarium św. Krzyża w Nysie. W 1949 roku rozpoczął studia teologiczne w wyższym seminarium duchownym zakonu werbistów w Pieniężnie. Święcenia kapłańskie otrzymał 7 lipca 1957 roku. W 1959 roku rozpoczął dalsze studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, studiując biologię oraz chemię. Podczas studiów w latach 1959–1962 prowadził wykłady z biologii i gleboznawstwa dla zakonników w Chludowie koło Poznania. Po ukończeniu stu-

fot. arch. aut.



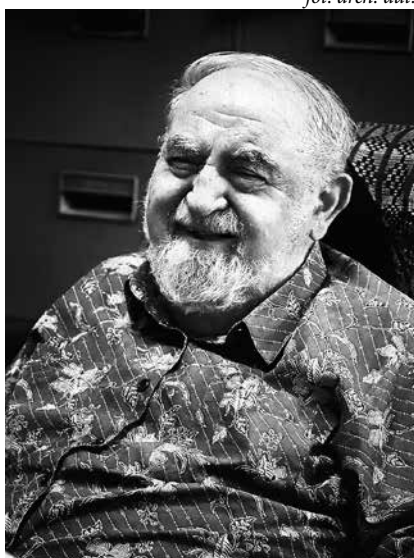
O. Glinka podczas procesji Bożego Ciała w 1969 roku w Katowicach

diów w 1964 roku został wykładowcą filozofii przyrody w wyższym seminarium duchownym w Pieniężnie.

W sierpniu 1965 roku wraz z grupą misjonarzy wyjechał do Indonezji. Poznał język indonezyjski i w tym języku w latach 1966–1968 wykładał filozofię przyrody i antropologię kulturową w wyższym seminarium duchownym w Ledalero na wyspie Flores. W latach 1966–1968 prowadził badania antropologiczne wśród mieszkańców wyspy Paule w Indonezji. Wrócił do Polski i w 1969 roku obronił na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie pracę dokorską pt. Pochodzenie mieszkańców Palue w świetle badań antropometrycznych. W tym okresie, mieszkając u brata w Katowicach-Piotrowicach, aktywnie pomagał w pracy duszpasterskiej piotrowickiej parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa. Po doktoracie w 1970 roku powrócił do Indonezji i objął stanowisko profesora nadzwyczajnego antropologii na wydziale medycznym Katolickiego Uniwersytetu Atma Jaya w Dżakarcie. W 1972 roku objął dodatkowo stanowisko *visiting professor* antropologii w katedrze anatomii na wydziale medycznym uniwersytetu Nusa Cendana w Kupangu na Timorze. W 1973 roku powołany został na członka komisji badań naukowych na wydziale medycyny uniwersytetu w Dżakarcie.

W 1974 roku otrzymał stypendium Humboldta i wyjechał do Niemiec, prowadząc badania naukowe na uniwersytecie w Moguncji w zakresie stosunki antropologiczne pośród ludów Indonezji i obszaru Azji południowo-wschodniej. Prace zakończył dysertacją habilitacyjną pt. *Gestalt und Herkunft: Beitrag zur anthropologischen Gliederung Indonesiens*. Kolokwium habilitacyjne odbyło się 29 czerwca 1977 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. O. Glinka otrzymał z wynikiem *summa cum laude* stopień doktora habilitowanego. Ponieważ w tym czasie na obszarze wykładowym języka niemieckiego nie było antropologa ze specjalizacją Azja Południowo-Wschodnia, otrzymał propozycję stanowiska profesora na uniwersytecie w Moguncji lub w Zurychu. Propozycji tych nie przyjął, i po ustaleniu z władzami zakonnymi powrócił do Indonezji. Na wyspie Jawa w Indonezji założył zakład badań z antropologii na amerykańskim uniwersytecie Airlangga w Surabaya, którego został kierownikiem. W zajęciach akademickich prowadzonych przez o. Glinkę zdecydowaną większość stanowili muzułmanie. Pomimo odmiennej filozofii otrzymywał od nich wiele dowodów sympatii.

W 2010 roku przeszedł na emeryturę, jednak nadal pełnił funkcję konsultanta i egzaminatora doktorantów, wykładał też na wydziale medycznym Katolickiego Uni-



O. Glinka w Indonezji

wersytetu Widya Mandala. Jego zainteresowania naukowe dotyczyły etnogenezy i morfologii ludów Indonezji, wzrastania i dojrzewania dzieci i młodzieży, systemu kojarzenia się małżeństw oraz ich problemu bezpłodności. Był członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Antropologicznego, członkiem instytutu Anthropos (Niemcy), Perhimpunan Ahli Anatomi Indonesia oraz Australasian Society for Human Biology (Australia). Jego dorobek naukowy to 10 książek i 92 artykuły naukowe.

W czasie, gdy pracował na indonezyjskich uniwersytetach, kilkuset jego studentów otrzymało dyplomy lekarzy, ponad tysiąc zdobyło dyplomy magisteria antropologii, wypromował trzynastu doktorów. Miał udział w wykształceniu i wychowaniu ponad 800 kapłanów, w tym 12 biskupów.

O. Józef Glinka co kilka lat przyjeżdżał na urlop i odwiedziny do brata mieszkającego w Piotrowicach. Podczas ostatniego pobytu w Polsce w 2016 roku otrzymał od prezydenta RP Andrzeja Dudy

odznaczenie Polonia Restituta. Zmarł 30.08.2018 w Surabaja na wyspie Jawie w Indonezji, i tam został pochowany.

Gdy w 1989 roku Jan Paweł II odwiedził Flores, przeprowadził z o. Józefem Glinką godzinną rozmowę dotyczącą powołań duchownych w Indonezji. Gdy 1965 roku przyjechali werbiści na wyspę Flores, w seminarium było niespełna stu kleryków. W 1989 roku było już ich około siedmiuset.

Kościół w Indonezji ma dziś charakter misyjny i wypromował dotychczas około dwóch tysięcy kapłanów i osób zakonnych jako misjonarzy do różnych części Indonezji i świata. Co roku ponad dwa tysiące dorosłych przyjmuje chrzest. Kościoły są pełne wyznawców. W diecezji Maumere na wyspie Flores działa jedno z największych na świecie seminariów duchownych (zarazem instytut formacji z filozofii i teologii), kształci się obecnie ponad tysiąc studentów.

Katolicy w Indonezji zanurzeni są w świecie islamskim, który jest odmienny od tego, występującego na Bliskim Wschodzie. Islam indonezyjski zawiera elementy lokalnej kultury, tradycji oraz mądrości. W ostatnich dziesięcioleciach wielokrotnie radykalni muzułmanie Indonezji atakowali kościoły i chrześcijan. Takie ataki mają miejsce przeważnie na wyspie Jawa, gdzie chrześcijanie są mniejszością.

W końcu grudnia 2004 roku muzułmańscy przywódcy w Aceh na północno-zachodniej Sumatrze nie pozwolili chrześcijanom odprawić w mieście nabożeństw w okresie Bożego Narodzenia. Chrześcijanie poszli w góry i tam się modlili i świętowali. Gdy po świętach wrócili do miasta, okazało się, że miasto już nie istnieje. Tsunami 26 grudnia 2004 roku zrównało je z ziemią. Chrześcijanie ocalili, a tych, którzy im zabronili świętowania – tsunami porwało do morza. ■



O. Glinka w Indonezji

Projektowanie domów jednorodzinnych wydaje się być mniej „ważne” niż zajmowanie się obiektami użyteczności publicznej, wieżowcami czy też zakładami przemysłowymi. Ale to tylko pozór, bowiem od zarania dziejów ludzkości, sposoby tworzenia miejsc do zamieszkiwania wraz z poszukiwaniem pożywienia realizowały najbardziej niewralgiczne i podstawowe potrzeby człowieka. Martin Heidegger w eseju *Budować, mieszkać, myśleć* pisze: „staro-górno-niemieckie słowo używane na określenie budowania, „buan”, oznacza „mieszkać”. To znaczy: pozostawać, przebywać”. Dalej dodaje: „Bauen (budować), buan, bhū, beo to... słowo „bin” w zwrotach: ich bin (ja jestem), du bist (ty jesteś)... znaczy też: ja mieszkam, ty mieszkasz. Tak więc: sposób w jaki my, ludzie, jesteśmy na Ziemi, to buan, zamieszkiwanie”. I choć z historycznych domostw proporcjonalnie niewiele w porównaniu z reprezentacyjnymi budowlami zeszłych epok do dziś dotrwało, to powstawały i były powszechne, a ich dzisiejsza nieobecność spowodowana jest wyłącznie naturalną w ich przypadku nietrwałością i tymczasowością. Więc w istocie swojej zawsze stanowiły esencję ludzkiej egzystencji i aktywności. W XX wieku dla Franka Lloyd Wrighta, Le Corbusiera czy Miesa van der Rohe były równie ważne, co muzea, teatry, kościoły, ratusze i stadiony. Projektowali je z pełnym zaangażowaniem, a budowle te rozślawiały ich autorów nie gorzej niż wielkie spektakularne obiekty.

Dla architekta projektowanie domu jednorodzinnego jest złożonym procesem, bowiem polega na łącze-



Dom Drodzów – elewacja północna

Projekty intymne

MAREK SKWARA

niu jego przemyśleń i umiejętności z potrzebami i poglądami zamawiającego projekt inwestora. Z synergii tych działań ma powstać rezultat satysfakcjonujący zarówno twórcę, jak i przyszłego, zazwyczaj wieloletniego użytkownika. A to już nie jest takie oczywiste i nie zdarza się tak zawsze. Często przyszły użytkownik nie zawiera architektowi w pełni, wprowadza swoje pomysły bez konsultacji z autorem projektu. Bu-

rzy jego spójność w przekonaniu, że wie lepiej, bo to przecież jego dom... A w rozmowie tkwi tajemnica powodzenia przedsięwzięcia.

Szczególnie ważne wydaje się takie postępowanie w przypadku pomysłów kontrowersyjnych i niecodziennych. Do nich powinni być przekonani wszyscy uczestnicy procesu inwestycyjnego: architekt, inwestor, no i jeszcze wykonawca, bo tylko taka synergiczna współpraca pozwala na osiągnięcie pełnego sukcesu.

W tym kontekście wzorcowym przykładem jest twórczość znanego już nie tylko w Polsce katowickiego architekta Roberta Koniecznego z jego niecodziennymi zdolnościami perswazyjnymi i otwartością jego inwestorów w realizacji szczególnych w formie i funkcji domów jednorodzinnych: Aatrialnego, Bezpiecznego, Kwadrantowego, Outrialnego, czy po Drodze... Bo zrealizowanie na swój sposób ekstrawaganckich pomysłów wymaga wyjątkowego poziomu współpracy i zbudowania atmosfery pełnego wzajemnego zaufania.

W praktyce Atelier PS zdarza się taka sytuacja od czasu do czasu. Zaprzyjaźnieni Inwestorzy zamawiający przebudowę „kostki polskiej” z lat 60.



Dom wysokich drzwi – elewacja południowa



Dom wysokich drzwi – strefa dzienna oraz strefa kuchni

po wielokrotnych spotkaniach i rozmowach zaufali nam w pełni i przystali na wszystkie proponowane rozwiązania. Typowy dom z lat 60. został drastycznie przebudowany, włącznie z przemieszczeniem schodów, układem pomieszczeń i relokacją okien. Przeszklony hol wejściowy wyrzucano poza obrys starego budynku poprzez dostawienie ściany pokrytej łupkiem południamerykańskim. Nad wejściem powstał rodzaj mostka kapitańskiego, a od strony ogrodu wyniesiony taras z drewna tekowego na stalowej konstrukcji. Decyzje projektowe we wnętrzu polegały na maksymalnym otwarciu rzutu parteru i stworzeniu intymnych przestrzeni dla domowników na piętrze. Orientacja domu pozwoliła efektywnie wykorzystać światło dzienne, a zastosowanie wielkiego porządku w kształtowaniu okien w elewacji północnej w strefie schodów i komunikacji pozwoliło na prześwietlenie domu łagodnym północnym światłem rozproszonym. Kompozycja zgrupowanych okien na elewacjach podkreślona płaszczyznami z łupka dała obiektowi harmonijny wyraz miejskiej willi. Ingerencja w starą bryłę budynku była więc brutalna, nie ograniczyła się do architektonicznej kosmetyki, ale dała właścicielom satysfakcjonujące funkcjonalnie i estetycznie miejsce do życia.

„Dom wysokich drzwi” jest z kolei realizacją poprowadzoną na niezabudowanej działce. Mimo iż nie było ograniczeń, jego bryła jest powściągliwa, prostopadłościenna, usytuowana w północnej części podłużnej działki, tak, że pomiesz-

czenia mieszkalne czteroosobowej rodziny otwarte są na południową część ogrodową działki. Wnętrza wysokie, z dwukondygnacyjnym otwarciem strefy jadalni z przyległą kuchnią i salonem kominkowym na parterze ze strefą wypoczynkową na piętrze. Całość z drewniano-stalowymi schodami wiszącymi na stalowych cienkich prętach i rozrzeźbionym kominkiem definiującymi duszę domu. Część ścian i sufity domu pozostawione w naturalnej strukturze betonu wylewanego na miejscu tworzą dobrą oprawę dla minimalistycznych mebli. Ukończony w roku 2014 został wybrany do reprezentowania Polskiej Architektury w VIII edycji wystawy Domy Jednorodzinne w Krajach Grupy Wyszehradzkiej.

Usytuowany na granicy Katowic i Mikołowa dom na działce mierzącej

kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych od początku miał mieć charakter rozłożystej gawry, z pokojami i wieżą z której ma rozpościerać się niezakłócony widok na otwarte i zalesione połacie odwiedzane codziennie przez stada zwierzyny leśnej: saren, dzików, lisów, zajęcy i jeży. Układ domu obejmuje swymi skrzydłami atrakcyjny krajobraz z zagajnikiem, wydziela zewnętrzny salon ogrodowy, stanowiąc w całości bezpieczną enklawę z wewnętrznym kominkiem, jak odwiedzane często przez właścicieli schroniska wysokogórskie Tatr, Alp i Himalajów. Jednoprzestrzenne wnętrze z kładkami/pomostami i dostępnymi z nich prywatnymi pokojami pozwala na łatwy, niezakłócony kontakt wzrokowy i głosowy trójki mieszkańców, którzy, znajdując się w różnych rejonach domu, widzą się wzajemnie i mogą prowadzić swobodnie rozmowę.

Pokazane obiekty to te, niestety niezbyt liczne, które charakteryzuje atmosfera pełnej współpracy, dialogu, wzajemnego zrozumienia, poszukiwania najlepszych, logicznych i ekonomicznie uzasadnionych rozwiązań. Są też inne, w których dochodziło do kompromisów w różnym stopniu zubażających ideę projektu lub też pojawienia się drastycznych różnic stanowisk, które uniemożliwiały w ogóle kontynuowanie współpracy. I tych obiektów zdecydowanie nie warto pokazywać... ■

Autorzy projektów:
ATELIER PS
Miroslaw Polak
Marek Skwara



Gawra

Panie profesorze, jest Pan wybitnym specjalistą, zajmującym się kraniosynostozą, czyli przedwczesnym zarastaniem szwów czaszkowych. To problem dotyczący dzieci w określonym wieku, mający też podłoże genetyczne.

Prof. Dawid Larysz: To przede wszystkim zespół wad wrodzonych, pojawiający się w pierwszym trymestrze życia płodowego. Kiedy u płodu kształtuje się głowa, mózg rozpycha czaszkę, a ona rośnie. Żeby ten proces mógł zachodzić, kości czaszki nie są ze sobą sztywno połączone, zaś rolę spoiwa odgrywają miejsca o pewnym stopniu elastyczności – tzw. szwy czaszkowe. Kraniosynostozą to ich patologiczne przedwczesne zarastanie. Jaki jest tego efekt? Rozpychający się, wzrastający mózg zaczyna zniekształcać czaszkę, pojawiają się charakterystyczne dla każdego ze szwów nieprawidłowości w budowie i kształcie głowy. Co bardzo ważne: zniekształcenia dotyczą zawsze całej czaszki, zarówno części okrywającej mózg, jak i twarzoczaszki. A to generuje wiele funkcjonalnych nieprawidłowości.

To kształt i wygląd głowy jest poważnym problemem?

D.L.: Operując dzieci z kraniosynostozami, poprawę wyglądu uzyskujemy niejako przy okazji i nie jest to podstawowy cel leczenia. Głowa, podobnie jak serce czy wątroba, jest narządem spełniającym w organizmie określone funkcje. Jej nieprawidłowa budowa, związana z przedwczesnym zarastaniem szwów czaszkowych, zaburza m.in. funkcję ochronną mózgu, powoduje nieprawidłowe ustawienie i głębokość oczodołów, może zmniejszać objętość dróg oddechowych czy też upośledzać aparat zucia i mowy.

Czy leczenie operacyjne jest konieczne w każdym przypadku?

D.L.: Jeśli mózg nie ma miejsca, by się wewnątrz czaszki rozwijać, pojawia się nadciśnienie wewnątrzczaszkowe. To stan zagrożenia zdrowia i życia, wtedy operacja jest bezwzględnie konieczna. Na szczęście u wielu dzieci z kraniosynostozami takie nadciśnienie występuje rzadko. Kraniosynostozy jednak powodują nieprawidłowy wzorzec wzrostu głowy. Przez pierwsze lata życia głowa rośnie bardzo intensywnie, a nieprawidłowy wzorzec powoduje coraz większe deformacje i zaburzenia różnych funkcji. Leczenie chirurgiczne zatrzymuje ten proces i w tym kontekście im szybciej je przeprowadzimy, damy na to już w pierwszym roku życia dziecka, tym lepiej. Istnieją także dzieci z zespołami genetycznymi, np. z zespołem Crouzona czy Aperta, kiedy wszystkie kości są nieprawidłowe – oprócz czaszki, również krę-

Czaszka w dobrych rękach

MAŁGORZATA LICHECKA

Rozmowa z **prof. Dawidem Laryszem**, specjalistą neurochirurgii, neuropsychologiem logopedą, zawodowo związanym z Zakładem Radioterapii Centrum Onkologii w Gliwicach i z Centrum Wad Twarzoczaszki w Olsztynie, oraz **prof. Markiem Gzikiem**, dziekanem wydziału inżynierii biomedycznej Politechniki Śląskiej.

gosłup, kości kończyn czy klatki piersiowej. Wówczas często konieczne są dodatkowe operacje.

Jakie były początki Panów współpracy?

Prof. Marek Gzik: Współpraca rozpoczęła się w 2007 roku. Katedra Mechaniki Stosowanej Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Śląskiej kupiła program do planowania przedoperacyjnego. Udało mi się zainteresować nim wtedy jeszcze doktora Larysza, a chodziło o to, żeby neurochirurdzy, zanim wejdą na salę operacyjną, mogli na wirtualnym modelu przygotowywać zabiegi. Są one dość skomplikowane, wymagają dużych zdolności manualnych i pewnej wyobraźni. W naszym oprogramowaniu, bazującym na tomografii komputerowej, budujemy modele 3D. W roku 2007 wspólnie rozpoczęliśmy

tworzenie pierwszych modeli i na ich podstawie przygotowaliśmy, przedoperacyjnie, zabiegi. Inżynier z lekarzem, korzystając z technologii wirtualnej rzeczywistości, planują cały zabieg w oparciu o konkretne parametry medyczne. W ten sposób widać wszystkie wady, z którymi neurochirurg będzie miał do czynienia na sali operacyjnej. Po latach współpracy pierwsze próby zamieniliśmy w konkretną metodę, która znalazła odzwierciedlenie w awansach zawodowych naszych kolegów, powstało bowiem kilka doktoratów i habilitacje. **Planowanie przedoperacyjne daje wymierne korzyści dla małego pacjenta.** **M.G.:** Przede wszystkim jest o wiele bezpieczniejsze. Dzięki wirtualnym technologiom można „poprzesuwać” kości na monitorze. Przedtem ukła-



Od lewej – Dawid Larysz i Marek Gzik

for. Małgorzata Lichecka



Alegoria macierzyństwa – rzeźba Hansa Dammanna z roku 1933. Po oczyszczeniu kamienia z nawarstwiających się przez wiele dekad zanieczyszczeń, ukazała się kompozycja niezwyklej urody. Rzeźbę ustawiono przed kliniką dla kobiet (Landesfrauenklinik der Provinz Oberschlesien), stanowiącą wartościowy przykład budownictwa modernistycznego (1931–33). Obecnie, po rozbudowie zrealizowanej w latach dziewięćdziesiątych, mieści się tam Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowy Instytut Badawczy, Oddział w Gliwicach

dano je, w zasadzie, podczas zabiegu. Dzięki naszej metodzie przebiega to znacznie sprawniej, a po kilku latach

ze zminimalizowaniem przetoczeń preparatów krwiopochodnych. Wcześniej mieliśmy pewne szablony, po-

fantastycznie rozwinęło się naukowo. Chodzi nie tylko o modelowanie 3D, włączyliśmy również symulacje numeryczne czy analizę biomechaniczną, żeby uzyskać z jednej strony maksimum efektów, z drugiej dokonać zabiegu w sposób jak najmniej inwazyjny. Jeśli chodzi o metodę inżynierskiego wspomagania w zabiegach korekcji wad czaszki u dzieci, rozwinęliśmy ją w oparciu o szereg przeprowadzonych badań. Dwien kanon postępowania.

A co Pana Profesora przekonało do takiej współpracy?

D.L.: Tak naprawdę nasza współpraca rozpoczęła się od odpowiedzi na pytanie: jak zabieg uczynić bezpieczniejszym? Pamiętamy, że operację przeprowadzamy u kilkumiesięcznych dzieci, a dotyczy ona często znacznej części głowy. Wiąże się to z dużą utratą krwi. Dalej znieczulenie, czyli podawanie leków, na które dzieci nie są przecież obojętne. Skrócenie czasu zabiegu wiąże się również

kazujące jak powinno się operować daną wadę. Ale uświadomiliśmy sobie prostą zależność: każde dziecko jest inne. Zatem powinniśmy dostosować zabieg do konkretnego przypadku, danej wady. Współpraca z zespołem prof. Gzika spowodowała, że obecnie możemy każdemu dziecku zaplanować zindywidualizowane, optymalne dla niego leczenie. Pozwoliła również na stworzenie bazy danych tomografii zdrowych dzieci, a to z kolei, poprzez metody matematyczne, pozwoliło znaleźć modelową głowę. To ważny etap planowania przedoperacyjnego. Od 2007 roku wykonaliśmy przeszło tysiąc takich zabiegów i taka metoda jest dziś standardem. Kolejnym profitem wynikającym z naszej współpracy było stworzenie zindywidualizowanych szablonów operacyjnych. I tu pomaga nam planowanie. Operacje ze zindywidualizowanymi szablonami to operacje pionierskie na świecie. Aktualnie idziemy jeszcze krok dalej – chodzi o planowanie zabiegów w wirtualnej i rozszerzonej rzeczywistości: zakładając gogle, bądź posługując się odpowiednimi monitorami sprzęgniętymi z systemami neuronawigacji, widzimy podczas operacji, gdzie powinniśmy przesuwać kości. Nad tym w tej chwili pracujemy, a bez pomocy inżynierów biomechaników, a przede wszystkim prof. Gzika, byłoby to niemożliwe.

M.G.: W ciągu 10 lat miałem okazję oglądać wiele operacji i wiem, że dzięki tej metodzie wiele dzieci uniknęło nie tylko estetycznych problemów. To pokazuje, jak ważne jest znaczenie inżyniera w medycynie. W tamtych latach miałem problem z zainteresowaniem lekarzy – nie chcieli korzystać z inżynierskiego wspomaganie, z wirtualnych programów, pozwalających na komputerze przeprowadzać zabiegi. Pierwszym był doktor Larysz, z którym wspólnie stworzyliśmy metodykę operacyjnego leczenia tej wady genetycznej. ■

Marek Krzysztof Gzik: polski inżynier, profesor nauk technicznych, profesor zwyczajny Politechniki Śląskiej, dziekan Wydziału Inżynierii Biomedycznej tejże uczelni. Od 2015 zatrudniony na stanowisku profesora zwyczajnego. Specjalizuje się w zagadnieniach związanych z inżynierią biomedyczną i biomechaniką. Był prodziekanem Wydziału Inżynierii Biomedycznej ds. ogólnych i rozwoju. W 2011 objął stanowisko kierownika współtworzonej przez siebie Katedry Biomechatroniki, został następnie dziekanem Wydziału Inżynierii Biomedycznej, a także pełnomocnikiem rektora uczelni ds. współpracy z przemysłem.

Dawid Larysz: dr hab. n. med. profesor nadzwyczajny Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie Oddział w Gliwicach, specjalista neurochirurgii, neuropsycholog, logopeda. Nauczyciel akademicki, prezes Polskiego Towarzystwa Leczenia Twarzy i Czaszki. Obszary jego zainteresowań naukowych to m.in. wielospecjalistyczna diagnostyka, leczenie i terapia dzieci z wadami mózgo- i twarzoczaszki; biologia molekularna wad czaszki oraz pierwotnych nowotworów ośrodkowego układu nerwowego, małoinwazyjne endoskopowe metody leczenia operacyjnego nowotworów podstawy czaszki oraz zastosowanie nowoczesnych metod mikroneurochirurgicznych do leczenia pierwotnych nowotworów glejowych mózgowia.

Polskie muzea, biblioteki, zbiory dzieł sztuki w ciągu dziejów podlegały wielu niszczycielskim i grabieżczym działaniom, poczynając od wojen XVII wieku z apogeum w postaci Potopu szwedzkiego w latach 1655–1660. Wystarczy przejrzeć katalogi Biblioteki Uniwersyteckiej w Uppsali, aby przekonać się, jakie skarby polskiej kultury zostały tam umieszczone po obrabowaniu księgozbiorów królów polskich, bibliotek zakonnych czy kapituły fromborskiej ze zbiorami Mikołaja Kopernika. Nie ma już dziś żadnych możliwości prawnych odzyskania tych zbiorów – pozostaje zakup dzieł pojawiających się na aukcjach lub gesty polityczne, jak zwrot przez ówczesnego premiera Szwecji Olofa Palmego tzw. rolki sztokholmskiej w 1974 roku (obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie). Ogromne straty i zniszczenia – także w zakresie kultury polskiej – przyniosła, zwłaszcza na Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, I wojna światowa i wydarzenia nią spowodowane, przede wszystkim rewolucja w Rosji i rozruchy społeczne jej towarzyszące. Ustalenia pokoju ryskiego z 1921 roku przewidywały zwrot znajdujących się w Rosji polskich dóbr kulturalnych, zagrabionych podczas zaborów. Zwrócono jednak ich niewielką część, choć z tak cennymi zabytkami jak arrasy wawelskie czy miecz koronacyjny królów polskich Szczerbiec. Nikt nie przewidywał wówczas, że mogą zdarzyć się jeszcze straszniejsze dla całego narodu i jego dóbr kultury wydarzenia; gdyby tak było, nie sprowadzono by przecież do kraju zbiorów bezcennych druków i rękopisów Muzeum Polskiego i biblioteki w Rapperswilu, które zostały spalane przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego.

W czasach tuż po odzyskaniu niepodległości odczuwano potrzebę inwentaryzacji dóbr polskiej kultury, które ocalały mimo kilku wieków ich niszczenia i grabienia przez najeźdźców i zaborców. Celem takiej inwentaryzacji, obok ukazania wielkości dorobku kulturowego narodu polskiego, było też stworzenie podstawy do starań o zwrot zagrabionych dóbr kultury polskiej – stąd też objęcie inwentaryzacją nie tylko zbiorów znajdujących się na terenie II Rzeczypospolitej, ale i poza jej granicami (głównie w ówczesnym ZSRR). Zadania tego podjął się Edward Chwalewik, żyjący w latach 1873–1956 polski bibliotekarz, bibliofil i historyk książki, w latach II RP pracownik Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej jako organizator i kierownik biblioteki ministerialnej. W ciągu kilku lat żmudnej pracy zebrał materiał, napisał i wydał dwutomowe dzieło, któremu nadał tytuł *Zbiory polskie. Archiwa, biblioteki, gabinety, galerie, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie w porządku alfabetycznym według miejscowości ułożone*. Uka-



W. Skoczylas: Lwów, kościół Bernardynów

Co nam zostało z tych lat... Lwów w zbiorach polskich Edwarda Chwalewika

ANTONI WILGUSIEWICZ

zało się ono w ekskluzywnym wydaniu 100 egzemplarzy numerowanych nakładem J. Mortkowicza w latach 1926–1927. Obecnie jest łatwiej dostępne w formie reprintu wydanego przez Krajową Agencję Wydawniczą w 1991 roku.

Dzieło Chwalewika, mimo nieuchronnych braków, z których przyczyn autor zdaje sprawę we wstępie, jest nieocenionym kompendium wiedzy o dobrach kultury polskiej po I wojnie światowej, tym cenniejszym, że wiele z nich już w kilkanaście lat po wydaniu dzieła zaginęło, zostało zrabowanych, zniszczonych lub po prostu znalazło się na terenie innego niż Polska państwa. W tej ostatniej kategorii znalazły się zbiory lwowskie (tylko w nieznaczonej części przekazane po wojnie Polsce, jak część zbiorów Ossolineum czy *Panorama Raclawicka*) – dlatego też warto przyrzeć im się bliżej. Pozwała nam to jeszcze raz zrozumieć rolę, jaką Miasto Semper Fidelis odgrywało w dziejach polskiej kultury, rozumianej zresztą szerzej, jako kultura dominująca w wielonarodowej, wielowyznaniowej I Rzeczypospolitej i jej kontynuacji w warunkach braku własnej państwowości w latach rozbiorów.

Na początku zauważmy, że hasło Kraków w książce zawiera 76 stron, hasło Warszawa 170 (oczywiście, była to Warszawa przed zniszczeniami II wojny światowej), Wilno 40, Leningrad (wcześniej i dziś Petersburg) 60, Kijów 8, Katowice 1 stronę. Lwów zajmuje 52 strony.

Pod hasłem Lwów znajdujemy w dziele opis zbiorów 8 archiwów, 60 bibliotek, 7 kościołów, 15 muzeów, a poza tym Ratusz, Politechnikę, Uniwersytet, Teatr Miejski, Panoramę Raclawicką, 8 pomników na ulicach Lwowa i Cmentarz Łyczakowski, a wreszcie Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Opis uzupełniają zbiory prywatne ponad 70 lwowian (lub ich spadkobierców). Trzeba zaznaczyć, że wykaz ten zawiera w sobie obraz wielokulturowego Lwowa, tak więc rozpoczynając od archiwów, mamy archiwum kapituły rzymsko-katolickiej (najcenniejsze dokumenty to 320 pergaminów – najstarsze z nich są przywileje Kazimierza Wielkiego z 1352 roku), ale także kapituły grecko-katolickiej przy katedrze św. Jura (w nim najstarszy dokument w języku ruskim to przywilej Zygmunta III z 1605 roku) i archiwum konsystorskie ormiańskie, gdzie najcenniejszy był ormiański ewangelista pergaminowy z XIII wieku. W Ratuszu mieściło się Archiwum Król. Stoł. M. Lwowa, założone w 1787 roku, ale zawierające znacznie starsze, bezcenne dokumenty dotyczące dziejów Lwowa – poczynając od bulli Grzegorza IX z 1234 roku. Dyrektorem Archiwum był wybitny znawca dziejów Lwowa dr Aleksander Człowski. W gmachu Urzędu Wojewódzkiego mieściło się Archiwum Państwowe, przechowujące akta z czasów rządów austriackich w Galicji, zaś w klasztorze bernardynów archiwum ziemskie, zwane

popularnie bernardyńskim, którym kierował tak wybitny uczyony, jakim był prof. Oswald Balzer. Zawierało ono bezcenne materiały do dziejów Małopolski, późniejszej Galicji w postaci akt grodzkich i ziemskich, map, a także takie unikatki, jak skonfiskowane przez ówczesne władze druki rewolucyjne z lat Wiosny Ludów.

Wśród wielu bibliotek lwowskich były bardzo znane, zawierające ogromne, często bezcenne zbiory rękopisów, książek i czasopism, takie jak Biblioteka Baworowskich, Dzieduszyckich, tzw. Poturzycka, a także Pawlikowskich, tzw. Medycka (ofiarowana w 1921 roku Ossolineum), biblioteki klasztorne (jak np. OO. Karmelitów trzewickowych, gdzie znajdowało się m.in. kilka tomów z biblioteki króla Zygmunta Augusta), biblioteka uniwersytecka, która utraciła w 1848 roku prawie $\frac{3}{4}$ zbiorów wskutek barbarskiego bombardowania miasta przez Austriaków, ale później szybko się odbudowała i liczyła w latach dwudziestych XX wieku około 320 tys. tomów (w tym 222 inkunabuły). Warto wymienić dwie biblioteki gminy izraelskiej z cennymi judaikami czy też kilka bibliotek z dziełami spisanyymi w języku ruskim, a nawet staro-cerkiewno-słowiańskim i bułgarskim, jak Biblioteka Ojców Bazyliańców przy Cerkwi św. Onufrego. W tej kategorii najważniejszą była Biblioteka Towarzystwa Naukowego im. Tarasa Szewczenki, największa na terenie ówczesnej Polski biblioteka ukrainoznawcza, zawierająca m.in. zbiór 7000 tomów po Iwanie Franko.

We Lwowie reprezentowane były też biblioteki, które można określić jako fachowe, a więc np. Biblioteka Politechniki, Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego, Towarzystwa Muzycznego, Towarzystwa Prawników Polskich, zawierające liczne dzieła specjalistyczne w języku polskim,



Jan Styka: *Polonia*

niemieckim, francuskim i innych.

Osobne miejsce, unikalne w skali całej Polski, a nawet Europy zajmował Zakład Narodowy im. Ossolińskich, którego częścią było Muzeum Lubomirskich, oparte na ich zbiorach przewiezionych z Przeworska. Zbiory Ossolineum były tak ogromne i cenne, że w omawianej książce tylko ich pobieżny, szkieletowy opis zajmuje kilka stron drobnego druku. Można tylko wspomnieć, że w 1945 roku samych książek (w tym starodruków) było tu zgromadzonych 760 tysięcy tomów. Jaka część tych zbiorów znajduje się obecnie w Polsce? Szacuje się, że około 30%...

Muzea lwowskie, obok wspomnianego Muzeum Lubomirskich, to Muzeum Narodowe im. króla Jana III (w kamienicy zwanej Królewską, obecnie Korniaкта, w Rynku, a także w pałacu Łozińskiego, obok Ossolineum), Muzeum Historyczne m. Lwowa (w Kamienicy Sobieskiego), Muzeum Przemysłowe Miejskie, od 1905 roku w gmachu własnym niedaleko Teatru Wielkiego (po wojnie Muzeum Lenina, obecnie ukraińskie Muzeum Narodowe im. Andrzeja Szeptyckiego, którego druga część już przed wojną mieściła się w willi Dunikowskiego przy ul. Mochnackiego). Osobne miejsce wśród lwowskich muzeów zajmowało działające obecnie w tym samym miejscu przy ul. Teatralnej (wówczas Rutowskiego) Muzeum Przyrodnicze, założone w 1845 roku przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Muzeum służyło m.in. ze szkieletów zwierząt kopalnych, jak nosorożec ze Starunki/Nadwórnej. Odtworzony wraz ze znalezionym obok mamutem, stanowi dziś główny eksponat muzeum.

Wśród zbiorów prywatnych mieliśmy cenne kolekcje sztuki zgromadzone przez arystokratów, jak hr. Leon Piniński czy rodzina Gołuchowskich, a także zbiory uczonych, jak Aleksander Semkowicz, zbieracz pamiątek dotyczących Adama Mickiewicza, czy pisarzy, jak Stanisław Wasylewski, który zgromadził około 3 tys. tomów ze szczególnym uwzględnieniem pamiętnikarstwa (niedługo później przeniósł się do Poznania). Warto też wspomnieć o Franciszku Biesiadec-

kim, który w zbudowanym przez siebie niezwykle pałacu przy ulicy Potockiego 50 zgromadził cenne zbiory monet i ekslibrisów i wybitnym prawniku Maurycym Allerhandzie, który zgromadził około 2 tysięcy tomów, a także cenne egzemplarze grafiki polskiej i obcej. W 1942 roku zginął on jako jedna z ofiar Holokaustu w Obozie Janowskim we Lwowie – można się tylko domyślać, co stało się z jego zbiorami.

W podsumowaniu wspomnijmy o losach 8 pomników lwowskich, uznanych przez autora za najcenniejsze.

- Pomnik Aleksandra Fredry – obecnie we Wrocławiu
- Pomnik Agenora Gołuchowskiego – zaginął
- Pomnik Stanisława Jabłonowskiego – zaginął
- Pomnik Jana Kilińskiego – stoi w parku Stryjskim na dawnym miejscu
- Pomnik Adama Mickiewicza – stoi w centrum miasta na dawnym miejscu
- Pomnik Franciszka Smolki – zaginął
- Pomnik konny króla Jana Sobieskiego – obecnie w Gdańsku
- Pomnik Kornela Ujejskiego – obecnie w Szczecinie

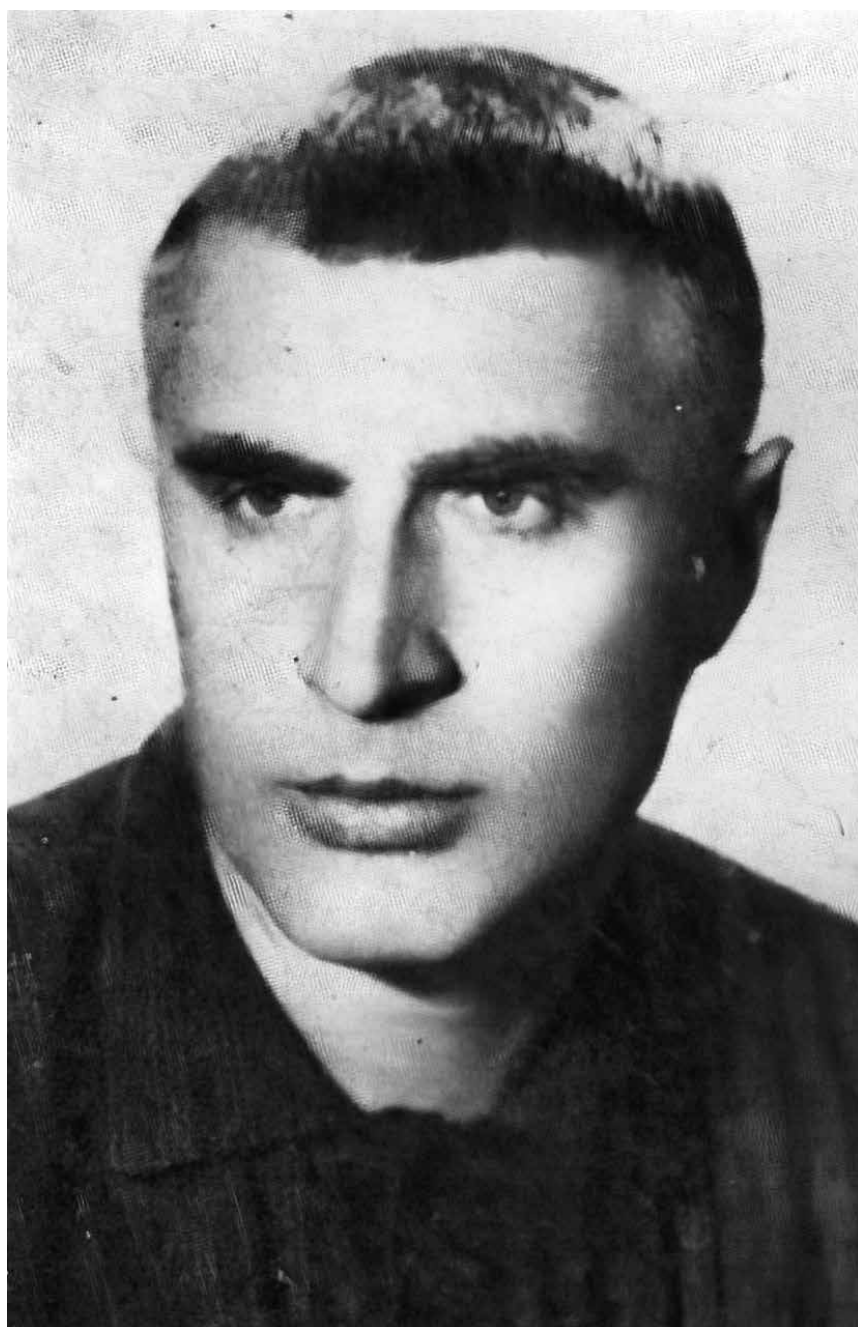
Co zostało z centrum polskiej, ale też europejskiej kultury, jakim był przez kilka wieków Lwów? W jakimś stopniu tradycje te są kontynuowane na miejscu, we Lwowie, choć oczywiście w formie bardzo okrojonej i opatrzonej komentarzem często trudnym do akceptacji przez Polaków. Częściowo zostały przeniesione do Polski w granicach z 1945 roku, jak na przykład do Wrocławia. Obok pomnika Aleksandra Fredry, Ossolineum czy *Panoramy Raclawickiej* znalazł się tu obraz Jana Styki *Polonia*, wymieniony przez Chwalewika jako główne dzieło sztuki przechowywane w lwowskim Ratuszu. Wydobyty z magazynów muzealnych z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości, obecnie obraz jest eksponowany w Zamku Piastów Śląskich w Brzegu, gdzie towarzyszy otwartej niedawno wystawie „Kresy. Ocalone wspomnienia”. Można to potraktować jako swoisty epilog do dzieła Edwar- da Chwalewika.



Pomnik Agenora Gołuchowskiego

W utworze nie pojawia się apofroficzna forma, nie ma lirycznego „ty”. Monolog poetycki, z jakim się stykamy, można sklasyfikować jako *soliloquium*, w którym dochodzi zazwyczaj do najtrudniejszego spotkania. Jest to często odkładane spotkanie z samym sobą, z „ja” uświadamiającym sobie prawdę spychaną w podświadomość. A jest to prawda umykająca wyrażeniu, odczuwana przez duszę i tylko w duchowym obszarze znajdująca ukojenie. Czego ona dotyczy? Uporczywy ciąg myśli wybiega w rzeczywistość znajdującą się po prawej stronie osi czasu, w przeszłość, w której „ja” poznające nie będzie już w tym, co poznane. Będzie w czymś nowym, czymś przekraczającym epistemologiczne możliwości dane tu i teraz. W związku z tym nowa przestrzeń trwania podmiotu jawi się jako rzeczywistość transcendentna możliwa do opisania jedynie przez pojemną symbolikę, której głębokie warstwy w sposób niewątpliwie niedoskonały uzmysławiają istnienie czegoś więcej niż to, co daje bezpośredni ogląd świata. Uświadamiana nieadekwatność deskrypcji poetyckiej nie powinna jednak wygaszać prób językowego uchwycenia tajemnicy drugiej strony. Każda z nich jest bowiem w jakimś sensie częścią większej prawdy, o której mówi cała kultura obejmująca nurt metafizyczny. Tak też jest w wierszu Stanisława Horaka.

Przyjrzyjmy się jego drugiej części, czyli ostatniemu dystychowi. I cóż tam mamy? Dopiero w trzecim wersie liryku – „zbliżam się do ciszy prawdziwego światła” – ujawnia się podmiot mówiący. Czy wypowiedź w pierwszej osobie można wiązać z autorem? Gdy autor *Listopadowych sadów* pisał wiersz, miał ok. 40 lat. Nie jest to jeszcze wiek mędrców. Ale może być to wiek osób, które przez okrucieństwo historii zostały wewnętrznie tak zniszczone, że ich stan psychiczny przekłada się na mentalną starość, wyczerpanie i zrezygnowanie widoczne w dziele twórczym. Pamięć wojny, od której w przypadku Horaka, w roku wydania zbioru, minęło 20 lat, musiała być wciąż świeża. Tego typu wydarzenia nie ulegają zatarciu, nie ma dla nich przedawnienia w pamięci. Przypomnijmy sobie doświadczenia podmiotu mówiącego utworu *Ocalony* Tadeusza Różewicza. Liryczne „ja” Horaka przechodzi na drugą stronę przełęcz życia. Przechodzi z całym bagażem wewnętrznych doświadczeń, o których wspomina w pierwszej części utworu, z bolesną pieśnią wspomnień i z umykającym czasem. Ta przeszłość nie może



Stanisław Horak

być zostawiona, nie można niestety się od niej odciąć. A czas, wiadomo, nie odstąpi od dokończenia swego dzieła.

Ale teraz punkt ciężkości przesuwają się w inną stronę. Podmiot mówiący spogląda przed siebie. Czekają na niego „cisza prawdziwego światła”. Napotykałyśmy w tym fragmencie lirycznego wyznania element niosący ze sobą znaczącą symbolikę. To niejako punkt kulminacyjny zapowiedziany już tytułem utworu. A zatem światło. O jego niezwykłości mówi stylistyczny ornament – epitet „prawdziwe”. Taki kwalifikator wprowadza opisane pojęcie w kontekst teologiczny. Jest to jedno z najczęściej występujących słów-kluczy w Piśmie Świętym. Wyrażenia zawarte choćby w Księdze Psalmów, gdzie czytamy:

„Pan światłem i zbawieniem moim” (Ps 27,1), w Ewangelii wg św. Jana: „Była światłość prawdziwa [podkr. – T.P.], która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi” (J 1,9), czy też w innym fragmencie Janowego dzieła: „A oto znów przemówił do nich Jezus tymi słowami: «Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia»” (J 8,12), wystarczająco rozjaśniają tę symbolikę.

Rzeczony światło w utworze Horaka zostało ponadto określone synestetycznie – podmiot zbliża się do jego ciszy, a zatem bardziej je przyswaja zmysłem słuchu niż wzroku. Nie jest to więc światło w zwyczajnym słowa rozumieniu. Poetyckie obrazowanie w swej zdolności ję-

zykowego sugerowania niedookreślonej warstwy rzeczywistości koncentruje uwagę odbiorcy na semantycznym rozdarciu pomiędzy tym, co jasno przedstawia się postrzeganiu zmysłowemu. Niewypełniona przestrzeń między konkretnymi znaczeniami nie pozostaje u utworze pusta. Ewokowany byt transcendentny, określony metaforycznie „ciszą prawdziwego światła”, stanowi dla lirycznego „ja” na tyle pewny odnośnik, że jest on dla niego punktem zaczepienia. Uchwycenie zamazanych przejawów świata nieprzedstawionego jest dostatecznie wystarczające, by z ufnością oddać się przyszłym wyobrażeniom. Jest to atrakcyjna perspektywa, gdyż antonimicznie wypiera to, co było wcześniej. Zauważmy: cisza i światło przeciwstawiają się hałasowi i ciemności, czyli deskryptorom zniszczenia opisanego w pierwszym wersie.

Zatrzymajmy się jeszcze na słowach otwierających trzecią linijkę. Mając na uwadze rozpoznany kontekst teologiczny, frazę „zblizam się...” możemy, jak sądzę, nałożyć na początkowe słowa pieśni, której autorstwo jest przypisywane św. Tomaszowi z Akwinu. Mowa o hymnie *Adoro Te*, znanym szerzej pod tytułem *Zblizam się w pokorze*. Użytkamy dzięki temu dodatkowe rozwinięcie odsłoniętych już symboli związanych z „ciszą prawdziwego światła”. Słowa pieśni niosą ze sobą istotne skonkretyzowanie. Przypomnijmy fragment tekstu: „Zblizam się w pokorze i niskości swej; Wielbię Twój majestat, skryty w Hostii tej”. Hostia wystawiona do adoracji w złoconej monstrancji, w otoczeniu modlitewnej ciszy, jest najjaśniejszym i najważniejszym miejscem każdej kaplicy Najświętszego Sakramentu. Jej biel, podkreślona kolorem cennego kruszcu, jawi się jako skupienie „prawdziwego światła”, o którym pisał Horak. Między lirycznym opisem autora *Listopadowych sadów* a słowami pieśni Tomasza z Akwinu możemy zatem dostrzec znaczeniową paralelę. Podmiot mówiący zbliża się do *sacrum*, zostawiając za sobą sferę *profanum*. *Sacrum*, lirycznie określone zawołaną peryfrazą, pozostaje intrygującą i inspirującą tajemnicą. Wciąż więcej o tej sferze nie wiemy niż wiemy. Przyjęta konwencja ma swe uzasadnienie w poznawczej postawie podmiotu, u którego możemy rozpoznać, analogicznie jak u osoby mówiącej z hymnu Akwinaty, pokorę i chyba jakiś ślad lęku człowieka wobec majestatu Boskości.

Jej ostatni równoważnik znaczeniowy zapisany jest w czwartym wersie *Światła*. Kolejne sformułowanie dotyczące innej przestrzeni bytu jest niczym barokowy concept – zaskakuje finałem i minimalistycznie dotyka teologicznego maksymalizmu. To kontynuacja poprzedniej linii utworu. Osoba mówiąca zbliża się również – jak czytamy – „do szalonej pory, która nie ma znaku”. Dlaczego szalonej? Interpretacja tego epitetu nie nastręcza trudności. Szalona, bo niemieszcząca się w ramach racjonalności, wybiegająca poza to, co kulturowo znane. Pora, do której zbliża się liryczne „ja”, jest czasem odsyłającym do nieodgadnionej przyszłości, jest czystą transcendencją niezabudowaną żadnym pojęciem znanym ze sfery *profanum*. Pora, „która nie ma znaku” – oto przestrzeń ujęta werbalnie poprzez to, czego w niej nie ma. Językowy majstersztyk peryfrazy wskazuje jednak na byt, na istniejące „coś” zasłonięte kotarą zmysłów przed pełnym oglądem. Mamy bowiem do czynienia z rzeczywistością umykającą zmysłowemu rozpoznaniu. Jej świat przedstawiony nie jest odbierany w sposób bezpośredni, lecz przechodzi pośrednio w poetyckim odczuwaniu poprzez system symboli i metafor.

Możemy w tym miejscu jeszcze raz odwołać się do słów pieśni *Zblizam się w pokorze*. W drugiej zwrotce utworu przeczytamy następujące zastrzeżenie: „Mylą się, o Boże, w Tobie wzrok i smak; Kto się im poddaje, temu wiary brak”. Transcendencja *sacrum* jest nieopięta, nie da się opisać jej wyglądu, nie da się do niej zbliżyć jakimkolwiek zmysłem. Ona, jak już wiemy, „nie ma znaku”. Ale jest. Podmiot mówiący w to nie wątpi. Na końcu wiersza Horaka mogłaby się znaleźć jeszcze jedna strofa. Byłaby nią ostatnia część pieśni Tomasza z Akwinu: „Pod zasłoną teraz, Jezu, widzę Cię; Niech pragnienie serca kiedyś spełni się: Bym oblicze Twoje tam oglądać mógł, Gdzie wybrany miejsce przygotował Bóg”. Semiotyczna niemożliwość poznawcza wykuta w słowach o porze, „która nie ma znaku”, znalazła obejście, dając duszy niezagaśłą nadzieję, wiarę w przenośnie wyrażoną Bożą obecność. Poeta taką deskrypcją wchodzi się w myśl autora *Sumy teologicznej*. Mówi o swej wierze, nie poddając się zmysłom. Wykorzystuje figurę braku, która – jak się okazuje – może być równie silnym bodźcem do duchowych eksploracji, jak rozbudowane obrazowanie. Paradigmat wykorzystany

przez Horaka nakłada się na opis stosowany w teologii apofatycznej.

Ks. Tomasz Stępień pisze: „Co jednak można pomyśleć o Bogu, który jest poza kategoriami, w których jest opisywany? Wydaje się, że nic, i właśnie dlatego wszystko, co możemy powiedzieć o Nim w sposób pewny ogranicza się do stwierdzenia, że jest On całkowicie inny niż świat stworzony. Stąd właśnie najodpowiedniejszym sposobem mówienia o niepoznawalnym Bogu jest ten, który nie daje żadnej wiedzy o Nim. Takim sposobem jest właśnie teologia apofatyczna. [...] Ona nie tylko doprowadza nas do niewiedzy, ale w tej niewiedzy doprowadza nas do zjednoczenia z Bogiem. [...] Teologia apofatyczna ma nas prowadzić nie tyle do poznania w ludzkim tego słowa znaczeniu, co do poznania polegającego na zjednoczeniu”.

Ufne wejście podmiotu wiersza w światłość jest właśnie oddaniem się działaniu łaski Bożej, jest ruchem ku zjednoczeniu ze Stwórcą. Następuje też to coś w relacji człowieka do *sacrum*, co Marian Kisiel określa następująco: „*Sacrum* jest, by odwołać się do lekcji Gabriela Marcela, *intimius intimo meo*, intymnością największą człowieka, wprowadza go w przestrzeń religii lub metafizyki, pozwala inaczej niż tylko społecznie zakorzenić się w porządku bytu”. I z takim innym zakorzenianiem się tu stykamy. Odsłonięte sensory pokazują drogę człowieka wytyczoną między piekłem na ziemi a niebiańską jasnością. W kilku wersach zawarta jest więc pełnia egzystencji ludzkiej obejmująca przeszłość i teraźniejszość oraz to, co wynosi nasze „bycie-w-świecie” na poziom pogłębionej, metafizycznej refleksji, w czas nieskończoności, w bezgraniczną przestrzeń *sacrum*. Wiersz *Światło* Stanisława Horaka stanowi przeto cenny przykład artystycznego wyrazu, gdzie kompresja formy nie wyklucza rozmachu treści, a sens życia jest – jak pisał Czesław Miłosz w *Traktacie teologicznym* – „niemożliwy bez absolutnego punktu odniesienia”.

Na pewno tyle warto z tego utworu zapamiętać. To wcale nie jest mało, a ta wiedza może się przydać, kiedy i nasz zegar będzie wskazywał jesień. ■

Skrócona wersja artykułu, który ukaże się w tomie *Światy poetyckie Stanisława Horaka*, pod red. Ewy Bartos i Mariana Kisiela („Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020), w trzydziestą rocznicę śmierci poety.

SALON SZTUK w dawnym mieszkaniu Barbary i Stanisława Ptaków w Katowicach w styczniu i lutym

W Oddziale Teatralno-Filmowym Muzeum Historii Katowic przy ulicy Kopernika 11 od jesieni 2018 roku odbywają się spotkania literacko-artystyczne w ramach nowego cyklu „Salon Sztuk”. Pomysłodawcą i gospodarzem tych kulturalnych wieczorów czwartkowych jest reżyser telewizyjny i teatralny, dyrektor Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego – Krzysztof Korwin-Piotrowski. Wydarzenie jest współorganizowane przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” i w spotkaniach bierze zwykle udział Prezes Zarządu dr Tadeusz Sierny. Bohaterami „Salonu sztuk” byli już między innymi: poetka i dziennikarka Barbara Gruszka-Zych, poeta i krytyk prof. Marian Kisiel, artysta malarz prof. ASP w Katowicach Jacek Rykała, fotografik Arkadiusz Ławrywianiec, pisarz i tłumacz Andrzej Szuba, aktorka Bogumiła Murzyńska i artysta grafik prof. ASP w Katowicach Marian Oslisło. Grudniowe spotkanie było natomiast poświęcone jednemu z najwybitniejszych Ślązaków – poecie, kierownikowi literackiemu Opery Śląskiej w Bytomiu, publicyście, wieloletniemu redaktorowi naczelnemu miesięcznika „Śląsk” – Tadeuszowi Kijoncy, zmarłemu w czerwcu 2017 roku. Wiersze wigilijne znakomitego poety czytał aktor Teatru Śląskiego Artur Święs, a o twórczości Tadeusza Kijonki ciekawie opowiadał Tadeusz Sierny. Gośćmi specjalnymi były wdowa Zofia oraz córka Justyna Kijonka.

30 stycznia o godzinie 18.00 Krzysztof Korwin-Piotrowski poprowadzi spotkanie z katowiczką, słynną poetką i pisarką Martą Fox, która jest autorką ponad 40 książek. Pracowała jako polonistka w liceum, bibliotekarka, dziennikarka, kierowniczką literacką w Teatrze Dzieci Zagłębia, specjalistką od programu artystycznego w galerii Extravagance. Literaturę zajęła się, gdy miała 37 lat. Za debiutanckie opowiadanie *Gra* dostała prestiżowego Miedzianego Amora, nagrodę dla najlepszego twórcy literatury miłosnej. Potem zaczęła pisać książki dla młodzieży, a krytycy nazwali ją „objawieniem polskiej powieści młodzieżowej”. Jest także mistrzynią literatury dla kobiet. Poezja Marty Fox była tłumaczona na języki: niemiecki, portugalski, hiszpański, angielski, francuski. Kilka jej powieści to bestsellery, wydawane nieprzerwanie do ponad 20 lat. Otrzymała Złoty Telefon – odznaczenie „Niebieskiej Linii” – Ogólnopolskiego Pogo-

towania do Walki z Przemocą w Rodzinie, za książkę *Coraz mniej milczenia*. Popularność zdobyły jej poetyckie modlitwy do św. Rity. Otrzymała odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej, Nagrodę Hannysa, Marszałka Województwa Śląskiego, Prezydenta Miasta Katowice i tytuł baronowej od Polskiego Ruchu Monarchistycznego.

Niedawno opublikowała dwie nowe książki: *Ten pierwszy raz w Ornece* (Wydawnictwo Sonia Draga) i *Wariatkę, która czyta* (Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”).

Natomiast 13 lutego o 18.00 w dawnym mieszkaniu Barbary i Stanisława Ptaków odbędzie się spotkanie artystyczne ze sławnym z całej Polsce choreografem i reżyserem Henrykiem Konwińskim, jedną z najwybitniejszych postaci polskiego teatru. Jako choreograf i reżyser współtworzył wielkie widowiska, spektakle baletowe, operowe, musicalowe i operetkowe, a także przedstawienia dramatyczne i offowe. Wojciech Kilar napisał o nim: „W sztuce Henryka Konwińskiego szczególnie cenię (...) zdolność do przekazywania najistotniejszych, skomplikowanych znaczeń w for-

mach bogatych i wyrafinowanych, lecz w sposób prosty, bezpośredni i przekonujący”. Był gwiazdą baletu Teatru Wielkiego w Poznaniu, ale już w 1971 roku nawiązał kontakt z Operą Śląską w Bytomiu jako tancerz, a później także choreograf i reżyser. Występował w Het Nationale Ballet w Amsterdamie i współpracował z Maurice'em Bejartem w Nederlands Dans Theater w Hadze. W 1981 roku powrócił do Opery Śląskiej i z tym teatrem związał się już na stałe, współpracując oczywiście z wieloma innymi scenami w całej Polsce. Za najważniejsze swoje choreografie uznaje: *Stworzenie Świata*, potem *Romeo i Julia* w Poznaniu, *Wariacje na temat Franka Bridge'a* Brittena (pierwsza realizacja w Bytomiu, potem w Teatrze Wielkim w Warszawie), *Epitafium na śmierć Szymanowskiego*, *Stabat Mater*, *W górę, w dół i Ad Montes – Balety Tatrzańskie* do muzyki Wojciecha Kilara. Mieszka w Katowicach. Podczas wieczoru odbędzie się promocja opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” książki Alana Misiewicza o gwiazdach Opery Śląskiej: *Heroiny! Rozmowy o operze, ludziach i życiu*. ■

(red)



Marta Fox

Operetkowe smutki i radości

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Gdy 22 maja 2016 roku na scenie Gliwickiego Teatru Muzycznego opadła kurtyna, artyści płakali, a publiczność buczała i krzyczała: „Hańba, hańba!”. W takiej atmosferze zakończyło się ostatnie w sezonie, a najpewniej ostatnie w historii Gliwic przedstawienie operetkowe „Księżniczki czardasza” – relacjonował Bronisław Tumiłowicz, autor tekstu *Muzycy na bruk*, zamieszczonego przed blisko czterema laty na łamach tygodnika „Przeгляд”.

Bezpośredni świadkowie tamtego smutnego zdarzenia doskonale pamiętają, że widzowie opuszczający gmach GTM byli przynębieni i sfrustrowani. Trudno im się dziwić – po 64 latach istnienia w mieście profesjonalnej sceny muzycznej postanowiono ją zamknąć, a na jej miejscu utworzyć stereotypowy teatr dramatyczny, jakich przecież wiele na Śląsku. Ówczesne protesty społeczne w tej sprawie nie zmieniły bezlitosnego werdyktu wóldarzy miasta.

Gliwicki Teatr Muzyczny unicestwiono w szczególnych okolicznościach, decydując się na wystawienie *Księżniczki czardasza*, wybranej na jego pożegnanie. Warto przypomnieć, że sympatyczne przesłanie tej charakterystycznej operetki Emmericha Kalmana, węgierskiego twórcy z przełomu XIX i XX wieku, zawierało się przecież w uczuciowej maksymie: *bez miłości świat nic nie wart!* Kontekst sytuacyjny nasuwał zatem oczywiste skojarzenia szyderczej ironii decydentów z wrażliwością artystyczną widzów zgromadzonych w siedzibie GTM.

Sylwestrowe niespodzianki

Takiej nieprzyjemnej otoczki nie miała, na szczęście, sylwestrowa inscenizacja *Księżniczki czardasza*, zaprezentowana w ostatnim dniu minionego roku w sali wido-

wiskowo-koncertowej MUZA w Sosnowcu. Gościnny spektakl impresaryjnego Teatru Muzycznego Arte Creatura wzbudził duże zainteresowanie publiczności, która w szampańskich humorach tłumnie wypełniła 500-osobową salę (parter i balkon), aby obejrzeć 3-aktową operetkę w reżyserii **Dariusza Taraszkiewicza**.

W jego autorskiej interpretacji była to niekonwencjonalna wersja spektaklu, który jest jedną z najbardziej uwielbianych operetek w dziejach gatunku. Wiedeńscy libreciści – **Leo Stein i Bela Jenbach** – osnuli fabułę melodyjnego widowiska scenicznego wokół miłosnego mezaliansu z życia arystokratycznych elit w monarchii austro-węgierskiej. Taraszkiewicz odbiegł w wielu miejscach od literackiego pierwowzoru, przedstawiającego zabawne perypetie młodego księcia Edwina pragnącego poślubić z wielkiej miłości artystkę kabaretową z budapestańskiego teatryku ORFEUM.

Reżyser uwspółcześnił libretto, dostosowując je do realiów XXI wieku. Jeszcze bardziej uwypuklił komediowy charakter widowiska, wprowadzając do niego zabawne scenki i dialogi. W życiu XIX-wiecznych arystokratów pojawiły się nieoczekiwane... telefony komórkowe oraz bankowe kredyty we frankach szwajcarskich.

Zaskoczona, ale mocno rozbawiona publiczność usłyszała ze sceny o... zamożnym biznesmenie, który chce wykupić upadający teatryk, by na jego miejscu zbudować galerię handlową. W takich warunkach nie mogło też zabraknąć opowieści o radykalnych działaniach... komitetu obrony rewiewego teatryku, co zabrzmiało szczególnie aktualnie. Głośne salwy śmiechu na widowni były najlepszą oznaką trafności reżyserskich poczynań!

Szlagiery w barwach talentu

Nie zmieniła się zaś ani na jotę muzyczna zawartość spektaklu, którego światowa prapremiera przypadła – pamiętajmy – na rok 1915. Śpiewacy, z towarzyszeniem kilkunastoosobowej orkiestry teatru Arte Creatura pod batutą **Marka Kudry**, przypomnieli ponadczasowe przeboje łączące czar wiedeńskich salonów z urokiem węgierskich rytmów – *Choć na świecie dziewcząt mnóstwo; Artystki, artystki z variété; W rytm walczyka serce śpiewa – kochaj mnie*. Arie Kalmana świetnie wprowadziły widzów w nastrój sylwestrowej nocy.

Troje wykonawców zaprezentowało wysoki kunszt artystyczny, w tym – **Natalia Piechowiak** (sopran) w roli tytułowej i **Tomasz Świerczek** (tenor) we wcieleniu Boniego, uroczego hrabiego-bawidamka, a zarazem przyjaciela i opiekuna rewiowej gwiazdy ORFEUM. Wyróżniały ich umiejętności wokalne i znakomity warsztat aktorski. Urok dawnej epoki podkreślały zaś efektowne kostiumy poszczególnych artystów (dzieło **Doroty Wewióry**).

Gwiazdą pierwszej wielkości okazał się natomiast **Marceli Pałczyński** (ur. 1938) jako książę Leopold Maria von Lippert-Weylersheim, operetkowy ojciec zakochanego Edwina. Objawił on godną podziwu kondycję i niebawmy wigor sceniczny. Jego komiczne popisy wywoływały każdorazowo gorące owacje sosnowieckiej publiczności. Kreowana przez niego postać XIX-wiecznego arystokraty z telefonem komórkowym w rękę była prawdziwym majstersztykiem aktorskim. Warto odnotować, że przed laty był to jeden z artystycznych filarów zespołu Operetki Śląskiej, legenda gliwickiej sceny muzycznej.

Oprócz profesjonalistów z teatru Arte Creatura pojawił się też w obsadzie spektaklu **Piotr Maga**, uzdolniony młody adept sztuki scenicznej z czechowickiego teatru amatorskiego Movimento. Z dużym powodzeniem wcielił się on w rolę Miksy – figlarnego kelnera. Nie tylko nie odstawał swoimi umiejętnościami aktorskimi od towarzyszących mu w przedstawieniu zawodowców, ale momentami stawał się wręcz pierwszoplanową postacią na scenie. Braurowo zagrał w końcowym fragmencie widowiska, gdy okazało się, że jako kelner zarobił sporo pieniędzy (na lodach?) i jest już bogatym biznesmenem, który wykupił na własność... budapestańskie Orfeum. Maga to z pewnością jeden z utalentowanych teatralnie amatorskich zapaleńców ze Śląska Cieszyńskiego.

ARTE CREATURA

Pomysłodawcą i założycielem prywatnego Teatru Muzycznego Arte Creatura był



Od lewej: Jarosław Wewióra, Magdalena Czarnecka, Natalia Piechowiak, Tomasz Świerczek

w 2005 roku **Jarosław Wewióra**, zawodowy śpiewak operowy i operetkowy, absolwent Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Utworzony przez niego teatr działał początkowo w formule Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych z siedzibą w Sosnowcu. Wraz z poszerzaniem grona współpracowników pojawiła się potrzeba stworzenia bardziej rozpoznawalnej i uniwersalnej nazwy instytucji. W swojej obecnej postaci istnieje ona od 2009 roku.

Teatr miał przez kilka lat stacjonarną siedzibę w Jaworznie. Okazało się jednak, że jej utrzymanie wraz ze stałym zespołem artystycznym wymaga regularnego i stabilnego finansowania. Pomimo kierowania licznymi projektów do różnych instytucji państwowych, w tym m.in. do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, placówka nie otrzymała oczekiwanego wsparcia finansowego. W tej sytuacji zdecydowano się na impresaryjny model funkcjonowania teatru, nie rezygnując jednak z budowania stałego zespołu artystycznego. „Obecnie jesteśmy jedynym profesjonalnym teatrem operetkowym na terenie Śląska i największym niepaństwowym na mapie Polski” – można przeczytać na stronie internetowej AC.

Wystawiono do tej pory sporo przedstawień operetkowych i operowych we współpracy z różnymi reżyserami (m.in. Maura Ippoliti z Włoch, Barbara Bielaczyc, Anna Siwczyk, Marceł Pałczyński, Dariusz Wiktorowicz, Dariusz Taraszkiewicz, Dariusz Niebudek, Piotr Rybak). Odnotować jeszcze warto, że w repertuarze AC znalazł się spektakl pt. *Piraci z Penzance*. To był pierwszy w naszym kraju przypadek wystawienia tego oryginalnego widowiska z własnym tłumaczeniem libretta na język polski.

Przed laty współpracował Pan z Gliwickim Teatrem Muzycznym, występując m.in. jako Caramello w *Nocy w Wenej* Straussa. Czy zamknięcie

sceny muzycznej w Gliwicach miało wpływ na powstanie Teatru Muzycznego Arte Creatura? – zapytaliśmy twórcę i dyrektora placówki.

Jarosław Wewióra: Powstanie i działalność naszego teatru nie ma związku z likwidacją GTM. Funkcjonowanie teatrów prywatnych zależy od kreatywności jego twórców, a nie od działań lub ich braku ze strony instytucji państwowych czy samorządowych. Myślę bez fałszywej skromności, że rozwój AC jest efektem mojej ciężkiej pracy i niemałej aktywności biznesowej. Staram się utrzymywać wysoki poziom artystyczny teatru. Było tak zarówno w końcowym okresie istnienia GTM, jak i po jego likwidacji.

Czy w gronie artystów występujących w przedstawieniach AC znajdują się dawni soliści, muzycy, tancerze i chórzyci Gliwickiego Teatru Muzycznego?

Zdarzało się, że do współpracy z AC byli zapraszani artyści z byłej Operetki Śląskiej, jak Anna Siwczyk i Marceł Pałczyński, a także z Gliwickiego Teatru Muzycznego, jak Joanna Szyrkowska vel Sęk. Na stałe weszli oni do naszego zespołu. Teatr jest otwarty na różnych artystów, pochodzących nie tylko ze Śląska, ale także z całej Polski oraz innych krajów. Są to zarówno doświadczeni artyści o ugruntowanej pozycji, jak i osoby stawiające na tym polu dopiero swoje pierwsze kroki.

Śląska Operetka Kameralna

Artyści Gliwickiego Teatru Muzycznego nie zniknęli z przestrzeni publicznej wraz z jego likwidacją. Próbuje odnaleźć się w różnych nowych miejscach, jak przystało na utalentowanych, a zarazem operatywnych muzyków, śpiewaków i tancerzy. Jedną z takich form aktywności śląskich artystów zainteresowanych (a może nawet zafascynowanych?) twórczością Straussa, Lehara, Kalmana czy Offenbacha jest Śląska Operetka Kameralna.

Istnieje ona od 2003 roku, choć o jej prężniejszej działalności można mówić dopiero od momentu zamknięcia GTM w 2016 roku. Nie jest to tradycyjna instytucja kulturalna ze stałą siedzibą, lecz zupełnie niesformalizowany twór organizacyjny, umożliwiający publiczną prezentację atrakcyjnych spektakli operetkowych. Pomysłodawcą i inicjatorem utworzenia ŚOK był **Jacek Woleński** z Bytomia, filolog i historyk sztuki z wykształcenia, a z zawodu – dziennikarz muzyczny i wieloletni popularyzator muzyki. Propaguje on klasyczny repertuar operetkowy – *Zemstę nietoperza*, *Księżniczkę czardasza*, *Wesołą wdówkę*, *Wiedeńską Krew*, *Hrabinię Maricę*. Spektakle są wystawiane w Częstochowie, Katowicach, Zabrze, a także w wielu innych miejscowościach Polski południowej.

Zemsta nietoperza u... cystersów

Jednym z najbardziej osobliwych miejsc, w których gościła Śląska Operetka Kameralna, był XIII-wieczny klasztor w Szczyrzy-



Jacek Woleński

cu w powiecie limanowskim (Beskid Wyspowy). Widzowie mogli obejrzać w starodawnej scenerii *Zemstę nietoperza* Johanna Straussa – wspomina Woleński. Wybór takiego akurat obiektu nie był bynajmniej przypadkowy. Teren dawnego opactwa cystersów jest doskonale znany przewodnikom turystycznym jako miejsce żerowania licznych gatunków nietoperzy. Trzema zespołami artystycznymi ŚOK są dawni śpiewacy, muzycy i tancerze Gliwickiego Teatru Muzycznego.

Z grona byłych solistów sceny muzycznej z Gliwic trzeba wymienić przede wszystkim Jolantę Kremer, Anitę Maszczyk, Arkadiusza Dołęgę, Oskara Jasińskiego, a także Witolda Wronę i Macieja Musioła. Występują oni w przedstawieniach organizowanych pod auspicjami Śląskiej Operetki Kameralnej – wyjaśnia Jacek Woleński, który wraz z Arkadiuszem Dołęgą zajmuje się reżyserowaniem spektakli.

Nie prowadzimy w ogóle dystrybucji biletów na oferowane przez nas widowiska sceniczne oraz na koncerty popularnych arii operetkowych w wykonaniu dawnych solistów GTM. To jest za każdym razem samodzielne zadanie gospodarzy. Na widowni zawsze jednak są komplety publiczności – podkreśla założyciel ŚOK. Naturalną konsekwencją popularności sławnych utworów operetkowych będzie planowane poszerzenie dotychczasowej oferty artystycznej. Początek dekady lat dwudziestych przebiegnie dodatkowo pod znakiem cyklicznych koncertów muzycznych pt. „Piękne głosy – piękne melodie”. I właśnie piękne – wpadające natychmiast w ucho – nieśmiertelne melodie operetkowe ze światowej klasyki gatunku, sięgającego swoimi korzeniami złotych czasów operetki wiedeńskiej, wydają się najcenniejszym walorem całego przedsięwzięcia artystycznego.



Marceł Pałczyński

Nieugaszona tęsknota artysty

KS. HENRYK PYKA

W październiku 2002 roku w warszawskiej Zachęcie otwarto wystawę zatytułowaną „Co widzi trupa wyszklona żrenica”. Uczestniczyłem w wernisazu tego pokazu. Tytuł wystawy zaczerpnięto z rapsodu *Król Duch* Juliusza Słowackiego, jednego z najbardziej hermetycznych utworów polskiego romantyzmu, pisanego przez poetę w niemal szaleńczym uniesieniu. Temat zadany artystom daleko wykraczał poza fizjologię ludzkiego ciała, która daje odpowiedź lakoniczną i nie budzącą złudzeń. Poeta, posługując się środkiem obrazowania, dramatyczną metaforą zakotwiczoną w misteryjnym postrzeganiu dziejów własnego narodu zwrócił się w kierunku metafizyki. Skoro światłem ciała jest oko (Mt. 6.22), to co widać, kiedy wraz z ciałem gaśnie oko, które jest funkcją ciała:

*Co widzi trupa wyszklona żrenica?
Świat, w którym żył
Czy życie nadeszłe?
Czy pustkę i ciemność, zimno, mróz, śniegi?
Raj obiecany, piekło przekłete,
Światło na końcu ciemnego tunelu?*

Tym, którzy podjęli temat wystawy Poeta wyznaczył zatem szeroką granicę postrzegania, bo w jej spektrum mieści się i „świat, w którym żył, i życie nadeszłe”. Wydaje się, że zarówno autor idei wystawy Jacek Sempoliński jak i jej kurator Grzegorz Kowalski – założyciel „Kowalni”, profesorem warszawskiej ASP zakładali, że jej uczestnicy „udźwigną” intelektualny problem wychodzenia ponad naturalną ludzką fizykalność.

W wystawie wraz z jej inspiratorami wzięło udział trzydziestu siedmiu artystów. Z wczesnych kontaktów ówczesnego dyrektora Muzeum Archidiejejalnego w Katowicach rozpoznałem na tej wystawie rzeźby świętochłowiczanki, artystki aktywnej obecnie na uniwersytecie iberoamerykańskim w Meksyku Jolanty Kłyszcz. Jolanta Kłyszcz kończyła rzeźbę w warszawskiej ASP w pracowni Jerzego Jarnuszkiewicza, o którym pisano, że „bez Jarnuszkiewicza nie byłoby Kozyry”. Rzeźbiarz-autor *Małego Powstańca* na warszawskiej Starówce funkcjonujący obok Aliny Szapocznikow w nurcie „sztuki tożsamościowej”, otwartej na to, co otacza człowieka, i o nim stanowią, w ostatnich latach swego życia całą swoją twórczość zwrócił w kierunku sztuki religijnej.

W Galerii Fra Angelico przy katowickim Muzeum Archidiejejalnym Jolanta

Kłyszcz w roku 1987 miała swoją wystawę, którą opatrzyła tytułem „O śmierci”. Ponieważ swoją działalność w tej Galerii rozpocząłem od roku 1989, nawiązałem wkrótce kontakt z artystką. I zanim trafiła do archiwum „Kowalni”, odbył się w Katowicach jej drugi pokaz, równie mocny jak jej pierwsza prezentacja. Dyskurs o śmierci prowadziły z sobą jej „abakany”, rzeźby tekstylne, prezentowane w katalogu wystawy z roku 1987 w anтураżu śląskiego podwórka: dramatyczne przesłanie ludzkiego bytowania naznaczonego wymiętą *conditio humana*. Dyskurs Jolanty Kłyszcz o śmierci obok jego socjologicznego podtekstu miał także wymiar metafizyczny, który na wystawie w Zachęcie w roku 2002 pojawił się w szerokim spektrum w prezentacji Jacka Sempolińskiego. Rzeźbiarka podczas drugiego pokazu w Katowicach obok śniętych form zwierzęcej i ludzkiej egzystencji umieściła formę przedstawieniową określoną tytułem jako *Zły*, sugerując w ten sposób głębszą przyczynę ludzkiego cierpienia i śmierci. Wystawa w Zachęcie była dla jej odbiorcy roku 2002 trudną propozycją i jako taka przyjęta została przez publiczność z dużym oporem. Tematyka funebralna stanowiąca otoczkę zasadniczego tematu, jakim jest śmierć i przemijanie była w owym czasie przedmiotem wielu wystaw historycznych i źródłem fascynacji. Do dzisiaj Muzeum Narodowe w Krakowie w Pałacu Erazma Ciołka prezentuje stałą wystawę w Sali Śmierci otwartą 18 października 2007 roku. Nie śmierć i umieranie jako takie podane w temacie wystawy budziły opór zwiedzających, lecz chyba samo „nagie” podanie tematu pozbawionego kulturowego kontekstu wprowadzającego jakiś głębszy wymiar w sferę ludzkiego doświadczenia, każdemu człowiekowi bliskiego. Całą prezentację można nazwać „chorą”, pisał na portalu społecznościowym krytyk wystawy. „Wyobrażenia autorów dzieł w większości były dla mnie odrażające, niezrozumiałe i nienormalne. Jako pierwszy powitał nas metalowy „sarkofag” Jędrzeja Niestroja, w którym znajdował się ludzki embrion zanurzony w jakiejś substancji. Najbardziej kontrowersyjne z całej wystawy wydawały się filmy. Były one dla mnie przerażające. Przykładowo okazywanie dziewczynki, która cierpi na straszne bóle kości było według mnie nadgorliwą formą zwrócenia na siebie uwagi przez autora, ponieważ to nie jest sztuka, lecz wyraz chorego patrzenia na świat. Twarz cierpiącej osoby nie powinna być obiektem mani-

pulacji w imię fałszywej sztuki. Według mnie osoba, która była w stanie nakreślić coś takiego jest pusta, niedojrzała i nie potrafi uszanować bólu innych ludzi. Nie potrafi uszanować śmierci”. To tyle. Mnie jednak interesowała nie tyle naracja poszczególnych artystów i odbiór ich prac przez publikę, ile raczej pewien fenomen w sztuce współczesnej nurtujący także w Polsce, którego głównymi przedstawicielami są między innymi Katarzyna Kozyra, Zbigniew Libera, Artur Żmijewski, Paweł Althamer. Artysty ci związani z nurtem Sztuki Krytycznej, uznani dzisiaj za „klasyków” przez krytykę międzynarodową wyprowadzają swój rodowód z Kowalni profesora Grzegorza Kowalskiego, który po Jarnuszkiewiczu przejął pracownię rzeźby w Warszawskiej ASP. Choć pierwsze wystawy artystów z kręgu Sztuki Krytycznej miały miejsce od roku 1993 i wzbudzały wiele emocji i kontrowersji, przyjęto jednak cenzurę dla podkreślenia krytycznego stosunku artystów do wydarzeń i postaw kształtujących przestrzeń polityczną i społeczną w Polsce, nie wykluczając postaw religijnych i światopoglądowych. Tą cenzurą był rok 1989. Sztuka, pisał Paweł Althamer, „to przede wszystkim myślenie, to uczestnictwo w życiu zbiorowym, reagowanie na problemy społeczności. Ale i kontestacja. Sztuka nie jest czymś lepszym od przemysłowym: produkuje przedmioty o określonym okresie karencji (...) samochody rdzewieją, a przedmioty sztuki wytrawione zostają z sensu. Albo może nie tyle z sensu, ile z potrzeby zaistnienia właściwej ich czasom”. A czasy bywają ni-jakie. Cóż po artyście w czasie marnym, pyta poeta Hölderlin. Althamer zatem zakwestionował ponadczasową trwałość przekazu, jaki niesie ze sobą dzieło sztuki. Sztuka nie przekracza granic „tu i teraz”. W tym kontekście nie ma zatem czegoś takiego w sztuce, jak przekaz metafizyczny.

Postawy krytyczne w sztuce wywodzą się z twórczości takich artystów, jak Joseph Beuys, którego prace prezentowało Muzeum Archidiejejalne w Katowicach dzięki współpracy z Kunststation St. Peter w Kolonii. Do tego kręgu należeli akcjonści wiedeńscy czy przedstawiciele Kolektywu Sztuki Socjologicznej (Collectif d'Art Sociologique). Sztuka więc o podłożu socjologicznym, reprezentująca zatem nie tyle wartości, ile zastany stan świadomości społeczeństwa, które odnajduje siebie w twórczości artysty i w tej twórczości szuka potwierdzenia i afirmacji. Sztu-

ka krytyczna bywała celowo skandalizująca, chodziło bowiem o sprowokowanie publicznej dyskusji na „zadany” temat. Dyskusja ta jednak nie mogła wyjść poza ramy, w których funkcjonowała świadomość społeczna z wszystkimi jej uprzedzeniami i duchowymi ograniczeniami. Medialny przekaz (a taka jest ta sztuka) stał się dla wielu obowiązującą zasadą myślenia. Katarzyna Kozyra, rzeźbiarka związana z nurtem sztuki Krytycznej i Kowalnią brała udział w wystawie Jacka Sempolińskiego w roku 2002, a wkrótce potem jej głośny tryptyk fotograficzny inspirowany obrazem Maneta *Olimpia* (1996) i film video rejestrujący zabieg chemioterapii wykonywany na artystce cierpiącej od roku 1992 na chorobę nowotworową prezentowany był w katowickim BWA. Była to kolejna odsłona Biennale „Wobec Wartości” organizowanego do roku 2012 przez Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach. We wstępie do katalogu tej wystawy pisał ksiądz Arcybiskup Damian Zimoń, że chodzi o otwarty dialog Kościoła ze stereotypami myślenia w sferze publicznej. Wystawa w katowickim BWA była zatem formą promowanego przez kardynała Ravasiego „Dziedzińca Pogan”, miejsca spotkania i dialogu na forum kultury. Mimo że artystka wprowadziła wyłom w obowiązującym kanonie estetycznym, epatując chorobą, nie powiedziała tak de facto nic nowego na temat sensu ludzkiego cierpienia. Oko artysty okazało się w tym przypadku „trupą wyszkloną źrenicą”.

Do połowy stycznia 2020 roku w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach Galeria Fra Angelico prezentowała niejako „zza grobu” ostatnie prace profesora Jacka Sempolińskiego (1927–2012), stanowiące, jak pisano, na przekór obrazowaniu „zapis obecności i patrzenia”. Obrazy te powstały niemal w ostatniej dekadzie życia artysty równocześnie z jego Dziennikiem noszącym tytuł *A me stesso* (*Sobie samemu*). Pisanie tego dziennika wyprzedziło czas zaistnienia wystawy (pisał od roku 1999), którą oglądałem przed laty w Zachęcie. Cały zapis cechuje uderzająca szczerość, to znaczy możliwie najwierniejszy i najtrafniejszy zapis własnej dynamiki i wewnętrznego ruchu myśli, wspomnień, lęków i przeżyć. Niepokój obecny w tych zapiskach jest skutkiem nieustannego dążenia do prawdy – owej własnej wewnętrznej prawdy – prawdy spojrzenia, prawdy przeżycia. Artysta wie, że Prawda tylko bywa, na chwilę się zjawia, a przyszpilona zamienia się w swoje przeciwieństwo w doktrynę czy wręcz fałsz. Z Jackiem Sempolińskim miałem okazję spotkać się podczas jednego ze wspólnych objazdów naukowych, jakie organizował kielecki oddział SHS-u, a dokładnie Maciej i Elżbieta Przy-



Jacek Sempoliński: *Męćmierz*

kowsky. Uczestniczyli w tych objazdach koryfeusze polskiej historii sztuki. Nie tylko uczestniczyli, ale i miewali wspinałe wykłady – jak profesor Tadeusz Jaroszewski pod świątynią Posejdoną w Agrygencie. Jacek Sempoliński miał naturę perypateutyka, co potwierdzi się w jego Dzienniku. Przysłuchiwałem się rozmowie, jaką prowadził z profesorem Wiesławem Juszcakiem w trakcie przechadzki ku źródłom papieża Bonifacego VIII w Fiuggi. Nie były to błahe rozmowy. Ponieważ na wystawę do Zachęty trafiłem w nieodległym czasie od tej przechadzki i miałem w pamięci dyskurs dwu profesorów, odkryłem szybko w bliskim kontekście pozostałych trzydziestu sześciu „wystawców” absolutną odrębność tego, co prezentował Sempoliński. To był osobny aneks, w którym artysta perypateutyk mocował się z sensem i istotą obrazowania, przedstawionym jak sam to nazwał pod postacią „destrukcji obrazu”. Prawda ku której zmierza cały wysiłek artysty jawi się w twórczości Jacka Sempolińskiego jako Misterium, którego się nie ogląda, lecz w którym się uczestniczy, bo taka jest jego natura. Albo jesteś w środku płomienia, albo cię tu niema. W tej sztuce

nie ma przyglądania się, epatowania, oceniania, krytyki, medialnego hałasu. Oko artysty jest narzędziem niedoskonałym, ale też nie ono widzi, kiedy artysta podejmuje próbę uchwycenia istoty Bytu. Dzieje się to zawsze gdzieś głębiej. W sferze fizycznej w mózgu. W sferze duchowej w ... (?) Drażnienie Tajemnicy właściwe sztuce Jacka Sempolińskiego w moim odczuciu znajduje świetne dopełnienie w twórczości częstochowskiego artysty Wojciecha Prażmowskiego. Jego metaforyczna fotografia naznaczona konceptualizmem stanowi artystyczny przekaz, nieodległy od doświadczeń artysty „zza grobu”. Prażmowski także umiał pokazać stopniowy zanik ostrości widzenia, rozmywanie się materialnego bytu w procesie chemicznej redukcji obrazu. Chyba się w życiu nie spotkali: Sempoliński i Prażmowski, ale obydwaj rozumieli że atrofia jest procesem nieuniknionym także w sferze obrazowania, bo „przemija postać tego świata” i niezależnie od tego, co się nam przedstawia, lub co próbujemy przedstawić, prawdy trzeba szukać gdzieś głębiej, być może w nieugaszonej tęsknocie artysty, który usiłuje zbadać i przedstawić to, co dla oka niewidzialne. ■

Krzysztof Grzondziel malarz historii dojmującej

z artystą rozmawia KAROL CHWASTEK

Jak się zostaje malarzem?

Moja przygoda ze sztuką zaczęła się w latach sześćdziesiątych XX wieku od serialu rysunkowego pt. „Zaczarowany ołówek”, w którym materializuje się wszystko, co zostanie tym ołówkiem narysowane. Wiara w siłę obrazu pozwoliła mi wzbogacić dzieciństwo i mobilizowała mnie, by szkolić warsztat. Te pozytywne doświadczenia wykorzystałem później w szkole podstawowej. Stałem się wtedy szkolnym artystą, któremu „wolno było więcej”. Zamiast uczestniczyć w niektórych obowiązkach, wymyślałem i dyskutowałem z dyrektorem (panem Stanisławem Kozuchem) projekty, jak udekorować całą szkołę. W ten sposób moja pierwsza wystawa indywidualna wydarzyła się już w roku 1972 na korytarzach Szkoły Podstawowej nr 5 w Mysłowicach. Były to portrety znanych z historii ludzi. Były też nagrody, zdjęcia w prasie i krótkie informacje na mój temat. Wtedy zapanowała moda na „cudowne dzieci”. Bardzo łatwo dostałem się do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach. Gdy okazało się, że mam wyjątkowe zdolności portretowe, jeden z nauczycieli plastyki zaproponował mi narysowanie dużego portretu Lenina, jako dekorację pierwszomajową w Katowicach. Później zaczęto zadawać mi pytania, czy idee komunizmu są mi bliskie, skoro portret jest tak dobrze wykonany. Nigdy nie czułem się komunistą, wręcz przeciwnie, i dlatego postanowiłem pokazać tematy, które mnie interesowały. Gdy zaistniała możliwość zorganizowania wystawy w liceum, skorzystałem. Niestety wystawione prace rozdrażniły wpły-

wową nauczycielkę, żonę ówczesnego dyrektora szkoły. Mój zbyt stanowczy protest przeciwko zdjęciu prac doprowadził niemal do usunięcia mnie z liceum. I wtedy stało się coś, co pozwoliło mi zostać tym artystą, jakim jestem dzisiaj. W moje obronie stanął znany śląski malarz, Jerzy Duda Gracz. Od tego momentu zaczęła się nasza znajomość, która trwała później wiele lat. To on wpoił mi kult „rzetelnej roboty”, szacunek do warsztatu, a także solidność i szczerłość.

W PRL-u sztuka podlegała kontroli ze strony Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Część Pańskich prac z tamtego okresu wygląda jak bunt przeciwko komunistycznej rzeczywistości. Jak godził Pan wierność własnym przekonaniom z cenzurą?

Zawsze chciałem, żeby moja sztuka była elementarzem, który ułatwia rozumienie naszego kraju i nas samych. W PRL-u sztuka satyry była potężnym narzędziem, za pomocą którego artysta mógł „patrzeć rzeczywistości na ręce”, odsłaniać przejawy zła czy bezmyślności. Satyra umożliwiła mi wskazanie palcem winowajców, wytykanie zła i absurdów codziennego życia, natomiast cenzura PRL-u chciała wykreować obraz sztucznej rzeczywistości. Na szczęście mój profesjonalizm pomagał tak budować kompozycje, by ukryte konteksty były trudne do odczytania i łatwe do obrony przed cenzorem. W tej walce były porażki i sukcesy. Porażką była m.in. wystawa „Dyplomy'84” w Katowickim Biurze Wystaw Artystycznych w roku 1984. Cenzura zdjęła 90% mo-

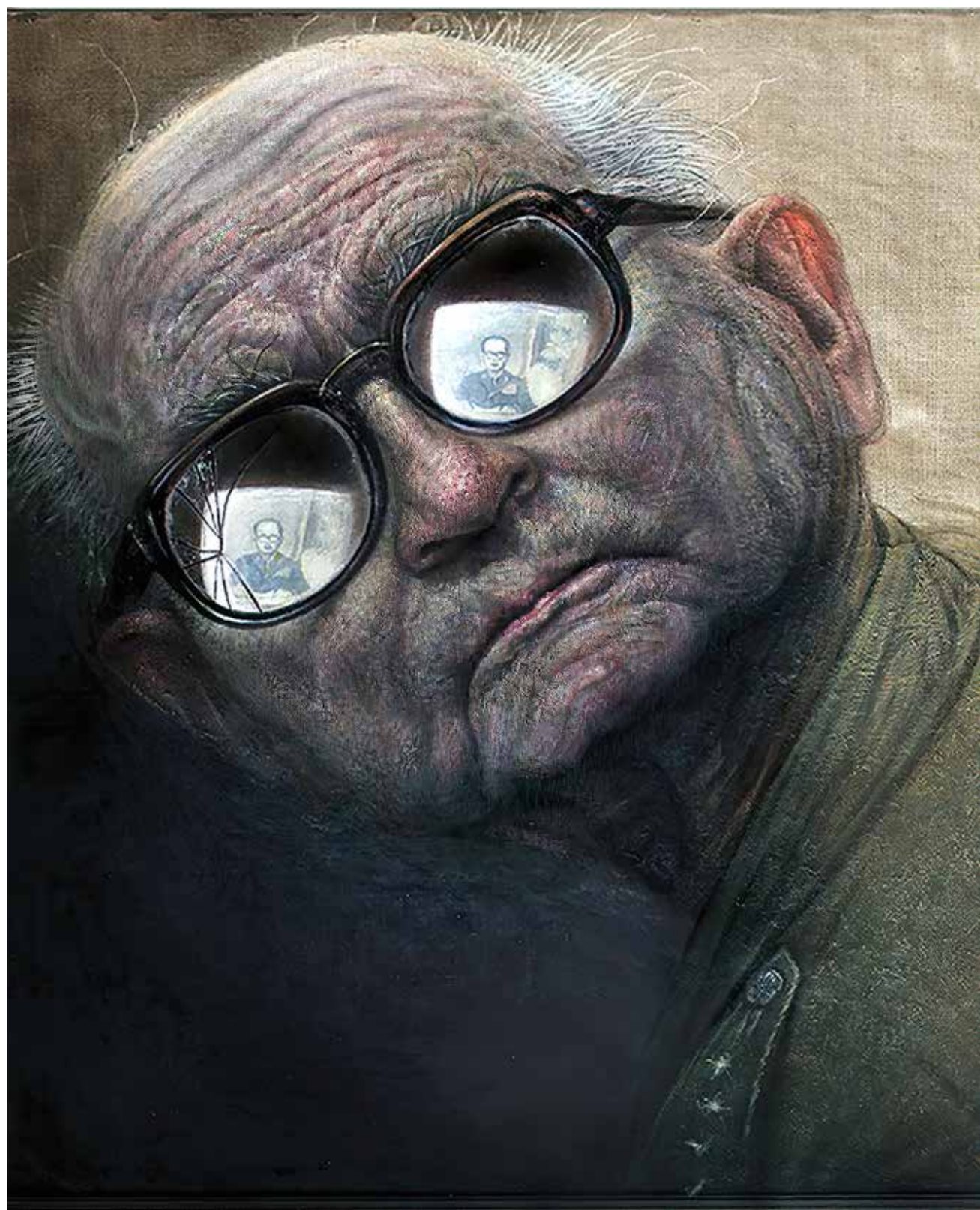


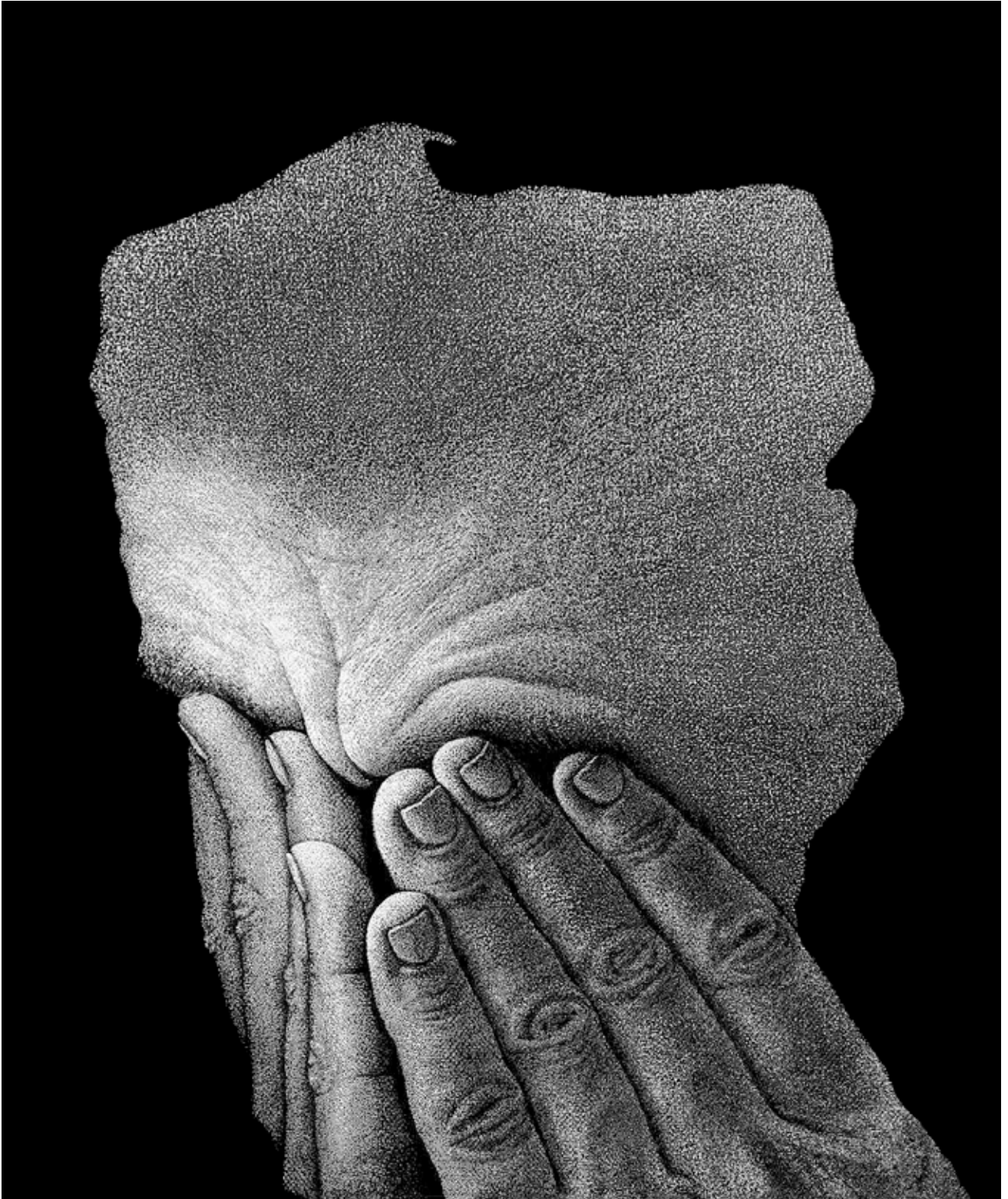
ich prac. A sukcesem były nagrody, np. Grand Prix i Złoty Ołówek na I Międzynarodowym Konkursie Satyry „Satyrykon” w Legnicy w 1985 r.

13 grudnia 1981 gen. Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Pan mieszkał wtedy w pobliżu kopalni „Wujek”. Jak wspomina Pan te dni?

Stan wojenny zastał mnie w Katowicach akurat dwa miesiące po ślubie. Mieszkaliśmy wtedy na osiedlu Tyśiąclecia, a ja studiowałem na drugim roku Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Oddział w Katowicach. Mój brat mieszkał w Katowicach Ligocie blisko Dworca PKP. Utrzymywałem z nim bliski kontakt, stąd częste moje przejazdy autobusem blisko kopalni „Wujek”. Pamiętam te chwile grozy i przerażenia wszystkich pasażerów autobusu... przekazywanie informacji o liczbie zamordowanych górników. Dla mnie to była trauma na wiele lat oraz wewnętrzna potrzeba plastycznego zapisu największej zbrodni stanu wojennego. Moje myślenie o sztuce bardzo się wtedy zradycalizowało. Jako artysta zaangażowany politycznie, antykomunista, reagowałem na różne napływające wiadomości w sposób







„emocjonalnie plastyczny”, np. domalowując szablonem na ulicznych znakach zakazu wjazdu... przekreślone czołgi.

Rok 1989 przyniósł ogromne zmiany dla naszego kraju. Czy położenie artystów stało się lepsze?

W latach osiemdziesiątych próbowałem publikować i wystawiać swoje prace. Niestety, bez powodzenia. Dlatego w 1987 roku podjąłem decyzję o bojkocie. Pamiętam, że wtedy bardzo niezadowolony z mojej decyzji był Jerzy Duda Gracz, twierdząc, że przez taką decyzję będę należał do straconego pokolenia. Częściowo wolne wybory roku 1989 nie przekonały mnie do zmiany decyzji. Nie wierzyłem już, że moja aktywność może cokolwiek zmienić. Owszem, rejestrowałem rzeczywistość w swoich pracach, ale chowałem je „do szuflady”. Okres transformacji systemowej w latach dziewięćdziesiątych, mimo upadku komunizmu, był dla wielu artystów tylko walką o byt. Żeby tworzyć, musieli wybrać emigrację. Moja aktywność twórcza też została zahamowana. Szybko dotarło do mojej świadomości, że chcąc uczestniczyć i pokazywać się w mediach publicznych, godzę się być uzależnionym od „presji”, która karci za pewne myśli, a zapewnia szybki awans za inne. Dla mnie taki mecenat zawsze był elementem zniewolenia twórczych idei. Efekt – brak wystaw i publikacji.

Obecnie jest Pan bardziej znany za granicą niż w Polsce i kojarzony głównie z satyrą.

Mój brak aktywności artystycznej w tym okresie nie spodobał się mojemu profesorowi z ASP – Tomaszowi Jurze. Postanowił mnie osobiście przekonać i zachęcić do bliższych kontaktów ze środowiskiem artystycznym Śląska i z satyrykami Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury (SPAK) z Warszawy. Podsyłał mi różne informacje o konkursach satyrycz-



nych na świecie, zachęcając do wzięcia w nich udziału. To była dla mnie trudna decyzja, ponieważ pamiętałem z młodości słowa Jerzego Dudy Gracza, który przestrzegał mnie przed etykietą rysownika satyryka. Powtarzał mi często, mówiąc przez pryzmat swoich doświadczeń, że tematy, które poruszam w moich pracach mogą zostać „spłaszczone” w odbiorze treści do funkcji dowcipu. Z tego powodu bardzo ostrożnie brałem udział w konkursach satyrycznych. I tak – po moim debiucie na Satyrykonie w 1985 r. – wzięłem drugi raz udział w tym konkursie dopiero w roku 2001 i dostałem ponownie Grand Prix. Później pojawiły się „dziwne” problemy związane z moją wystawą jako laureata głównej nagrody. Wtedy postanowiłem bardziej skupić się na malarstwie i rzeźbie. Dopiero w roku 2012 po przypadkowym spotkaniu z profesorem Tomaszem Jurą, znowu odżył temat satyry. Tomek zarzucił mi, że zmarnowałem talent satyryczny, a ja, że udowodnię mu, że się myli.

I...

I wtedy skupiłem się na satyrze. Najbliższy krajowy konkurs ogłoszono

w Toruniu. Dostałem Grand Prix. Kolejny, już międzynarodowy, był w Warszawie i dotyczył Mistrzostw Euro w piłce nożnej – dostałem... Grand Prix. Gdy przekazałem tę informację profesorowi Jurze, stwierdził on, że to tylko szczęście. Wtedy zaproponowałem spotkanie za rok. Zabrałem się za robotę, będąc przez niego „sprytnie” zachęconym do aktywności w satyrze. W roku 2013 dostałem rekordową ilość nagród, co zaowocowało uznaniem międzynarodowym. Jako pierwszy Polak otrzymałem tytuł najlepszego cartoonisty na świecie za rok 2013. Niestety tej wiadomości nie przekazałem – profesor Tomasz Jura zmarł w marcu 2013. Posypały się następne nagrody, było ich kilkadziesiąt, m.in. za całokształt pracy twórczej „ERYK” Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, dyplom Kapituły Ruchu „Piękniejsza Polska” pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Zbigniewa Zdrojewskiego za „tworzenie piękna, którym możemy szcycić się przed światem”, prestiżowa First Prize „30 Aydin Dogan International Cartoon Competition” w Turcji, Special Mentions „World Press Cartoon” w Portugalii.

A aktywność artystyczna w kraju?

W 2019 r. obchodziłem 35 lat pracy twórczej, dlatego zaplanowałem w najbliższej przyszłości szereg wystaw moich prac z okresu PRL-u i tych współczesnych. Chcę nadal rejestrować rzeczywistość: codziennie, 7 razy tygodniowo, nie wyłączając niedziel i dni świątecznych. ■



ANATOMIA PAMIĘCI – wystawa dzieł Krzysztofa Grzondziela w Śląskim Centrum Wolności i Solidarności, ul. Wincentego Pola 38 (przy KWK „Wujek”) – czynna będzie do końca lutego 2020.



JAN MIODEK

Wieszowa – Chechło – Nakło

Wodcinku z sierpnia ubiegłego roku zwierzyłem się Państwu, że w czasie czerwcowego wykładu w podleszczyńskich Włoszakowicach ciągle myślałem o górnośląskim Wodzisławiu, bo etymologia obu tych nazw miejscowych wiedzie do prymarnej postaci dzisiejszego imienia *Władysław*, a był nią *Włodzisław*, tyle że w wypadku tej pierwszej podstawą słotwórczą było spieszczenie-zdrobnienie tegoż imienia – *Włosz*, morfologicznie wzmożnione częstym w Wielkopolsce przyrostkiem – *ak*. Podstawą słotwórczą nazwy górnośląskiego grodu było całe imię *Włodzisław*, a „ł” zniknęło z niej wskutek hiperpoprawnej ucieczki przed gwarową wymową typu „łokno”, „łoko” (*okno, oko*), wspartej też na dodatek typowo regionalnymi brzmieniami „chop”, „wosy” (*chłop, włosy*).

Gdy z kolei przed paroma tygodniami gościłem na jednym ze swoich uniwersyteckich wykładów gości ze Wschowy, miasta leżącego na pograniczu Śląska i Wielkopolski, administracyjnie należącego obecnie do województwa lubuskiego, moje myśli biegly... do Wieszowy, oddalonej zaledwiej parę kilometrów od rodzinnych Tarnowskich Gór. A dlaczego? – Ano dlatego, że tak jak w wypadku *Włoszakowic – Wodzisławia* można mówić o znaczeniowym, etymologicznym pokrewieństwie pary nazwicznej *Wschowa – Wieszowa*.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że *Wieszowa* jest nazwą miejscową dzierżawczą o prymarnym znaczeniu „osada Wiesz”, *Wiesz* zaś to zdrobnienie-skrócenie od złożonego imienia *Wielisław* (*Wiel* – „kazać” lub „wielki” oraz – *sław* „sława”). *Wschowa*, należąca w XIII wieku do Piastów śląskich, a w 1343 roku włączona przez Kazimierza Wielkiego do Wielkopolski, występuje w dokumentach historycznych od XIII wieku w kilku odmianach, o czym informuje „Słownik etymologiczny nazw geograficznych Polski” prof. Marii Malec z roku 2003: *Veschov* 1248, *de Wschow* (1289), *de civitate Schowa* 1333,

Wschowa 1459, *Schowa* 1566, w *Schowej* 1733, w *Schowie* 1740, *Wschowa* 1859. Na podstawie przytoczonego wyżej najstarszego zapisu z roku 1248 można twierdzić, że pierwotną postacią nazwiczną tego grodu był *Wiesz(o)w* – taki sam twór dzierżawczy jak *Wieszowa*, utworzony od podstawy słotwórczej *Wiesz*. Uznaje się ponadto, że ów prymarny *Wiesz(o)w* w środowisku niemieckim miasta był wymawiany i zapisywany na sposób niemiecki w postaci *Wschow*, a potem wtórnie polonizowany – z literalną wymową – *sch* – jako *s + ch*: *Wschowa*, wreszcie – kojarzony z czasownikiem *schować* i dlatego zapisywany też w postaci *Schowa*, w *Schowie*. W użyciu była również niemiecka nazwa miasta – *Fraustadt*, dawniej *Frauenstadt*, zapisywana: *Frowenstat* 1290, *Vrowinstat* 1310 (od niem. *Frau* „pani” i *Stadt* „miasto”).

Dla porządku dydaktycznego dodajmy, że takie nazwy, jak *Wieszowa* czy *Wschowa* (a także, oczywiście, *Warszawa*, *Częstochowa*, *Kolbuszowa*, *Limanowa*, *Włoszczowa*, *Kudowa* itp.), mogą być odmieniane albo według rzeczownikowego typu odmiany (*do Warszawy*, *do Częstochowy* – w *Warszawie*, w *Częstochowie*), albo według przymiotnikowego (*do Kolbuszowej*, *do Limanowej* – w *Kolbuszowej*, w *Limanowej*) i tylko od mniej lub bardziej utrwalonego zwyczaju zależy obowiązujący paradygmat deklinacyjny. *Wschowa* – tak jak *Kudowa* – ostatecznie przyjęła wzór rzeczownikowy (*do Wschowy*, *do Kudowy* – w *Wschowie*, w *Kudowie*), ale dobrze pamiętam, jak jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku drażniliśmy się na studiach z koleżanką pochodzącą ze Wschowy, budując formy typu „u was w Wschowej”, a i matka Zbigniewa Herberta do końca życia pozdrowiała syna „z Kudowej”, ja zaś do dziś nie jestem na sto procent pewien rzeczownikowej odmiany *Wieszowy*.

To nie koniec nazwicznych skojarzeń! – Przed paroma miesiącami w Oratorium Marianum Uniwersytetu Wrocławskiego miałem okolicznościowy wykład podczas uro-

czystości poświęconej 100-leciu Polskiego Komitetu Olimpijskiego i 25-leciu Regionalnej Rady Olimpijskiej we Wrocławiu. Wspominałem w nim boksera Zygmunta Chychłę, pierwszego powojennego złotego medalistę, bo od radiowej relacji z jego finałowego pojedynku z Rosjaninem Szczerbakowem na olimpiadzie w Helsinkach w roku 1952 zaczęła się moja czynna i kibicowska miłość do sportu. A kiedy przywołałem Chychłę, moja myśl pobiegła do kolejnej blisko Tarnowskich Gór położonej miejscowości, a mianowicie do Chechła. W dodatku jechali do tegoż Chechła na kołach (rowerach) Gustlik i Zeflik w wymyślonej przeze mnie opowieści, którą usypiałem swego synka (przy ul. Oświęcimskiej zatrzymywał ich szlaban, bo jechał pociąg towarowy z wagonami wypełnionymi węglem: z kopalń „Andaluzja”, „Julian”, „Bytom”, „Walenty-Wawel”, „Orzeł Biały”, „Wujek”...; przy czwartym-piątym mój synek już spał!).

Ale wracajmy do *Chychły* i *Chechła*. Pokrewieństwo brzmieniowe tej pary jest oczywiste. Ale nie tylko! Nazwisko *Chychła* jest na pewno wariantem takich postaci, jak *Chechła*, *Chechłacz*, *Chechłak*, *Chechłek*. Historycy języka, np. prof. Kazimierz Rymut w pracy „Nazwiska Polaków” z roku 1991, wywodzą je od czasownika *chechlać* „kroić, rznąć tępy narzędziem”, na pierwszym jednak miejscu wymieniają bardzo istotne dla naszego wywodu znaczenie, a mianowicie: „moczyć”. Jeśli bowiem teraz uświadomimy sobie, że dawne *chechło* to tyle, co „mokradło”, a *chechły* to były „podmokłe łąki”, powinowactwo nazwiska *Chychła* i nazwy miejscowej *Chechło* staje się oczywiste.

Etymologicznie i metaforycznie ocieka wilgocią, wodą nazwa nieodległego *Nakła Śląskiego*. Wszak dawne formy *nakieł*, *nakło*, spokrewnione z *kielkami*, oznaczały „miejsca podmokłe, zwłaszcza z niskimi zaroślami wierzbowymi”, „młode zarośla wilkinowe”, „miejsce przy wodzie, gdzie się krzewi wierzby, miejsce bagniste”, „miejsce przy rzecze”. ■

Muzyka moja miłość

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



Szanowni Państwo, jest mi niezmiernie miło, że będę mógł dzielić się z Czytelnikami „Śląska” moimi fascynacjami muzycznymi i opowiadać o artystach, których podziwiam, a także o wydarzeniach, w których będę uczestniczył. Już od wczesnego dzieciństwa jeździłem z rodzicami do Krakowa na koncerty muzyki poważnej. Moja mama posiada słuch absolutny i pięknie śpiewa sopranem. W młodości była solistką w zespole jazzowo-rozrywkowym. Mój ojciec – pracujący na stanowiskach kierowniczych w kopalniach „Rydułtowy” i „Pniówek”, a potem w Niemczech i na Węgrzech (nie żyje już niestety od 20 lat) – był wielkim miłośnikiem muzyki klasycznej. Dużo czasu spędzałem w sypialni rodziców, gdzie stał adapter, na którym można było słuchać najlepszych nagrań. Do dziś mam w uszach *Carmen* Bizeta i Teresę Berganza, która zjawiskowo śpiewała z Placidem Domingo, a London Symphony Orchestra dyrygował Claudio Abbado. Czy ktoś z Państwa słuchał tego nagrania? Jeśli tak, chętnie dowiem się, jakie na Państwu zrobiło wrażenie, proszę mi o tym napisać.

W 2006 roku w magicznych Ruinach Teatru Miejskiego w Gliwicach przygotowaliśmy z zespołem artystycznym Gliwickiego Teatru Muzycznego premierę *Carmen* z Małgorzatą Walewską i Marcello Bedonim w reżyserii Pawła Szkotaka. Przedstawienie wzbudziło sensację, zostało nagrodzone nadzwyczajną Złotą Maską jako Wydarzenie Roku i nagrane na DVD. Małgorzata Walewska brała udział w kilkunastu premierach *Carmen* na świecie, ale tę wersję uznaje za najlepszą. Rok wcześniej charyzmatyczna mezzosopranistka debiutowała w Metropolitan Opera w Nowym Jorku partią Dalili w operze *Samson i Dalila* Saint-Saënsa, a potem występowała tam jeszcze jako Amneris w *Aidzie* Verdiego i Santuzza w *Rycerskości wieśniaczej* Mascagniego. Do Amneris powró-

ciła na deskach Opery Śląskiej ze znakomitą efektem.

Gdy jeździłem z rodzicami samochodem, z głośników sęczyły się utwory klasyków wiedeńskich – Haydna, Mozarta i Beethovena, a także nieśmiertelne walce Straussów na przemian z przebojami Abby. Razem z moją siostrą Kasią odziedziczyłem po dziadku Tadeuszu Pendreckim całą kolekcję nut z muzyką Chopina. Od siódmego roku życia nieudolnie grywałem jego nokturny, a potem także walce – zwłaszcza moje ulubione cis-moll i „minutowy” Des-dur, katując nimi sąsiadów. Pamiętam do dziś walenie w kaloryfer o 22.00, przypominające mi o ciszy nocnej. Nasze XIX-wieczne pianino z metalową płytą wydawało piękne dźwięki, ale niestety nigdy nie doczekało się generalnego remontu, więc kiedy podczas lekcji u pani profesor Marii Dziwoki z przyzwyczajenia waliłem w klawisze, obawiała się, żebym nie uszkodził jej fortepianu. Mimo tych niedogodności grałem na starym pianinie do osiemnastego roku życia, czyli aż do momentu wyjazdu do Żor do Krakowa na studia.

Pamiętam, że już jako chłopiec byłem zafascynowany Bogusławem Kaczyńskim, który tak pięknie opowiadał o muzyce operowej i Chopinie, jak nikt wcześniej. Oglądałem każdy program z Jego udziałem, a zwłaszcza uwielbiałem cykl „Rewelacja Miesiąca”. Oprócz możliwości wysłuchania wspaniałych prelekcji mieliśmy dostęp do znakomych nagrań z najsłynniejszych scen muzycznych świata. Jego kwiecisty styl, elokwencja i ogromna wiedza sprawiały, że melomani byli oczarowani. Agnieszka Osiecka powiedziała: „Bogusław Kaczyński pozostanie w historii wybitnych popularyzatorów muzyki jako ten, który ocalił od zapomnienia dziesiątki śpiewaczek, utworów i dzieł”. Zygmunt Kałużyński stwierdził: „Kaczyński zrobił dla sztuki operowej więcej, niż ktokolwiek w jej dziejach w naszym kraju”. Jan

Miodek przyznał: „Jak we wszystkim, co w życiu robi, jest perfekcyjny: w stroju, w każdym słowie i geście”. W wywiadach prasowych Bogusław Kaczyński powiedział: „Staram się dotrzeć do najszerszych rzesz społeczeństwa. Do tych przede wszystkim, którzy nie obcowali dotąd z muzyką, aby ułatwić im jej poznanie i pokochanie. [...] Chcę oczarować pięknem sztuki. Wszystkich. Dzieci, młodzież i tych z najdawniejszą metryką. Pokazać, że obcowanie ze sztuką jest rzeczą najpiękniejszą, jaka się może człowiekowi zdarzyć”.

Fundacja ORFEO, którą Bogusław Kaczyński założył w Warszawie w 1991 roku, pragnie kontynuować dzieło Patrona i Mistrza, dlatego mam wielką przyjemność zaprosić Państwa na koncerty i widowiska muzyczne z cyklu „Fascynacje Bogusława Kaczyńskiego”. W czwartą rocznicę śmierci Patrona 21 stycznia 2020 roku pokażemy w Teatrze Muzycznym w Łodzi spektakl „Ordonka. Miłość ci wszystko wybaczy” z gwiazdą chorzowskiego Teatru Rozrywki Marią Meyer, a 14 lutego zainauguruję cykl „Zaczarowany świat operetki i musicalu” w Białej Podlaskiej, czyli tam, gdzie urodził się Bogusław Kaczyński. 29 lutego w Wodzisławskim Centrum Kultury pokażemy widowisko *Wiedeń moich marzeń* z przepiękną muzyką Johanna Straussa i Franza Lehara, w wykonaniu gwiazd scen operowych i muzycznych, Zespołu Wokalno-Tanecznego „Orfeum” (dawniej artystów Gliwickiego Teatru Muzycznego) i Zespołu Strausowskiego. Mam nadzieję, że spotkamy się w którymś z wymienionych miast. Tymczasem życzę Państwu pięknego muzycznie 2020 roku!



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Ojkofobia – czy nam zagraża?

Co pewien czas – a ostatnimi laty coraz częściej – pojawiają się coraz to nowe terminy, które nagle stają się bardzo popularne. Zazwyczaj dotyczą faktów, zjawisk czy procesów znamienych dla współczesności. Czyli doby – użyjmy określenia Zygmunta Baumana – „płynnej ponowoczesności”. Lecz przyznajmy, że niektóre z tych terminów mają nader krótki żywot. Ostatnio przykładowo rośnie grono tych, którzy przestrzegają nas przed ojkofobią. A jak długo ów termin będzie obecny, ważny, ale i inspirujący? U nas w Polsce stosowany bywa raczej nieśmiało. Choć ostatnio coraz częściej. Zazwyczaj prezentowany jest przez ludzi nauki oraz publicystów. Do grona pierwszych należą choćby Jacek Bartyzel czy ostatnio Mirosław Napiórkowski. A wśród publicystów wymienić można zwłaszcza eseistę z naszego regionu Włodzimierza Paźniewskiego, autora ustawicznie ostrzegającego przed różnymi zagrożeniami. Pierwszy z wymienionych naukowców dowodzi, że ojkofobia to charakterystyczna – wedle twórcy terminu, brytyjskiego filozofa i muzyka Sir Rogera Scrutona – „nienawiść do swojego domu”. Dalej Bartyzel dowodzi, że dziś jest ona przejawem tragicznego, narastającego kryzysu tożsamości. Wszak termin pochodzi od greckich słów: οἶκος i φόβος, co po prostu oznacza strach przed domem, przed rodziną, rodzimością. Jest rodzajem niepokojącego stanu negatywnej refleksji czy raczej bezmyślności współczesnych wobec własnej kultury i tradycji. W szerszym rozumieniu to przejaw swoistego rozgoryczenia, a w konsekwencji narastającego procesu odrzucania tego, co własne. W efekcie to znamienny proces, który zawiera się między odczuwaną rezerwą wobec rodzimego dziedzictwa, a odczuwaną i werbalizowaną nienawiścią. No cóż – to po prostu tragiczna negacja swojskości. W efekcie zanika

u wyznawców i nosicieli tej idei poczucie rodzimości, wspólnotowości, solidarności z grupą własną. W rezultacie taki stan wyrasta z bezmyślnego lub ideologicznego, ale i zarazem emocjonalnego podziwu dla innych kultur, tradycji, ale przede wszystkim alternatywnych systemów wartości. Gdzie zatem te czasy, kiedy „każdy mieszkaniec domu odnajduje tu – jak pisał nawet papież postmodernizmu Jean-François Lyotard – swoje miejsce i swoje imię”. Czy zatem ma rację włoski filozof i polityk Massimo Cacciari, że współcześnie żyjemy w czasach, kiedy coraz częściej po prostu „domu już nie ma”. A jeśli już jest, to jednak w sensie kulturowym i mentalnym ma coraz mniejsze znaczenie. W efekcie wielu z nas nie interesuje jakkolwiek stabilność; przeciwnie, intryguje i cieszy tylko zmiana, ruch, niestabilność. Nie pojmujemy jednak tego typu postawy tylko w kategoriach ideologicznej propagandy czy politycznej narracji. To przecież nie tylko – jak chcą niektórzy – choroba rozpowszechniona wśród lewicowych czy liberalnych intelektualistów. Zapytajmy więc jeszcze inaczej. Czy zatem ojkofobia to swoistego rodzaju przeczucie, a może pogląd lansowany przez określone środowiska czy koncerty medialne? A może to jednak także fakt społeczny i kulturowy? A może to tylko jakiś kolejny demon doby ponowoczesnej? Chyba jednak ojkofobia jest tym wszystkim, propagandowym, lansowanym wzorcem, jak i zjawiskiem realnie obecnym wśród współczesnych. Dla wielu jawi się jeszcze jako widmo nieodgadnione, ale wywołujące już strach, a może i przerażenie. A może to po prostu kolejny wymysł przewrażliwionych, znerwicowanych intelektualistów. Tych zagubionych w niuansach społecznych doby współczesnej, jak i w szczególnego rodzaju katastroficznej lekturze. I tak i nie. Ma swoich wyznawców, nosicieli. W Polsce obejmuje nie

tylko część młodego pokolenia. Zwłaszcza tych, którzy, jak pisał Piotr Zaremba, są przede wszystkim „bezrefleksyjnymi pożeraczami medialnych mądrości”. Ta charakterystyka dotyczy jednak nie tylko kategorii określanej terminem „lemingi”, czyli tych, którzy nastawieni są na karierę i dochody, także swoistą rezerwę, a nawet negację uznanego systemu wartości. A z kolei inni publicyści identyfikują grupę „lemingów” z nowymi mieszczańskimi, tymi, którzy nie identyfikują się ani z prawicą, ani z lewicą. I jest też kategoria zanurzonych tylko zwyczajnie w tym, co inne, kosztem tego, co własne. U podłoża takiej postawy może leżeć zarówno „wstyd” wobec własnej kultury, jak i przesłanki ideologiczne. Pozostawmy zaś na uboczu opinie tych, którzy dowodzą, że „zagłębieniem produkcji” poglądów i postaw negacji rodzimych tradycji są agendy unijne. Czy zatem ojkofobia jest tylko wytworem myślowym środowisk liberalnych? A może jest też efektem kryzysu kultury, a nade wszystkim przekonaniem o bezapelacyjnej wyższości społeczeństwa inkluzywnego. A czy przejawem kryzysu nie jest też – używając pojęcia Napiórkowskiego – „turbopatriotyzm”, kiedy tylko własne jest cenne? W kontekście tych rozważań warto odwołać się do W. Paźniewskiego. Pisze przykładowo, iż w lansowaniu ojkofobii „Uderza prymitywizm (...) myślenia, schematyzm oraz szablonowość. Nie da się go już bardziej uprościć. Na przykład w Polsce wmawia się młodemu pokoleniu, że dzisiaj, aby zostać światłym Europejczykiem (do diaska co to takiego?) wystarczy ostentacyjnie i na każdym kroku pomiać polskością, wstydzic się jej, pokpiwać z tradycji, szydzić z ojczystej historii, a najlepiej ją ignorować, a przy okazji pomniejszać rodzimą kulturę”.

Warto się nad tym zastanowić. Także u nas, na Górnym Śląsku. ■

Czarodziejski flet Agnieszki

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



for. arch.

Wrocławiankę Agnieszkę Kaćmę poznałem osobiście znacznie później niż jej sztukę odtwórczą, a może raczej nie „odtwórczą”, lecz interpretacyjną, gdyż sławna jest ona jako – właśnie! – twórcza interpretatorka muzyki wszelkich stylistyk, choć reputację budować poczęła od pełnych inwencji wykonania muzyki najnowszej. Krótko mówiąc, Agnieszka zamieszkuje sam szczyt Olimpu europejskiej wirtuozerii, zaś jej talent i umiejętności trzeba określić nie inaczej, niż „nie z tej ziemi”, co zabrzmia dla niektórych przesadnie, ale tylko do momentu, kiedy posłuchają jej grania. Później pozostają jedynie podziw i radość uczestnictwa w czymś niezwykłym – uczestnictwa w misterium powabnego dźwięku, wysublimowanej barwy, arcybogatej ekspresji.

Poznałem więc jej sztukę wcześniej niż samą artystkę: poprosiłem niegdyś mojego przyjaciela, Jacka Rogalę, kompozytora i dyrygenta wyśmienitego, o przesłanie kilku jego utworów, które chciałem poznać, no i naturalnie nagrań. Wśród kompozytorów jest całe mnóstwo, którzy nie są ciekawi tego, co się w twórczości dzieje (najłatwiej wszystko *a priori* odrzucić, mówiąc, że to nieinteresujące), a ja nigdy takim być nie chciałem, wszystko mnie ciekawi, bo a nuż coś z tych fenomenów mi się przyda, a niechybnie, żeby coś odrzucić, najpierw trzeba to poznać. I dlatego nawet dzisiaj z przyjaciółmi wymieniamy się partyturami – toż to przyjemność dzielić się pięknem! Jałowe wegetowanie w celi niewiedzy i odrzucanie z góry czegoś, czego się nie zna to trochę tak, jak np. ze sławetną muzyką graficzną czy grafiką muzyczną, w której tradycyjną notację zastąpiły „plastyczne” grafy – najczęściej, właściwie niezmiennie, krytykują tę twórczość ci, którzy nigdy nie spróbowali interpretować takich dzieł, a zapewniam, że to kapitalny trening wyobraźni oraz niekonwencjonalnego myślenia strukturalnego w odniesieniu do treści i formy. Ale dość o tym.

Jacek dał mi kilka partytur i towarzyszących im nagrań, wśród których ujęły mnie w szczególności dwa utwory, mianowicie *Jedna krótka myśl* na flet solo oraz *Litoral* na flet z fortepianem. Zwłaszcza

drugi urzekł mnie jak mało która kompozycja na ten popularny skład.

Litoral to studium nowoczesnej liryki opartej na zwiewnej narracji i subtelnej emocji, wzbogaconej nieszablonowym operowaniem barwami obu instrumentów, zwłaszcza fletu. W jego partii roi się od elegancko spożytkowanych rozszerzonych technik gry: ni to szeptów, ni to poświstów; ażurowych faktur; niespokojnych acz cichutkich przebiegów, które rzeczywiście mogą przywołać na myśl igraszki wody i światła w przybrzeżnej strefie litoralu. Głos fortepianu, na długich odcinkach preparowanego, potęguje oddziaływanie tej zmysłowej muzyki przedzonej ze snów, a która wymaga czarowanych, zahipnotyzowanych przez nią wykonawców grających jakby ponad sobą, czy poza sobą, w mistycznym uniesieniu – i taką wykonawczynią okazała się Agnieszka, cudowna interpretatorka Nowej Muzyki: osoba, w której żyła ta nowa muzyka płynie poniekąd naturalnie. Można powiedzieć, iż muzyka ożywa w jej oddechu, którego przedłużeniem jest ów pradawny – a tak młodzieńczy! – instrument, flet.

Jak wspomniałem, Agnieszka wyrażała we Wrocławiu, gdzie wcześniej podjęła naukę fletu, po latach ukoronowaną w 1984 dyplomem z wyróżnieniem nadanym przez tamtejszą Akademię Muzyczną. Między 1984 i 1990 pracowała w swej uczelni jako asystentka, by potem ponad dekadę spędzić za granicą, głównie we Francji, gdzie w roku 1995 objęła stanowisko profesorki w paryskim Conservatoire International de Musique. Dodajmy, że jeszcze w 1990 uzyskała dyplom (Diplome Supérieur) słynnego École Normale de Musique tamże. Jakby jej „było mało” otrzymała multum prestiżowych (naprawdę prestiżowych) nagród i stypendiów, m.in. w Nicei, Weimarze oraz jednej ze światowych stolic Nowej Muzyki, Darmstadtzie. W rzeczy samej biografia tyleż imponująca, co pouczająca – ileż można osiągnąć, wspierając własny talent ciekawością wobec nowego, otwartością na inne kultury, ciężką pracą oraz znajomością języków!

Po powrocie do Polski rzuciła się Agnieszka w wir koncertowania i pracy pedagogicznej. Występuje jako solist-

ka (w tym m.in. z orkiestrą „Leopoldinum”, Filharmonią Kielecką, Legnicką Orkiestrą Symfoniczną, jeszcze przedtem z legendarną Polską Orkiestrą Kameralną Jerzego Maksymiuka czy Orchestre Philharmonique d’Europe) oraz w najróżniejszych składach instrumentalnych, wśród których dominują duety: z organami (ze znakomitymi Jarosławami: Malanowiczem i Wróblewskim), harfą (z udziałem wspaniałej Zuzanny Elster), fortepianem (z niezwykłą Marią Sterczyńską) oraz kontrabasem (tu partnerem Agnieszki jest genialny Aleksander Gabryś). Mieszka i uczy w Warszawie.

Postawa Agnieszki jest wręcz wzorcowa pod względem poświęcenia okazywanego muzyce oraz wytrwałości w budowaniu kariery. Wynikiem modelowego poświęcenia i modelowej wytrwałości są modelowe interpretacje muzyki wszystkich „fletowych” epok, od Bacha, Telemanna i Vivaldiego poczynawszy. Podziwiać trzeba jej podejście do niby na śmierć „przeganych” koncertów rudolosego Antonia, w których świeżość ekspresji bije się o lepsze z maestrią techniczną oraz harmonijnym rozwijaniem narracji i rozumieniem formy. Zajmujące są interpretacje *Fantazji* TWV 40:2–13 Telemanna, arcydzieła wyprzedzające epokę i wiodące ku przekarkolomnym – co nie znaczy nieładnym czy bezsensownym – dziełom najnowszym, w których artystka celuje. Sam miałem szczęście i zaszczyt być beneficjentem jej talentu, kiedy z Orkiestrą Filharmonii Świętokrzyskiej pod dyrekcją Alexandra Walkera dała europejską premierę *Tombeau sur la mort de Monsieur Górecki* – dla mnie utwór ten w jej interpretacji nabrał nowych wartości, nowego znaczenia.

W 1987 Grzegorz Michalski, w recenzji dla łódzkiego „Poradnika Muzycznego”, przepowiadał Agnieszce, że wkrótce dołączy do elitarnego grona mistrzyń i mistrzów fletu. Proroctwo, które się w każdym calu spełniło.

Cztery pory czasu – siedem rzek

JOANNA STOGA

EYNE

Eyne lubi jego dotyk. Tash bawi się z nią tak delikatnie. Leżą nad brzegiem rzeki. Siódma sunie leniwie, połyskuje w słońcu. Rozciąga swe wodne ciało od Gór Nieba po kończącą wszystko Studnię Duszy. Eyne dotyka jej swoim ciałem. Wilgotny piasek lepi się do skóry. Tash strąca go palcami albo nabiera garść i usypuje na niej mandale. Bez pośpiechu, bez słów. Te są zbyt ciężkie dla powietrza zmęczonego upałem. Nie chce ich nieść. Woli zawisnąć nad drogą i wyginać kształty. Tylko muchy skądś biorą siłę – brzęczą, uczepione łańców mięty.

Drogą nadchodzi Ame. Spódnicą wzbija tuman pyłu. Tyle go, że Ame zdaje się sunąć na żółtym obłoku.

– Już czas – mówi, zadając gwałt ciszy.

*

Stoją zgromadzeni wokół Pana Światów. Kamienny posąg z kręgiem twarzy dookoła. Słońce wyciska łzy z oczu Eyne. Patrzy na nią, ona patrzy w nie. Tash trzyma ją za rękę. Robi tak, gdy tylko może. Dotyk – Tash nim przemawia. Dotykem i uśmiechem oferowanym jej w tyłu subtelnych odmianach. Tash zna dziesiątki uśmiechów.

– Nadszedł czas! – Abe wznosi ręce. – Pan Światów przemówił. Pan wybrał Dającego.

Wyciąga dłoń. Czemu w jej stronę? Abe podchodzi. Odbiera ją od Tash. Zrywa nić, która ich łączy i odtąd Tash się nie uśmiecha. Zapomni wszelkie odcienie radości. Tash będzie już tylko bólem.

– Poniesiesz pieśń naszego ludu i ją jedną wolno ci wyśpiewać. Wszystko, co masz poza tym, usuń ze swych myśli i ust. Stajesz się Dającą, a Dająca nie może mieszać słów z Żyjącymi, nawet jeśli są to słowa pocieszenia.

Eyne nie rozumie. Eyne nie jest Dającą. Nie ona miała nią być! Ma imię!

Abe prowadzi ją do ojca. Łzy płyną przez pobruźdowaną twarz. Za sobą skrywa matkę, za nią stoi Kajlen i Ezarja.

– Eyne, córko. Ja, który dałem ci imię, dziś je odbieram. Nie jesteś już Eyne, jesteś Dającą. Poniesiesz pieśń naszego ludu. Pójdziesz... – Głos zamiera mu w gardle.

Abe czeka. Eyne czeka.

– Znasz drogę Dającej. Jest jedna. Siódma będzie ci drogowszkalem. O zachodzie wchodzi w nią, a my poznamy, że idziesz i że na-

sza pieśń jest bezpieczna. Ja, który dałem ci imię, dziś je odbieram. Nie jesteś już Eyne, od teraz jesteś Dającą.

*

– To twój posąg. – Ame podaje jej tobolek.

Eyne wyczuwa w nim bukłak i parę zawiniątek. W jednym coś klekocze. Abe wyciąga je i otwiera. Eyne widzi łódeczkę z muszli – ta musi być od brata. Jest lalka z traw od matki, od ojca kostka z literą „E”. Są koraliki od Kajlen, orzech z sadu babci, wysuszony fragment gniazda szerszeni i woreczek nasion. Tash dał puzderko z piaskiem znad Siódmej.

Eyne płacze. Ame ociera jej łzy.

– Każdego wieczoru wejdź w Siódmą, zaśpiewaj pieśń naszego ludu i oddaj jej jeden z tych przedmiotów. Na koniec zostaw ten, który ci najbliższy. Rzeka powie nam, czy tak czynisz. Rzeka poniesie co nasze. Dająca ma iść tylko z pieśnią.

– Nie chcę, Ame! Tash, całe życie, tyle miałam...

– Dająca nie ma życia. Dająca jest darem.

– Nie!

– Zobaczysz i zrozumiesz. Tu rzeka jest młoda. Dopiero co spadła kaskadą z gór. Nie zna jeszcze bólu, nie doświadczyła gniewu, nie ma w sobie nic prócz roztopionej świeżości śniegu, a ten pochodzi od Pana Światów. Ale im dalej w ziemię, im bliżej Żyjących, tym będzie cięższa i również ty poznasz ten ciężar. By przetrwać, my i Żyjący potrzebujemy Siódmej. By przetrwać, Siódma potrzebuje ofiary.

*

Dzień jest dopiero swym początkiem – rozciągniętą smugą czerwieni na horyzoncie. Eyne idzie nad rzekę. Wczorajszy pył osiadł na drogę przygnieciony rosą. Ściana lasu odzywa się głosami ptaków. Lis błyska ślepiami w zaroślach. Szum, pisk, chrobotanie, pośpieszne szelesty i powolne sapnięcia – dzień w swym początku jest samym dźwiękiem.

Eyne kładzie na wodzie łódkę ze światłem. Siódma zbiera ją z brzegu i wynosi na środek nurtu. Znak, że Dająca rusza w drogę, spływa w dół. Ten, który się kąpie, ten który łowi i ta, która pierze – oni będą wiedzieć pierwsi. Poniosą wieść do osad, wyszpeczą do ucha sąsiadom, zdradzą się z nią przy gorzałce, wykrzyczą na placach. Wieść obiegnie kraj i na koniec wniknie w papier Kroniki wpisana drżącą ręką starego Adabi. Będzie już ósmą, którą odnotuje i pewnie ostatnią. Nowy Strażnik Pamięci czeka, by zająć jego miejsce.

Eyne podąża ścieżką. Siódma się czerwieni. Płomień nieba odbija się w wodzie – woda zmieni go w błękit.

*

Eyne zostawia za sobą dni. Mijają puste, bo są tylko drogą. Chłodem ziemi na stopach, palącym dotykiem przydrożnych pokrzyw, wodą wypitą i wypłakaną, snem, co przynosi wspomnienia.

Wieczorami wchodzi w Siódmą, a ta, kawałek po kawałku, odbiera jej dawne



życie. Pierwsze odchodzą przedmioty sąsiadów, a gdy tych braknie, Eyne oddaje korale siostry i łódyczkę z muszli od brata. Nad literką płacze najdłużej, bo wraz z nią odpływa jej imię. „E” jak Eyne, „E” jak dom i opowieść wysłuchana na kolanach ojca. Po niej żegna lalkę od matki, a wraz z nią toną nienarodzone dzieci Eyne. Tash obiecał, że wypełni jej łono po brzegi. Tash ma złamane serce.

Jego dar zostawia na koniec. Oddaje piasek Siódmej, bo już nigdy nie zobaczy mandali na skórze. Siódma zbiera wszystko, Dającej zostaje jedynie pieśń.

DAJĄCA

Na drodze przybywa darów dla Dającej. W kapliczkach poświęconych Siódmej czekają na nią chleb, orzechy, woda doprawiona miodem, owoce w miseczkach z liści i ugotowane bulwy paye. Między gałązkami furkoczą na wietrze modlitewne chorągiewki. Na kamieniach leżą wianki i drewniane figurki. Te Dająca zabiera ze sobą, a gdy przychodzi wieczór, wraz z pieśnią oddaje je Siódmej.

Na powodzenie.

Na narodziny.

Na ból.

Na nadzieję, że on wróci.

Rzadko widzi Żyjących. Czasem dostrzega dym. Niekiedy trójkąt żagla na wodzie. Wie, że dalej pozna ich miasta, ale tu, gdzie Siódma wciąż jest jeszcze młoda, świat mówi do niej głosem skwronka. Dająca już nie płacze. Żal stał się zbyt gęsty, by spływać łzami. Opadł na dno serca i Dająca czuje jego ciężar. Kładzie się z nim o zmierzchu, wstaje o świtanie. Gdybyż nad Siódmą mniej było piasku, może zdołałaby zapomnieć.

*

Lato odchodzi z trzepotem żurawi. Wznoszą się znad mgły i we mgle nikną. Siódma wydycha je z siebie, płynie zasnuta skłębnym oparem. W wirach tańczą opadłe liście.

Dająca zna już ludzkie osady. Otacza ją zapach rybiego tłuszczu, dziegciu, przegniłych resztek i wyperfumowanych kobiet. Przywożą je nad Siódmą, gdy wiedzą, że nadchodzi.

Mężczyźni patrzą, one patrzą, dzieci wskazują ją palcami. Dziwią się, bo Dająca idzie odziana w to, co znajdzie – łachman, liść, wiązkę traw.

Otacza ją mowa Żyjących. Słowa szorstkie jak dłoń chłopki, która przynosi jej dojrzałe gruszki. Są wyszeptane i rzucone w biegu. Słowa szelesty, słowa klucze i te puste, pisane dla wszystkich i dla wszystkich nic nie znaczące. Im dalej idzie, tym od nich głośniejsze. Rosną, pęcznią, wrzeszczą! Masy odpowiadają im wrzaskiem. Za nimi kroczą słowa rozkazy – ostrza wbite w strwożoną ciszę.

Na nich!

Na koń!

Na śmierć!

Dająca nie odpowiada. Ma być idącą pieśnią.

*

Siódma nie płynie już w okryciu zieleni. Brzegi odarte z roślin, są jak usta spękane w gorączce. Dająca potyka się o resztki drzew. Kikuty sterczą w niebo. Wokół ma pustkę i śmierć.

Pod wieczór znajduje trupa. Oczy zastygłe w strachu, usta rozwarłe do krzyku. Ciało napuchłe i sine spływa posoką do Siódmej. Im dalej, tym widzi ich więcej. Na wpół strawionych ogniem, czarnych, skręconych w konwulsjach.

Kilka?

Dziesiątki?

Setki!

Powietrze dusi. Dym sunie nad wodą. Wlecze się znad ruin miast i wypalonych domów. Wiatr przepycha go tu i tam, ale on nie chce odejść. Osiada na wodzie, czernią znaczy Siódmą.

Wiatr leci tańczyć wśród wisielców. Bawi, się, zsuwa z pokrytych krwią czerepów i uderza w obnażone szczęki. Ptaki skrzeczą nań. Odlatują, by po chwili wrócić i od nowa kuć w twarzach relify.

Psy podchodzą nad rzekę. Pyski ociekają im krwią. Warczą, patrzą

– czekają. Teraz Dająca ma pieśń, ale gdy zaśnie, gdy się zapomni...

Myśl o tym rozżarza im ślepią.

Dająca widzi kaplicę. Biegnie. Drzwi wiszą w skrzypiących zasłach. Wewnątrz nie ma już darów. Znajduje miskę wypełnioną brudnym deszczem. Pije i wraz z wodą poznaje smak nieszczęść. Każda kropla niesie ich tak wiele, a kropel są tysiące. Zalewają ją, pochłaniają. Dająca opada na ziemię.

Łęskni za lasem. Chciałaby oprzeć się o drzewa i pod palcami poczuć ich odwieczność. Wędrować z szumem, odpoczywać w cieniu, ale wokół nie rośnie nawet źdźbło.

Dająca nie śpi. Psy krążą. Słyszy ich dyszenie. Otula się pieśnią i odtąd śpiew będzie jej przetrwaniem.

*

Dająca myli dni. Teraz są strachem. Trąconym kamieniem w ciemnościach, oddechem za plecami, urwanym snem i krzykiem, co z niego budzi.

Siódma niesie śryż. Uderza nim w struchlały brzeg. Dająca wchodzi w toń i śpiewa, dygocząc na wietrze. Łód rysuje ciało. Wgryza się w nią, szarpie, ale ona tego nie czuje – skupia się na pieśni. Dopiero gdy pada przy ogniu, ból rośnie w niej aż nadto.

Nocą leży pod sufitem z gwiazd. Iskrzą się podobne do drobinek piasku. Dająca sięga do tego nad brzegiem i palcem kreśli w nim mandale. Rankiem znajduje je pobielone szronem. Cieniutkie igły lodu piętrzą się w liściaste wzory. Dająca dotyka je i płacze, gdy topią się pod jej palcami.

*

Siódma zatrzymuje bieg. Kostnieje w ciszy pokryta mozaiką wczesniejszej kry. Dająca idzie przez las – inny niż znała dotychczas. Rachityczne drzewa sterczą w ponure niebo, ale są i ona czuje ich obecność. Soki drzemią pod skorupą szorstkiej kory, kapsułki pączków kryją przysze liście.

Na skraju siedzą żołnierze. Grzeją się przy ogniu i tak jak ona już nie liczą dni. Puste źrenice, zastygłe grymasy. Nie pamiętają, za czym kiedyś łęsknili. Skoro jest ogień i ten obok, czego chcesz więcej?

Dająca siada przy nich, wyciąga ręce. Śpiewa, a oni kulą się w sobie. Po co ich ożywiła?

Czemu im przypomniła?

Łzy płyną po brudnych policzkach. Kapią na dłonie i trzymane w nich portrety. Z gardeł sączy się melodia, bo już tylko tak potrafią mówić. Bukłak krąży z ręką do rąk i Dająca poznaje smak wódki.

*

Kaplica stoi na skarpie. Dająca patrzy na nią z nadzieją. Marzy o gotowanych bulwach paye i wodzie doprawionej miodem. Słodycz mlecznych orzechów, gorycz ich skórki – myśli o nich, gdy idzie pokłonić się Siódmej.

Łód jest zbyt gruby, by mogła sięgnąć w toń. Rozebrana kładzie się na tafli i przywiera do niej ciałem. Pieśń, drżąca jak ona, wnika w głębię.

Nad brzegiem czeka kobieta. W rękach ma martwe niemowlę.

– Spóźniłaś się – mówi, niosąc je do niej.

Dająca milczy. Nie może dać słów Żyjącym, nawet jeśli są to słowa pocieszenia. Patrzy i czuje – oko i serce. Tym wolno jej prowadzić rozmowę.

Noc spędzają razem – dwa kłębki szmat i truchło dziecka – a rankiem kopią grób. Zmroźona ziemia nie chce wpuścić ich do wnętrza. Ustępuje, gdy Dająca zaczyna śpiewać. Chłopczyk usypia w czarnym łonie. Matka nuci kołysankę.

Dająca rusza w śnieżną ciszę i nie wie już, gdzie woda, a gdzie brzeg. Jest rytmem kroków. Oddechem, co szronem osiada na włosach. Zbielała na kość gałęzią i pustką wokół niej. Je wyschnięte jagody, popija jałowym śniegiem – od wewnątrz i na zewnątrz w pół żywa.

*

Śnieg nie ma początku ani końca. Wszystko – horyzont, ziemia, niebo – jest wirującą bielą. Zalepia oczy, klei się do warg. Przygniata, chociaż tak lekki.

Dająca pada bez sił. Nie wie, gdzie góra, gdzie dół. Biel staje się wszzechobecna.

Czy to już koniec?

Taki koniec?

W ciszy, bo pieśń uwięzła w gardle?

Coś jednak słyszy. Skrzypienie? Ostrożne stąpanie? Śnieg ugniatany płochliwą łapą? Nad twarzą Dającej pojawia się mgielka. Oddech wypuszczany z pyska.

Czuje dotyk futra.

Jedno?

Więcej?

Wiele!

Kładą się przy niej, grzeją. Wilgotne nosy, mądre oczy. Czekają aż, Dająca zacznie śpiewać, a gdy zaczyna, one też dołączają głosy.

*

Dopada ją przed zmierzchem. Jest porośnięty kudłami i dziki. Dająca nie wie, człowiek to, czy zwierzę. Twarz ma, czy pysk? Warczy, szczyrzy kły. Węszy, smakując jej zapach. Łazi nisko przy ziemi. Przybliżyła się i oddala, odciskając krąg wokół niej.

Głodne oczy widzą w niej strawę.

Jeść!

Jeść!

Jedyna myśl.

Jedynie pragnienie!

Dająca drży. Lęk jest tak pierwotny, jakby był ojcem wszelkich lęków.

Nie może uciec. Stoi otoczona tym dyszącym pożądaniem.

Jeść!

Gryźć!

Łamać!

Wysysać!

Miażdżyć!

Pieśń! Dająca przypomina sobie o niej. Byle zdołała wypchnąć ją przez ściśnięte gardło. Pierwsze słowo jest ledwie stęknięciem. Drugie cichutkim jękiem, ale pojawia się trzecie, czwarte i piąte. Wydobywają się z niej kruche i chwiejne, ale im dalej, tym są mocniejsze. Dźwięk rośnie wokół niej jak tarcza.

Dająca rozkłada ręce. Śpiewa pełną piersią. Pieśń płynie w przestrzeń! Dająca staje się pieśnią!

Kudłaty skomle. Zniża łeb ku ziemi.

Dająca nie ma już w sobie lęku. Przetrawiła go, jak wszystko inne:

Marzenia.

Smutek.

Głód.

Samotność.

Odtąd jest tylko naczyniem, które niesie, co ma zanieść.

*

Wiosna nadchodzi wraz z deszczem. Zwała się na ziemię strugami wody, chłosta ją, topi. Spływa w rwących potokach i brnie w błocie.

Drogami ciągną Żyjący. Koła skrzypią, szurają buty. Dzieci mają wielkie oczy i wydęte brzuchy. Matki determinację w zaciśniętych ustach. Ojcowie patrzą nieobecni. A chociaż zostało im tak mało, Dająca znów przypomina sobie smak gotowanych bulw paye i wody doprawionej miodem. Dają jej też figurki.

Za pokój między tymi a tamtymi.

Za kawałek własnego miejsca na ziemi.

Za przyszłe żniwa.

Za wybaczenie.

I oby wrócił.

Spod stłamszonej ziemi wyrastają pierwsze źdźbła. Bładozielone i cienkie pną się w niebo a to, po raz pierwszy od wielu dni, jest niebieskie

Dająca śpiewa wodzie. Woda odpowiada śpiewem. Im bliżej Studni Dusz, tym obie stają się ślejsze.

STUDNIA DUSZ

Siedmioro Dających, siedem rzek, a przed nimi Gardziel. Wody spadają weń, wydychają tęczowe opary. Dna nie widać. Może go nie ma. Od szczytów Gór Nieba po kończącą wszystko Studnię Dusz woda spina ziemię jak osnowa tkaninę. To na niej utkane są krajobrazy: rytm szczytów i dolin, niebieskość lasu na horyzoncie, żółć drogi wśród zielonych pól, różowy wschód i długie cienie o zachodzie.

Dająca stoi na krańcu. Nie jest jedyna. Wokół są inni Dający. Siedem rzek – siedem ofiar złożonych z siebie w cztery pory czasu. Przed nimi kipiel, za nimi przebyta droga i dotknięcie tych, których mijali. Dający czują ich obecność. Złączyli w sobie ich istnienia.

Pomosty wiszą nad Gardzielą. W kropelkach wody lśnią miliony słońc. Dający zstępują w nie, wirując jak nasiona na wietrze.

Siedem kropel, siedem podarowanych wodzie śmierci.

*

Naczynie Dającej pęka. Nic już nie niesie – stało się tym, co niosło: pieśnią, wodą – Esencją Życia. Nowym bytem zsuwa się ze zboczy lawiną. Płynie kaskadą i strumieniem. Rozlewa się leniwą rzeką, by wnikać w ożywione tkanki drzew i parując z nich, sięgnąć nieba. Jest chmurą, rosą, jesienną mgłą i śniegiem Pana Światów.

Była Dającą – teraz jest Siódmą.

Była Dającą – jest Darem Wody.

TASH

Tash siedzi nad rzeką. Nie był tu od roku. Nie śpiewał wraz z innymi – czekał. Dziś woda jest inna. Chlupocze, bawi się, wyrzuca kropelki na brzeg, jakby go witała, jakby zapraszała.

Podejdz bliżej.

Dotknij mnie.

Narysuj mi mandalę.

Tash bierze garść piasku. Zanurza się na tyle, by być w niej i ją widzieć. Dłoń kreśli koła. Piasek spadając, iskrzy się w słońcu. Siódma chwytą go i rozpuszcza w swym wnętrzu. Pluszcze w tyłu odcieniach radości. Tash znał je kiedyś, ale już zapomniał. Sztynne usta próbują pierwszego od dawna uśmiechu. Skostniałe mięśnie poddają się dotykowi wody. Sól łez miesza się ze słodyczą Siódmą.

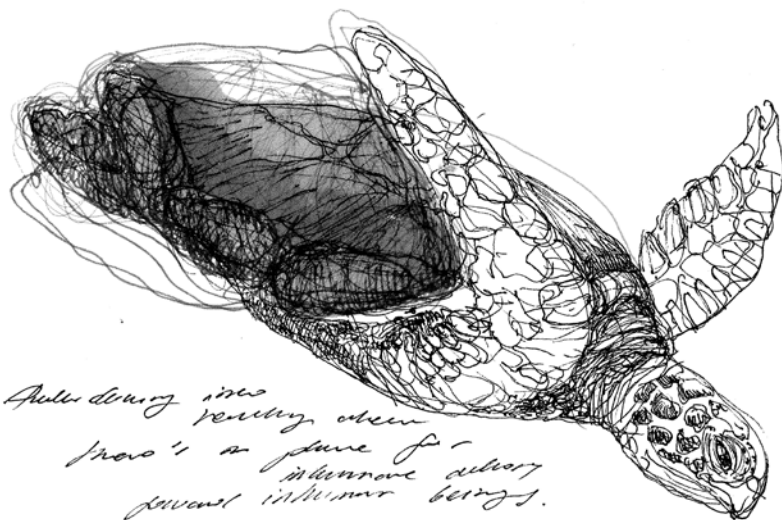
Jesteś tu?

Jestem.

Dwa kształty.

Dwa cienie wspomnień.

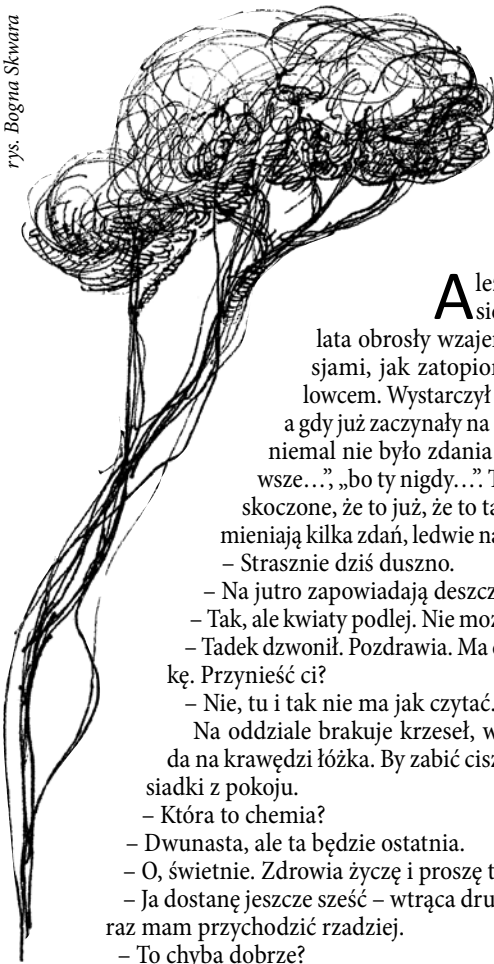
Dwie kropelki w rzece.



Okруchy

JOANNA STOGA

rys. Bogna Skwara



Ależ one potrafiły się kłócić! Przez lata obrosły wzajemnymi pretensjami, jak zatopione statki koralowcem. Wystarczył im byle powód, a gdy już zaczynały na siebie krzyczeć, niemal nie było zdania bez: „bo ty zawsze...”, „bo ty nigdy...”. Teraz milczą zaskoczony, że to już, że to tak. Czasem wymieniają kilka zdań, ledwie na siebie patrząc.

- Strasznie dziś duszno.
- Na jutro zapowiadają deszcz.
- Tak, ale kwiaty podlej. Nie można im wierzyć.
- Tadek dzwonił. Pozdrowia. Ma dla ciebie książkę. Przynieść ci?
- Nie, tu i tak nie ma jak czytać. Hałas.

Na oddziale brakuje krzeseł, więc C. przysiadła na krawędzi łóżka. By zabić ciszę, zagaduje sąsiadki z pokoju.

- Która to chemia?
- Dwunasta, ale ta będzie ostatnia.
- O, świetnie. Zdrowia życzę i proszę tu nie wracać.
- Ja dostanę jeszcze sześć – wtrąca druga. – Ale od teraz mam przychodzić rzadziej.
- To chyba dobrze?
- Pewnie! Po każdej chemii człowiek jest jak z krzyża zdjęty. Nic się nie chce, nic nie smakuje, miejsca nie można sobie znaleźć.

M. milczy. Nie lubi tych rozmów, ani tego oddziału. Chciała, by dali ją na wewnętrzny, bo tu wszyscy z rakiem. C. nie narzeka. Pokój jasny, za oknem drzewa. Inaczej niż na SOR-ze. Tam cały dzień przesiedziały w podziemiach. Wystarczy.

O dziesiątej zaczynają podawać chemię. Raz po raz ktoś wchodzi do zabiegowego i wraca przyczepiony do kroplówki. Stojaki skrzypią, pacjenci mijają się z dostojnością jak w renesansowej pawanie. Ten z telefonem przy uchu, tamta z książką.

Między nimi krążą pielęgniarki i niestrudzona salowa z mopem. Najbardziej pojawiają się lekarze i zawsze się śpieszą. C. nawet nie wie, za którym miałaby biec. Wciąż do nikogo ich nie przydzielono. Siedzi na krawędzi łóżka i przez otwarte drzwi obserwuje korytarz. Ileż to życia potrafi być w takim miejscu! Las stojaków od kroplówek gęstnieje z każdą chwilą. Uwieszone do nich zielone worki wirują w powietrzu. Do obiadu jest ich tyle, że C. czuje się jak na paradzie.

M. nie patrzy. Skupia się na sobie.

– Podać ci coś? – pyta C.

– Nie. Przyjdź później – mówi M. i zamyka oczy.

– Niech pani tędy nie idzie! – Kobieta z papierosem zastępuje jej drogę.

Z grupą palaczy stoi u wejścia do alejki za budynkiem. Jest w piżamie i kapciach, mimo to wygląda groźnie.

– Czemu? – pyta C.

– Tam jest kotka, czarna. Jeszcze nieszczęście jakie sprowadzi.

– Powinni ją przegnać – mówi druga w różowym szlafroku. – Szpital to nie miejsce na koty. W dodatku ta jest kotna. O, widzi pani? Chowa się w krzakach, a brzuch ma taki, że na pewno jest.

– Mi koty nie przeszkadzają – odpowiada C. i przechodzi obok nich.

– Pani sprawa. – Pierwsza wypuszcza z sykiem kłęb dymu.

– Tylko potem niech nie płacze! – dodaje Różowy Szlafrok.

C. idzie i już płacze.

– Będę z panią szczerą – oznajmia ordynator, ale nie patrzy na C. Siada, wygląda spódnice. Bierze z burki plik wydruków. Czyta i tak będzie do końca rozmowy. Przejrzyj je co do jednego. Zasympie C. fachowymi nazwami. Wspomni o blastach, leukocytach, namnażaniu, poda liczby i procenty. C. zrozumie z tego tylko tyle, że jest źle, bardzo źle. Dopiero gdy zacznie się zbierać, tamta wreszcie spojrzy, lecz nawet wówczas zasłoni się okularami.

– Niech pani się modli, by umarła tutaj, bo ja nie mam miejsca na takich jak ona. Kiedy gorączka spadnie, odeślę ją do domu, a wówczas zostanie pani z tym sama.

C. zamyka za sobą drzwi. Łzy płyną jej po twarzy. Nie chce ich! Nie potrzebuje! Mija czekających w kolejce, zbiega po schodach i w duchu modli się o to, co radziła tamta.

W wejściu do budynku zderza się ze znajomą.

– Co ty tu? Co ci jest?

– Ach, szkoda gadać.

A jednak rozmawiają. Płaczą, wylewają żale. Stoją w przejściu, a drzwi obok jęczą raz za razem jak bramy piekieł.

Znajoma podaje C. chusteczki.

– Ile to może potrwać? – pyta.

– Dzień, miesiąc, trudno zgadnąć. Tyle że to już tylko umieranie!

– Nie martw się, ponoć na końcu czujemy ulgę.

C. skupia się na oddechu M. Liczy je, nie wie po co. Ma jedynie nadzieję, że następny będzie ostatnim, ale one wciąż świszczą w nocnej ciszy, jak wpadające w szczeliny podmuchy wiatru. Obraz za oknem C. zna na pamięć. Ciemniejsze i jaśniejsze od kilku dni. Komin, krawędzie dachów, migający napis „Hematologia” i słupek, na którym przysiadła wrona.

Na podłodze leży okruh z kolacji. Wokół niego kręci się mrówka. Podchodzi, chyba próbuje go dźwignąć. Po chwili odwraca się, jakby szukała wsparcia i powtarza wszystko od początku. C. nie może oderwać od niej oczu. Walka zdaje się nie mieć końca.

Nad ranem lekarka każe jej iść do domu. Jest taka młoda i tak inna od pani ordynator. W przeciwieństwie do tamtej, ma odwagę spojrzeć C. w oczy.

– Proszę ją zostawić – mówi. – To jej pomoże odejść.

C. wraca do siebie, ale nie umie znaleźć sobie miejsca. Zaczyna gotować zupę i gdy zapach grzybowej rozchodzi się po kuchni, dzwoni telefon.

– To już. – Słyszysz w słuchawce.

C. wychodzi ze szpitala skrótem obok kotki. Okociła się tej nocy. Cztery małe oeski popiskują u jej boku. C. nalewa jej wodę, gładzi ją delikatnie. Czarne futro lśni w blasku latarni jak worek, w którym zamknięto M.

Teatr jest świętynią wyobraźni

Z TERESĄ SAWICKĄ, aktorką teatralną i filmową, związaną z Teatrem Polskim we Wrocławiu, rozmawia GRZEGORZ CWIERTNIEWICZ



fol. www.teatrpolSKI.wroc.pl/

Masz w swoim dorobku wiele nagród za działalność artystyczną, ale jedna zaintrygowała mnie szczególnie – Nagroda Prezydenta Wrocławia dla Teatru k2, którą otrzymałaś za „konsekwentne obalanie mitu o upadku teatru”...

To był rok Jolanty Fraszyńskiej, Adama Cywki, Roberta Gonery, Roberta Moskwy. Joanna Szczepkowska ogłosiła wówczas koniec komunizmu. W teatrze zadziało się wtedy coś niepokojącego. Nastąpiła nowa rzeczywistość. Teatry zaczęły się rozpadać. Nie wiedziały, jaki obrać kierunek. W dodatku ograniczono im budżety. Młodzi ludzie, po szkołach teatralnych, poczuli się zagubieni. Zabrakło dla nich miejsc w teatrach. Jako wykładowca PWST skrzyknęłam grupę entuzjastów, studentów III roku – między innymi Adasia Cywkę i Roberta Moskwę – i zaproponowałam, abysmy powołali do życia pewien twór. Nazwaliśmy go Promocyjną Sceną Młodych („Proscem”). Celem była praca z ludźmi, którzy wchodzą dopiero do zawodu aktora. Udowodniliśmy, że teatr wcale nie upadł. I za to właśnie to wyróżnienie.

Krótko mówiąc – założyliście prywatny teatr.

Nie wiem czy nie byliśmy nawet pierwszym polskim prywatnym teatrem. Otrzymaliśmy wszystkie możliwe zgody. Na jednym z dokumentów podpisał się sam Leszek Balcerowicz. Pamiętam, że kiedy już je uzyskaliśmy, obeszlśmy z Robertem Moskwą wszystkie możliwe restauracje na wrocławskim Rynku. Ale nie po to, żeby pić, tylko żeby się najeść.

Ale „Proscem” to nie Teatr k2...

Z czasem przemianowaliśmy „Proscem”

na Teatr k2. Z przyczyn marketingowych. O ile dobrze pamiętam, nazwę wymyślił Boguś Grzeszczak. W pełni uzasadnioną. Trudno było wejść do tego zawodu, jeszcze trudniej piąć się na szczyt. Pierwsze spektakle wystawialiśmy na scenie Ośrodka Grotowskiego. Później była scena „Impartu” i scena Teatru Kalambur.

Od czego zaczęliście?

Od *Przezroczystego zera* w reżyserii Wojciecha Ziemiańskiego, z Pawłem Okońskim, Wojtkiem Dąbrowskim i Kingą Zabokrzycką. Scenografię do przedstawienia przygotował sam Krystian Lupa! Po dwóch latach wystawiliśmy *Jak się kochają w niższych sferach* w mojej reżyserii. To świetnie napisana komedia, bardzo przewrotna. Ciekawa nie tylko ze względu na dramaturgię. Graliśmy przy kompletach na widowni.

Ale były też *Ballady morderców Nicka Cave’a*...

W reżyserii Jerzego Bielunasa – z Kingą Preis i Mariuszem Drężkiem. Teksty tłumaczyli Roman Kołakowski i jego syn. Znakomity spektakl. Nick Cave przysłał nam życzenia z okazji premiery!

Jak radziliście sobie z finansowaniem teatru?

Na stuosobowej widowni nie dawało się zarobić. Z wydziału kultury dostaliśmy pieniądze tylko raz w ciągu dwunastoletniej działalności. Jakies cztery tysiące złotych. Mieliśmy swoje biuro reklamy. Zatrudnialiśmy ludzi, którzy obsługiwali w tym zakresie różne firmy. Dostawaliśmy za to pieniądze, za które produkowaliśmy spektakle. Nie robiliśmy tego jednak dla pieniędzy. Naszą ideą

było promowanie naszych utalentowanych studentów z wrocławskiej szkoły teatralnej. Grali u nas Krzysztof Dracz, Kinga Preis, Jolanta Fraszyńska, Krystian Wieczorek, Mariusz Kiljan, Konrad Imiela, Monika Bolly, Ilona Ostrowska, Adaś Cywka i wielu innych, znakomitych dzisiaj aktorów, którzy wtedy zaczynali swoją przygodę z teatrem. Wojtek Kościelniak zrobił rewelacyjną *Syrnę Elektro*. I był to chyba jego reżyserski debiut.

Przed kilkoma laty rozmawialiśmy o tym, jak wygląda i w jakim miejscu jest polski teatr. W jakim jest dzisiaj?

Mam z tym duży problem. Czasem mam wrażenie, że wkracza w rejony absolutnej elitarności. A innym razem dochodzę do wniosku, że jest tylko dla przyjaciół i znajomych króliczka. Najmniej dla publiczności. To bardzo trudny temat! Należałoby to szerzej przedyskutować ze środowiskiem i z widzami.

I należałoby jeszcze przestać poprawiać Szekspira, Czechowa, kompilować Różewicza. Nie trzeba poprawiać wielkich klasyków, by ich utworami opowiadać współczesność. Pewne problemy są uniwersalne, a na odczytanie utworu wpływ ma zawsze kontekst.

Zadara swoimi *Dziadami* dowiódł, że klasycy bronią się sami i nie mają sobie równych.

A może to właśnie przywilej wolności twórczej?

Upieram się przy tym, co powiedziałam.

Teatr musi też przestać naśladować ulicę, musi pamiętać o widzach wrażliwych, musi być w pewnym schronem przed drapieżnym światem...

Zgadzam się! Tak to właśnie widzę. Gustaw Holoubek mówił, że ludzie, jeśli idą do teatru, to chcą trochę bajki, chcą zobaczyć świat, który im się śni, poszybować w wyższe rejony duszy, a także podziwiać scenografię, kostiumy, wspaniałych aktorów ze znakomitą dykcją, którzy doceniają wagę słowa głoszzonego ze sceny. Polecam twórcom teatru książkę Krzysztofa Globisza *Notatki o skubaniu roli*, w której mądrze i zajmująco opowiada o tym, jak ważne w teatrze jest słowo. No bo co było „na początku”?

Kultura jest taka, jakie jest społeczeństwo.

Trzeba kształtować dobry smak. Wszystko jest kwestią dobrego smaku, jak twierdził wielki Herbert. Nawet politycy powinni o tym pamiętać!

To, co proponują środki masowego przekazu, a to przecież także część kultury, to, niestety, wielki karnawał złego gustu! Ale cóż... Takie czasy! Obecnie, żeby zostać wybitnym artystą, trzeba spełnić jeden warunek: trzeba się samemu za takiego uznać i udowodnić to na Facebooku.

Ale co znaczy – „takie czasy”? Czy musimy zgadzać się na oglądanie społeczeństwa i sami mamy stawać się głupimi ludźmi?

Nie. W ubiegłym roku robiłam ze studentami *Pułapkę* Tadeusza Różewicza. Poprosiłam ich, żeby wybrali sobie po jednym wierszu poety, skłaniając ich tym samym do zaznajomienia się z poezją Różewicza. Chciałam z nimi o tych utworach porozmawiać. Co było dla mnie zdumiewające i budujące – wybrali sobie po kilka wierszy i niektórych nie mogli doczytać do końca, nie potrafili ukryć wzruszenia, niektórzy nawet mieli łzy w oczach. To było dla mnie niesamowite doświadczenie! Zaprzeczono powszechnie głoszony tezie, że młodzież oddala się od „wartości”, staje się nieczuła i ślepa. To nieprawda! Ale nie zostawiajmy ich samych. Zapiękujmy się nimi. Przestańmy się bać ich i ich świata! Ale też trzeba wykonać pewną pracę, żeby ten świat zrozumieć.

Musisz bardzo kochać poezję.

To prawda. Ktoś kiedyś zauważył, że wielcy poeci są największymi filozofami. I lubię też groteskę. Groteska jest dla mnie fenomenalną formą przekazu artystycznego. Można w niej skumulować każdy problem, z jednej strony go ośmieszyć, z drugiej – nadać mu bardzo tragiczny rys, choćby przez to, że go ośmieszamy. Dlatego bliski jest mi Gombrowicz, Witkacy, a z polskiej literatury współczesnej na pewno Pilch.

Czego Ci obecnie brakuje w teatrze? Subtelności. I żeby mniej polityki było.

Ale przecież teatr nie może nie reagować na politykę. Już Zygmunt Hübner dowodził, że nie ma teatru bez polityki i odwrotnie.

Sama polityka jest teatrem! Jak ktoś lubi, to ma to na co dzień.

Może polityka nie powinna ze sceny krzyczeć?

Polityka ze sceny wrzeszczy, drze się wniebogłose! Po co? Szanujmy widza, jego inteligencję i wyobraźnię. Teatr jest świątynią wyobraźni. Odbiór zależy od tego, kto spektakl ogląda. Przedstawienie powinno być skonstruowane tak, żeby każdy mógł sobie sam je zinterpretować, bez podawania interpretacji na tacy, w dodatku ostro przyprowadonej. Widz musi przepuścić to, co ogląda przez własne doświadczenia i własne poglądy. W końcu jest suwerenną jednostką.

W jakim miejscu zawodowej kariery jesteś dzisiaj jako aktorka?

Czuję się troszeczkę bezsilna i zniechęcona. Chciałabym się zmierzyć z materiałem, który wyraziłby to, co jest bliższe mojemu obecnemu stanowi świadomości i obecnym możliwościom. Mam moment zwątpienia. Ale spełniam się w pracy z młodzieżą. Oni mnie inspirować, ładują wielką energią, a ja staram się wspierać ich w walce ze wszystkim, co trudne na artystycznej niwie.

Traktujesz pracę ze studentami w kategorii misji?

Tak. Ale Akademia ma również za zadanie uczyć podstaw zawodu. Picasso potrafił świetnie namalować konia zanim zaczął malować swoje „picassy”. Rubinstein musiał wykonać tysiące palców na klawiaturze, żeby potem uwolnić ducha i zachwycać słuchaczy. Tak ja to widzę. Oczywiście nie ogranicza się to tylko do „malowania konia”, to bardziej skomplikowane! Ale to temat na inną rozmowę.

Przyczynkiem do naszej rozmowy są Twoje piękne jubileusze – i życia, i pracy artystycznej. Od pięćdziesięciu lat występujesz na teatralnych scenach, zagrałaś w wielu filmach i spektaklach telewizyjnych. Czy, wstępując na aktorską drogę, wierzyłaś, że świat artystyczny na Ciebie czeka?

Oczywiście! Wierzyłam, że spotka mnie wszystko, co najlepsze! Wyobrażałam sobie, że jestem genialna, uwielbiana, że gram same główne role, że biegam co roku po czerwonym dywanie! Jedno

wielkie pasmo sukcesów! Schody do samego nieba! (śmiech) Do pewnego momentu w moim aktorskim życiu byłam zdeterminowana, żeby to osiągnąć. Nie oznacza to jednak, że za wszelką cenę. Poza tym fascynowało mnie mnóstwo rzeczy poza aktorstwem! Na przykład życie na wsi, kwiaty, owoce, drzewa, rzeki, podróże, inni ludzie, inne światy, kosmos, gwiazdy, niebo, robienie pysznych nalewek i wina z dzikiej róży i rajskich jabłuszek! Świat jest zbyt piękny, zbyt bogaty, żeby skupiać się tylko na jednym jego aspekcie, jednym kolorze...

Ale nie wybrałaśbyś innej drogi?

Nie. Już w szkole podstawowej wiedziałam, że będę aktorką. Występowałam w szkolnych przedstawieniach, a nawet wyreżyserowałam *Pana Jowialskiego*, w którym zagrałam główną rolę. Pisałam wierszyki. Miałam nawet pseudonim!

W liceum było tak samo. Myślałam, żeby zdawać na anglistykę, ale zrezygnowałam. Do krakowskiej szkoły teatralnej dostałam się za pierwszym razem.

W Krakowie stawiałaś swoje pierwsze sceniczne kroki – jeszcze jako studentka zagrałaś w *Wieczorze Trzech Króli* w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego i *Biografii* w reżyserii Nicoloffa Serge’a (Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej). Mimo tego nie zostałaś w Krakowie.

Po trzecim roku pojechałam do Warszawy, do Adama Hanuszkiewicza, który dostrzegł mnie w jakimś przedstawieniu i zrobiłam zastępstwo w *Hamlecie* w jego reżyserii. Grałam Królową – Aktorkę. Teatr Narodowy, na mnie suknia z pereł zaprojektowana przez samego Mariana Kołodzieja, a na scenie plejada wielkich teatralnych i filmowych nazwisk: Zofia Kucówna, Andrzej Łapicki, Andrzej Kopiczyński i wielu innych... No i grający tytułową rolę, będący wtedy u szczytu sławy, Daniel Olbrychski.

W Teatrze Narodowym najczęściej angażował Cię właśnie Hanuszkiewicz. Zagrałaś w jego siedmiu przedstawieniach: wspomniany *Hamlet*, *Beniowski*, *Kochankowie piekła*, *Trzy po trzy*, *Wacławowa dzieje*, *Balladyna* i *Wesele*. Jak wspominasz tę współpracę z Mistrzem?

To był niezwykły pan. Miał w sobie element magiczny. Kiedy dostawało się w krąg jego światła, było mu się zupełnie oddanym. On był bogiem. Potrafił tak fenomenalnie przemawiać, że słuchało się go z zapartym tchem. Chłonęło się każde słowo. Po wszystkim nie wiedziało się, o czym tak naprawdę mówił. Z przejęcia. Miał w sobie taki rodzaj energii, że zaczarowywał świat.

Uwielbiałam go. Dawał po głowie. Był bezwzględny. Mówiliśmy o nim, że jest małym chłopcem, co ci się bawi z nożem przy oku. To była osobowość. Teatr, który robił, był świetnym teatrem, bo opierał się na słowie. W jego zespole była Zosia Kucówna, która to słowo wynosiła na najwyższe poziomy. To było coś. Do dziś pamiętam jej monolog Matki Boskiej w *Beniowskim*. Zaczarowany świat. Hanuszkiewicz to był mój pierwszy „ktoś”.

W Warszawie poznałaś też drugiego boga – Konrada Swinarskiego.

Tak, przygotowywał w Narodowym *Pluskwę* Majakowskiego. Bardzo chciałam u niego zagrać, był legendą. Koleżanka powiedziała o tym Swinarskiemu. Zasugerował mi, żebym wymyśliła sobie jakąś rolę. Cudownie słuchał. Niczego nie wymyśliłam, ale sam kontakt z nim był fascynujący. Chodziłam na próby *Pluskwy*. Byłam ciekawa, jak on pracuje. Każdemu aktorowi poświęcał czas. Zagrałam też u Tadeusza Minca – w *Kartotece* i *Białym małżeństwie*...

Roztaczały się przed Tobą piękne zawodowe perspektywy, a jednak wyjechałaś z Warszawy. Do Wrocławia, do Teatru Współczesnego, żeby zagrać Annę Livię?

Zachwyciła mnie propozycja Kazimierza Brauna. Hanuszkiewicz nie za bardzo chciał mnie zwolnić. Przekonywał, żebym została. Ale jak można było nie podjąć takiego wyzwania?! We Wrocławiu spotkałam Macieja Słomczyńskiego! Wybitnego pisarza i tłumacza. Do dziś mam *Ulissesa* Joyce’a z dedykacją od niego.

Nie wszystko jednak na początku układało się tak, jak chciałaś...

Praca nad *Anną Livią* obfitowała w dramatyczne sytuacje. Najpierw była pierwsza wersja przedstawienia. Pracowaliśmy kilka miesięcy, przyjechał Słomczyński i stwierdził, że napisze nowy scenariusz na podstawie trzech utworów Jamesa Joyce’a: *Ulissesa*, *Portretu artysty w młodości* i *Finnegens Wake*. I tak z Molly Bloom przeobraziłam się w Annę Livię. Niestety, na pewnym etapie prób, z powodów, o których nie chcę opowiadać, moja rola zaczęła tracić na znaczeniu, więc zaprotestowałam i zrezygnowałam z dalszej pracy. Na szczęście Kazimierz Braun poprosił mnie na rozmowę i doszliśmy do porozumienia.

Zrezygnowałaś z roli, dla której zostałam w Teatrze Narodowym?

Taki mam paskudny charakter! W sztuce istnieje jedna, jedyna lojalność. Jest to

lojalność artystyczna. Tak mawiał Helmut Kajzar, który, od momentu kiedy zaczęłam z nim pracować, stał się moim artystycznym guru.

Nie masz wrażenia, że Anna Livia to Twoja rola życia? Choć masz w swoim dorobku wiele wspaniałych kreacji, to właśnie z nią jesteś najczęściej kojarzona.

Musiałam o to zawalczyć. Pracowałam nad tą rolą dzień i noc. Pomógł mi, oprócz reżysera Kazimierza Brauna, sam Maciej Słomczyński, objaśniając znaczenie niektórych słów i neologizmów.

Annę Livię wystawialiście też w Irlandii...

W Dublinie, na międzynarodowym festiwalu z okazji stulecia urodzin Joyce’a. Cały końcowy monolog „Pewnie w Chinach właśnie wstają i czeszą te swoje warkocze...” miałam powiedzieć po angielsku. Ten fragment w oryginalnym brzmieniu niewiarogodnie przejmująco. Kiedy przeczytałam pierwszy raz, po prostu się wzruszyłam. Rozpoczęła się mordercza harówka. Pomimo że znałam angielski, długo się przygotowywałam. Ćwiczyłam artykulację i frazę pod okiem specjalistów od języka, a nawet pod okiem rodowitego Anglika, który odbywał staż na wrocławskiej anglistyce.

W Dublinie zagraliśmy kilka razy. Na widowni kilkaset osób. Kiedy koledzy, czyli bohaterowie mojej scenicznej wędrówki, zeszli ze sceny, zostałam sam na sam z publicznością. Nikt się nie spodziewał, że powiem ten monolog w ich języku. Zapanowała jakaś magiczna cisza i... gdy zaczęłam mówić, doświadczyłam czegoś, co nigdy przedtem mi się nie zdarzyło, wrażenie, że szybuję nad widownią, unoszę się nad ziemią (śmiech). Kiedy skończyłam, minęła długa chwila... A potem publiczność wstała i, jak to się teraz mówi, zgotowała mi długi *standing ovation*. Nie mówię o tym, żeby się chwalić. Chcę tylko powiedzieć, że dla takich momentów warto ciężko pracować i wiele poświęcić.

Po latach, kiedy grałam w Dublinie Modrzejewską, niektórzy widzowie pamiętali ten występ. Naprawdę, są takie chwile, dla których warto uprawiać ten zawód.

We Wrocławskim Teatrze Współczesnym stałaś się z kolei aktorką Kazimierza Brauna. Wystąpiłaś w sumie w siedmiu, znowu w siedmiu!, przedstawieniach w jego reżyserii. „Za Braunem to był teatr!” – wyznał mi Zdzisław Kuźniar podczas rozmowy. Podpisujesz się pod tymi słowami?

Braun to wielki intelekt i znakomity reżyser. I jako dyrektor również był idealny. Nigdy nie kierował się osobistymi przesłankami, wybierając tych, a nie innych ludzi do współpracy. Liczyły się tylko umiejętności. Teatr Współczesny za jego dyrekcji był naprawdę znakomitą sceną.

Po dziesięciu latach grania we „Współczesnym”, przeniosłaś się do Teatru Polskiego. Czy miało to jakiś związek z odejściem Brauna?

Tak. To było dramatyczne odejście, w samym środku stanu wojennego. Odeszłam z dnia na dzień. To była moja decyzja. Na szczęście przygarnął mnie Igor Przegrodzki, ówczesny dyrektor Teatru Polskiego.

Wrocław to również Tadeusz Różewicz. Zawsze bardzo ceniłaś znajomość z poetą...

Tadeusz Różewicz jest moim artystycznym bogiem. Wielki dramaturg i poeta! Jeden z największych w literaturze światowej. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego nie dostał Nobla! I dlaczego we Wrocławiu, w którym mieszkał i tworzył, nie ma ulicy czy choćby skweru jego imienia? Za każdym razem, kiedy jestem w Karpaczu, odwiedzam Jego grób. Leżą obok siebie z innym wielkim wrocławskim artystą – Henrykiem Tomaszewskim. O czym sobie gadają?

W jakich okolicznościach się poznałyście?

Różewicza spotkałam po raz pierwszy w trakcie prób nad *Kartoteką* w Teatrze Narodowym. Grałam Niemiecką Dziewczynę. Bohatera – Wojciech Siemion. Potem, na zmianę z Anią Chodakowską, w tymże Narodowym, grałam Biankę w *Białym małżeństwie* w reżyserii Tadeusza Minca.

Później, już we Wrocławiu, poznałam pana Tadeusza bliżej. Często, na różnych spotkaniach i imprezach Jemu poświęconych, czytałam wraz z Nim jego wiersze. Mam wiele tomików z Jego dedykacjami, a nawet małą hubkę w kształcie głowy. Jest to moja podobizna, namalowana przez wielkiego poetę po premierze *Odejścia Głodomora*. Wręczył mi ją z okazji swoich osiemdziesiątych urodzin, kiedy czytaliśmy w Teatrze Polskim Jego wiersze. Traktuję ten dar jak relikwiię.

Staram się także spotykać Jego twórczość ze studentami. Długo można by mówić, o ile bogatsi dzięki temu się stają, nie tylko warsztatowo, ale jako artyści.

Przechowuję w pamięci wiele zabawnych anegdot związanych z panem Tadeuszem, ale to już temat na inną rozmowę. ■

13. piętro Superbohatera

WOJCIECH LIPOWSKI

Gdy obraził już wszystkich i zienawidził wszystko, co miał w zasięgu wzroku, wleciał pod sklepienie teatru i stamtąd spoznał na świat, a później na nas siedzących na dole. Wtedy zrozumieliśmy, że ten frustrat, nieustannie poirytowany i wściekły ma jednak prawo bytu, bowiem jego usposobienie, charakter, poglądy oraz aparycja zostały stworzone przez współczesność, w której jesteśmy zanurzeni. Natomiast wulgarność i absurd, którymi epatuje, to tylko zasłona, pod którą kryje się rzeczowy osąd rzeczywistości i bardzo uwierająca gorzka prawda o nas samych.

Mowa o Wilqu Superbohaterze, postaci z polskiego kultowego komiksu Bartosza i Tomasza Minkiewiczów. Postać to kontrowersyjna, bardzo niepoprawna politycznie, obrazoburcza i – powiedzmy szczerze – niesympatyczna, ale kto powiedział, że szyderca, ironista rozprawiający się ze światem ma budzić sympatię? Jego rola jest zupełnie inna.

Nadarza się niepowtarzalna okazja, aby zmierzyć się z wersją sceniczną komiksu, który ukazuje się od niemal szesnastu lat i został przysposobiony na potrzeby teatru przez Michała Kmiecika, a wyreżyserowany przez Remigiusza Brzyka. Pano wie pracowali już razem z dużym powodzeniem, by wspomnieć spektakle *Przyjdzcie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* Ziemowita Szczera wystawiony w lubelskim Teatrze Juliusza Osterwy, czy *Siódmkę* tegoż w sosnowieckim Teatrze Zagłębia. Zawsze interesowały ich tematy niebanalne, ciekawe, kontrowersyjne, polemiczne. I tak jest w ich najnowszej realizacji na deskach Teatru Śląskiego. To rzecz dla wytrwałych i odpornych widzów.

Gdy na scenie pojawia się Wilq, w tej roli budzący podziw możliwościami aktorskimi Dariusz Chojnacki, od razu wiadomo, że lekko nie będzie. Ktoś zostanie obrażony, może ktoś wyjdzie, nie mogąc znieść fraz pulsujących wulgarnością, może komuś nie będzie łatwo zaakceptować kilku kontrowersyjnych scen, korowodu zjawisk, w stronę których główny bohater kieruje swe kipiące nienawiścią tyrady. Jednak nikt jakoś nie wychodzi, nie protestuje, bo z minuty na minutę wszyscy rozumieją, że konieczny jest dystans do wszystkich przedstawianych spraw. Mimo że śmiech, którego tu pełno, milknie chwilami, nie trudno zrozumieć, że Brzyk lepi tę historię, oglądaną z 13. piętra obskurnego bloku, gdzie mieszka Wilq, z naszych własnych niepokojów,

obaw, ale też wątpliwości rodzących się, gdy ów niepoważny heros z Opola zamierza bronić swej ojczyzny przed różnej maści superzłoczyńcami, a w szczególności tymi pochodzącymi z Mysłowic.

Zło czai się zresztą w każdym przejawie codzienności. Gdy nad miastem pojawi się znak żółwia, niewątpliwie do roboty zabierze się Superbohater. Ten żółw zamknięty na świat i nie opuszczający, mimo zachęt, swej skorupy, to jakby sam Wilq. Nie rozumiejący świata, odporny na nowości, dokonujący swoistej ewazji przed wszystkim, co dla niego niepojęte, będące źródłem ciągłej frustracji. Nie jest sam w swych misjach zbawiania Opola, czytaj świata. Towarzyszą mu dziwni, ale też komiczni bohaterowie: Alc-man (tu bardzo ekscentryczny Bartłomej Błaszyński), Entombed (sporo umiejętności komicznych włożył w tę postać Mateusz Znaniecki) czy dziewczyna Słaby Wielbłąd nieustannie ignorowana przez Wilqą (Barbara Lubos), no i dziwaczna, niedosięgnięta Droga Pani z Telewizji (Katarzyna Brzowska), symbol wszechwładnej manipulacji, zaprogramowanego oglupiania. To właśnie jego świat. Kontestacja tej przestrzeni przez bohatera odzianego jedynie w dresy będzie do końca głównym zajęciem. Co z tego wynika?

Autorzy spektaklu, przekładając komiks na język teatru, pokazali w zadziwiająco udany sposób twórczą burzę problemów naszej współczesności, przejawiającą się w czynach i zamierzeniach Superbohatera, pełną przy tym absurdów i zwykłej głupoty. Bardzo aktualnie wybrzmiała choćby kwestie ratowania Ziemi przed zagrożeniami klimatycznymi, mimo że bohater zachęca kolegów do nadmiernego zużycia energii elektrycznej, sądząc, że w ten sposób na Śląsku pojawią się kiedyś daktylki. Osobnym tematem, potraktowanym bardzo dosadnie są kwestie mniejszości narodowych. W tym wypadku chodzi o rasę beżową, Turków, potentatów fastfoodowej żywności, której może zabraknąć. W jednej ze scen ten rarytas jest dostarczony w formie prezentu przez starającą się o względy głównego bohatera dziewczynę wprost z kebabiarni w Krakowie. No i jeszcze imigranci przypominający ufo, których, mówiąc delikatnie, Wilq chciałby wysłać w kosmos. Po-



fol. Bartłomej Sowa

dobny stosunek przejawy w stosunku do studentów, dostanie się także innym nacjom pochodzącym z Unii Europejskiej oraz ekologom, antysemitom i zwykłym mieszkańcom Opola. Tematów jest więcej, kto ciekaw, musi wybrać się do teatru, na pewno nie będzie żałować konfrontacji z tekstem sztuki.

Gdy w zakończeniu spektaklu na scenę wkroczy na kilka chwil doskonała Grażyna Bułka w roli Wspólnoty Węgla i Stali, próbując opanować nieokiełznaną nienawiść Wilqą i przemówić mu do rozsądku, szybko zrozumiemy, że nie zdoła tego uczynić, bo nie ma dla niego już ratunku. Pozostanie kim jest. Nie ma ratunku także dla nas, przeglądających się w tej niesamowitej historii, bo nie sposób pokonać własne uprzedzenia, stereotypy, zakłamanie czy frustracje, w jakich jesteśmy zanurzeni w rodzimej współczesności. Kim zatem jest ten polski Superbohater, którego pokazali nam w teatrze Kmiecik i Brzyk?

Ten pozbawiony przymiotów heroicznego gość żyje obok nas, bardzo blisko. Nigdy nie obwieści triumfu nad chaosem i ciemnością. On je raczej spotęguje, bo nie posiada cnót, które są niezbędne dla bohatera, by mógł zwyciężyć wrogów zewnętrznych czy choćby tylko tych duchowych. Ta postać to przecież my sami, taka zonglerka rzeczy serio i groteskowej deformacji świata. Nie uciekniemy przed tym. Po prostu spojrzeliśmy w lustro. Czy nie w podobny sposób, choć rzecz jasna inaczej, pokazywali nam polskość z odrobiną szyderstwa Tuwim, Gombrowicz, Słonimski czy Witkacy? Gdy opuszczaliśmy teatr jakoś przypominały się słowa tego ostatniego artysty „bawcie się Państwo, myślcie i śmieJCie razem z nami!” ■

B. Minkiewicz, T. Minkiewicz
Wilq Superbohater
 tekst Michał Kmiecik
 reż. Remigiusz Brzyk
 premiera 12.11.2019
 Teatr Śląski w Katowicach

Dwa – zapewne najstarsze – rękopisy Biblioteki Jagiellońskiej

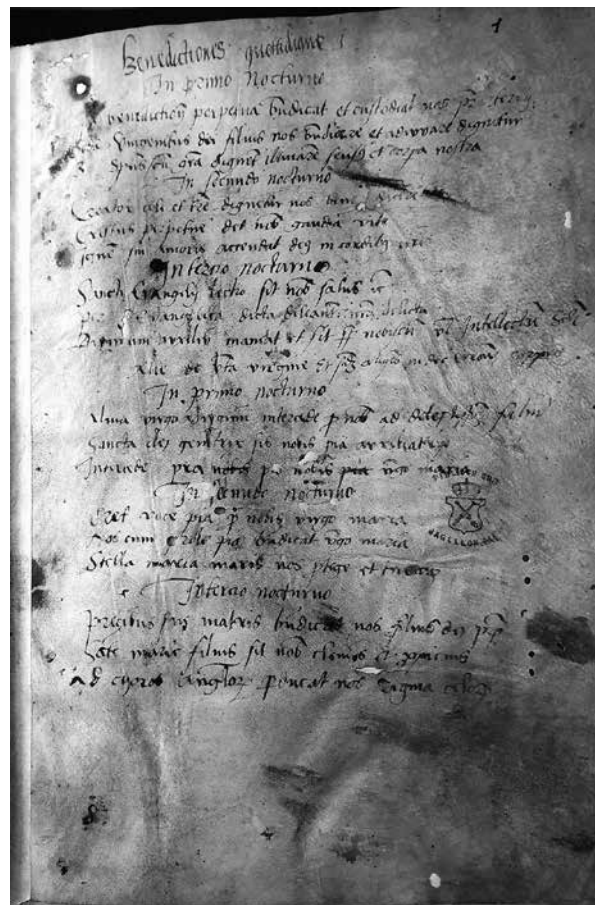
JAN MALICKI

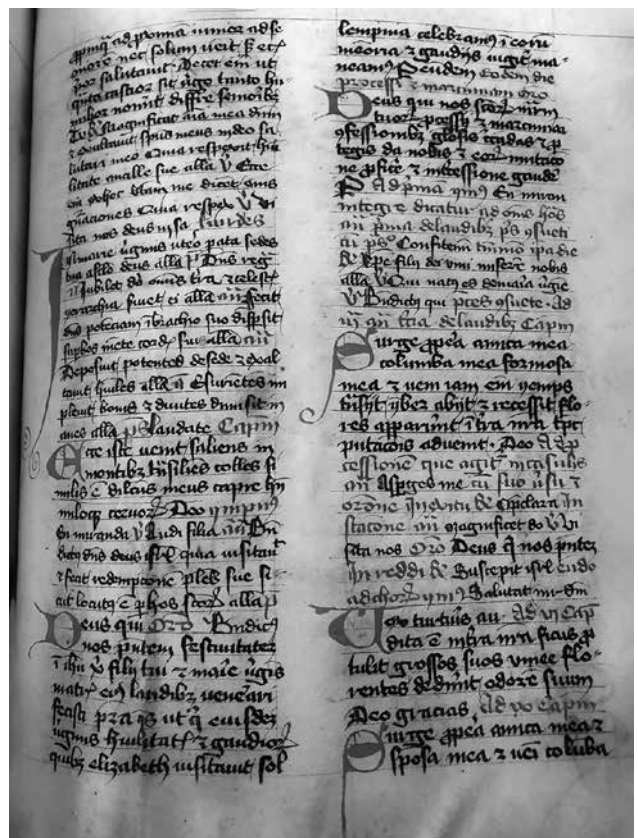
Ostatnio moją szczególną uwagę zwróciły dwa średniowieczne rękopisy. Oba ze znakomitej, czcigodnej a przebogatej Biblioteki Jagiellońskiej, która obecnie przeżywa swoją drugą młodość, współtworząc – z warszawską narodową ksiąźnicą – wielki program „Patrimonium”, obejmujący zasoby dwóch największych, dla kultury polskiej niezastąpionych zbiorów najcenniejszych ksiąg. Ten wielki program, którego od lat jestem gorącym zwolennikiem i orędownikiem, pozwala stworzyć ogromne repozytorium dokumentów do wykorzystania z każdego miejsca w kraju, a poprzez odpowiednie oprzyrządowanie i na świecie, przez badaczy sięgających po najcenniejsze lub najważniejsze pozycje dla naszej kultury. Najcenniejsze? To znaczy jakie?

Mnie zaciekały dwa najstarsze rękopisy, otwierające cyfrowy zasób Jagiellonki. Pierwszy – to rękopis o sygnaturze 1256, zawierający niezwykle bogato zdobiony tekst liturgiczny z XIII lub XIV stulecia, z modlitwami do Matki Bożej oraz świętych bohaterów: Sebastia-

na, Błażeja i Floriana. Ale ze szczególną uwagą czytałem na karcie 292 fragmenty *Pieśni nad pieśniami*, zwłaszcza incipit: *Surge, propera amica mea* (Wstań, pośpiesz się, przyjaciółko moja). Tekst znany nam doskonale z najstarszego polskiego tekstu prozaicznego (jeśli prozaicznego) *Kazań świętokrzyskich*, którymi tak się zachwycał Stefan Żeromski. Uważał je za spełnione arcydzieło, kanon literackiego piękna. Również dla mnie stanowią one symbol kunsztowności, precyzji i wzorca estetycznego literackiej polszczyzny, i to w momencie jej powstawania, kształtowania się. Szczególnie, gdy przeciwstawia się dosłowne, proste, nazbyt ogólne i zimne tłumaczenie „przyjaciółko moja” cytawozi z *Kazań*: „milučka moja”. Zatem: „przyjaciółko moja” czy „milučka moja”. To szczegół. O wiele ciekawsze są jednak inne świadectwa trwania owego rękopisu. Na odwrocie bowiem okładki – a jakże, drewnianej, oprawionej w skórę w zakładzie introligator-skim legendarnego mistrza w tej dziedzinie Roberta Jahody – z 1934 roku, znalazła się

ciekawa wzmianka o tym, że zastępuje ona „lichą i zniszczoną okładkę z czasów Jerzego Samuela Bandtkiego (1768–1835). Człowieka niezwykle zasłużonego dla Krakowa, gdzie wszak przebywał od roku 1811, aż do śmierci, z niezwykle pietyzmem opiekując się jagiellońską ksiąźnicą. Był też uczonym i uniwersyteckim profesorem, piszącym i wydającym książki z zakresu – jak byśmy dziś powiedzieli – bibliologii, historii i językoznawstwa. Ale był też człowiekiem zasłużonym dla Śląska, szczególnie w swoim wcześniejszym, jeszcze wrocławskim okresie życia. I to nie tylko dlatego, że wśród wielu listów doń adresowanych znalazł się list młodego nauczyciela i organisty z Lubszy, Józefa Lompy, marzącego o studiach w Krakowie. Przede wszystkim z tego względu, iż w sporach i dyskusjach o pradziejach Śląska przełamała powracając wciąż na nowo teorię kwadyjsko-elizejską, sytuującą Śląsk poza kulturą polską. „Witaj piękny kwacki kraju” – pisał o Śląsku jeszcze w latach dzieciństwa Jerzego Samuela proboszcz z Pruchnej – Lu-





dwik Hieronim Heimb. Nic dziwnego, iż portret owego znakomitego profesora, i niegdyś włodzara Jagiellonki, wisi w gabinecie obecnego dyrektora, prof. Zdzisława Pietrzyka. O wiele większe wrażenie zrobił na mnie drugi z rękopisów o sygnaturze 1255. Dodam: niejednolity pod względem graficznym; o charakterystycznym dwudzielnym, a może nawet trójdzielnym kształcie. Kontrast między częścią wstępną i zakończeniem a głównym zrębem kodeksu jest wyrazisty, zaskakujący, wręcz porażający dla koneserów starych rękopisów. Część pierwsza umieszczona na czystych kartach poprzedzających tekst główny oraz na kartach tuż po nim, pisana jest niestarannym duktem pisma, nieregularnie, z poprawkami i oczywiście z abrewiacjami, skrótami znanych wyrazów. One zazwyczaj skupiają uwagę badacza. Ale ów kontrast graficzny, wyrażający się – powtórzmy – przypadkowością zapisu w części pierwszej i perfekcyjnością w części drugiej, wzmocnionej na dodatek dwukolumnowym układem tekstu o przebogatej ornamentyce, jest zarazem sygnałem o wiele ważniejszym dla czytelników. Moją uwagę zwróciła znaczna część manuskryptu, poświęcona św. Stanisławowi, „który ponosił błogosławioną śmierć męczennią w roku 1079 po Narodzeniu Pańskim... Ów święty męczennik i biskup Stanisław opromieniony sławą rozlicznych cudów kanonizowany został przez papieża Innocentego IV w roku łaski Pana naszego Jezusa Chrystusa 1253”. Zatem rękopis ten możemy traktować jako kolejny przykład popularyzacji kultu Świętego w tym stuleciu, jego utrwalania i swoistej polemiki z przekazem Gallowym, mocno krytycznym. W XIII wieku, w okresie wielkich przeobrażeń europejskiego uniwrsium chrześcijańskiego, szczególnie po roku 1215, zmienia się też hierarchia „boskich atle-

tów”. Na gruncie rodzimym, w swoistym dialogu kulturowym dominikańskiego Krakowa z prymasowskim Gnieznem, coraz ważniejszą rolę odgrywa Małopolska. Zapewne dzięki biskupowi Prandocię z rodu Odrowążów. Nic dziwnego, że w połowie stulecia powstaje szereg przekazów pisanych, związanych z kultem św. Stanisława. Pierwszym był oczywiście *Żywot mniejszy* niezbędny do rozpoczęcia procesu kanonizacyjnego. Równie konieczny był – posłużmy się określeniem Janiny Pleziowej – „zwoj cudów”, który z czasem opracowany został ponownie przez dominikanina Wincenigo z Kielczy jako *Żywot większy*. Zmieniły się bowiem od 1207 roku reguły procesu. Świętość ogłaszał papież, a już nie lokalny biskup. Konieczny był więc spisany, zweryfikowany i kompletny żywot świętego, składający się z biografii, opisu męczeństwa i katalogu cudów. Przypomniane tu fakty stały się tematem tekstów modlitewnych, pieśni religijnych, nabożeństw. Taka też dokumentacja towarzyszyła procesowi kanonizacyjnemu św. Jadwigi Śląskiej. Ale w rękopisie 1255 – na marginesie dodam nieskromnie, że byłem pierwszym w dziejach jego czytelnikiem – uderzyło mnie jeszcze coś innego. O ile w części dostojnej, dopracowanej, bogato zdobionej – nazwijmy ją umownie Stanisławowej – dominowała opowieść o zabitym przez Bolesława Śmiałego biskupie, o tyle w obu okalających ją częściach bohaterem staje się św. Wojciech. Dodajmy, wówczas niemal zapomniany. A przecież historycznie wcześniejszy, pierwszy święty z czasów innego Bolesława – Chrobrego. Jednak XIII wiek to czas kreowania nowych elit, skupionych wokół Krakowa, z twarzą św. Stanisława. Ów rękopis ilustruje dylematy epoki. I to jest dla mnie największa niespodzianka, która pokazała inne zjawisko. Swoistego

dialogu kulturowego między tym, co przeszłe, dawne, wzbogacone patyną minionego czasu, a tym, co wschodzące, zagarniające, nowatorskie, atrakcyjne niedookreślonością, niejasnością i nieprzewidywalnością. Ów dialog symbolizowały wówczas dwie postaci: św. Wojciecha i św. Stanisława. Różnice te podkreślała architektura manuskryptu. Poprzedzają charakterystyczna nazwa genologiczna: *Brevarium*. *Brewiarz*, a więc „nabożeństwo brewiarzowe”, oficjum, oparte na kolejnych „godzinach”: pierwsze nieszpory, jutrznia, „chwalba”, drugie nieszpory. Obok nich pieśni, hymny, antyfony. Całość nabożeństwa kończy hymn. W naszym rękopisie będzie to *Te Deum*... Ale owo symboliczne zderzenie dwóch oficjów w jednym tomie zastanawia. Zwłaszcza, że dzieli je jakość estetyczna zapisu. Doskonała św. Stanisława; chaotyczna, dość przypadkowa św. Wojciecha. Jesteśmy jednak w XIII wieku. Presja dominikańska w Krakowie – powtórzmy – staje się coraz silniejsza, przy słabnącej roli Gniezna. Do czasu, kiedy rząd dusz w Gnieźnie przejął abp. Jakub Świnka, polonofil, zwolennik zjednoczenia kraju, autor listu do śląskich franciszkanów, zaczynającego się od słów: „Aby Polska była Polska, nie Saksonią”. On też na synodzie łęczyckim w 1285 roku odnowił kult św. Wojciecha, wprowadzając obowiązek modlitwy do tego świętego. I być może z tymi właśnie wydarzeniami łączy się interpolowany manuskrypt o sygn. 1255 ■



Śląskie tajemnice cz. 24

Pałac w Biestrzykowicach

JULIA MONTEWSKA

S wój obecny wygląd obiekt zawiązuje bogatej rodzinie Frankenbergów, która wzniosła go na miejscu dworu obronnego otoczonego fosą w XVIII wieku w stylu barokowym. Następnie niewielką klasycystyczną nutę budowli dodał kolejny właściciel, Hugon von Garnier w 1857, będący spadkobiercą dóbr w Biestrzykowicach, które w drodze licytacji nabył jego ojciec kapitan Anton von Garnier pochodzący z Turawy. Pewne źródła podają, że kupił on posiadłość za kwotę 148 tysięcy talarów. O zamożności tego rodu świadczy fakt, iż Hugon swego czasu był właścicielem zamku w Namysłowie.

Pałac wzniesiono na planie prostokąta, jest to budowla dwukondygnacyjna z mieszkalnym poddaszem nakryta dachem mansardowym, krytym łupkiem z lukarnami i facjatami. Elewacja wschodnia została wyposażona w przybudówkę / wejście, którą ozdobiono kartuszem herbowym, nad nią znajduje się taras o ażurowej balustradzie. Do pałacu przylega zdziczały już dziś park krajobrazowy. Po zakończeniu drugiej wojny światowej obiekt szybko został wchłonięty przez miejscowy PGR, który o dziwo dokonywał jednak w pałacu bieżących napraw i remontów, chroniąc go w ten sposób przed zniszczeniem. Taki stan rzeczy wynikał z nowej roli, jaką komunistyczne władze przewidziały dla obiektu. Mieściło się w nim przedszkole, świetlica, były tu też zlokalizowane pomieszczenia biurowe i mieszkania. Należy przyznać, że o ile w większości przypadków pałace będące własnością PGR-ów były niewłaściwie użytkowane i nieremontowane, co przyczyniło się do ich upadku, to w Biestrzykowicach mamy do czynienia z sytuacją zgoła odmienną. Agonia obiektu rozpoczęła się w momencie, gdy rozwiązano Państwowe Gospodarstwo Rolne a pałac trafił w prywatne ręce, i tak naprawdę nie działo się nic. Właściciel po zakupie zapomniał o obiekcie na długie lata, skutkowało to licznymi włamaniami i aktami wandalizmu. Rozbito zabytkowe kominiki, rozkradziono detale i zdobienia, zrujnowano ściany i unikatową



sztukaterię. Promyk nadziei pojawił się w 2014 roku, kiedy to zmienił się właściciel.

Przez sześć lat rządów nowego „Pana na Biestrzykowicach” zmieniło się niewiele, nie widać jakichś zaawansowanych prac restauracyjnych na terenie pałacu. Prowizorycznie próbowano widać naprawiać dach, w niedalekiej odległości od obiektu leży sterta oryginalnego łupka, jakim dawniej był on pokryty, wszędzie poniewierają się elementy stolarki okiennej. Sam budynek straszy pustymi oczodołami wybitych okien, a odarte z tynku ściany nadają budowli upiornego wyglądu. Bardzo dobrze, że wszystkie okna parteru, jak i piwniczne znajdujące się w przyziemiu zostały zamurowane – na pewno chroni to pałac przed odwiedzinami niechcianych gości, jednak cała reszta pozostawia wiele do życzenia.

Niestety wiekowe pałace, podobnie jak starzy ludzie pozostawieni sami sobie, szybko odchodzą. Tak samo się rzecz ma z parkami, które bez wprawnej ręki ogrodnika dziczeją. Biestrzykowicki park krajobrazowy

był kilkakrotnie modyfikowany, dziś to zdziczała, bliżej nieokreślona forma roślinna, jednak spacerując po nim, można odczuć dawne tchnienie tego miejsca, aleję grabową i czerwono-listne buki. Dawna idea projektanta tego parku była piękna, przewidziano tam nawet staw ze sztuczną wyspą i mostek, wokół, podobnie jak w Kopicach czy Brzezinkach pod Oleśnicą, stały liczne barokowe rzeźby. Niestety, większość posągów zniszczyła wojna, resztę uszkodziła ludzka głupota nakazująca zrzucić je z cokołów, gruchotać ręce i odbijać twarze. Niektóre przetrwały, jak choćby odziana w futro i otulona mufką Zima z cyklu „Cztery pory roku” z 1755 roku dłuta H. Hartmana, wykonana na zamówienie bogatej rodziny Frankenbergów czy posąg Diany z 1760 roku. Oba te dzieła obecnie odrestaurowane spoczywają przy Opolskim Uniwersytecie. W pałacowym parku trwa wycinka drzew – zima to dobry okres, by zrewitalizować zaniedbany park. Być może z nadejściem wiosny, która zawsze przynosi nową nadzieję, ruszą prace przy remoncie reszty obiektu. ■

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





Wejście główne do schronu LSD (schron „Sosabowski”, Plac Akademicki, Bytom)



Wnętrze schronu LSD „Sosabowski” (Plac Akademicki, Bytom)

Tym razem nie będzie mowy o schronach bojowych. Te mają jasno sprecyzowane zadania. Będziemy mówić o obiektach, które stanowiły ochronę przed nalotami bombowymi. Przynajmniej w swoim założeniu. Czy faktycznie tak było? Czy spełniały swoje zadania? Czy miały jedynie wymiar propagandowy? To już zupełnie inne pytania.

Nie wiem, ile miałem lat, gdy byłem w swoim pierwszym w życiu schronie typu LSD. Zaręczam Wam, że daleko mi wtedy było do dorosłości. Oczywiście nie wiedziałem, że schron nosi taką nazwę, nie znałem też daty jego budowy. Domyślałem się jedynie, że został wybudowany przez Niemców, bo miasto Bytom, w którym się urodziłem i wychowałem, do 1945 r. było miastem niemieckim (niem. Beuthen O/S). Wszystkie budynki w dzielnicy, w której mieszkałem, miały swój niemiecki rodowód, czego ślady były widoczne na każdym kroku. No i tajemniczy bunkier, bo tak go nazywaliśmy, pomiędzy dwiema ulicami, na wielkim podwórku, ukryty pod ziemią, tajemniczy i niedostępny. Tylko odważni tam wchodziłi. My chcieliśmy być bardzo odważni, więc weszliśmy tam po raz pierwszy, choć dusza ze strachu chciała wyskoczyć z ciała. Później było inaczej. Bunkier stał się częścią mojego dzieciństwa. Stał się synonimem ukrycia i bezpieczeństwa. Chodziłem po nim po ciemku, na wycucie, bo znałem każdy jego zakamarek. Już się go nie bałem.

Schron przeciwlotniczy

Schrony przeciwlotnicze budowało się po to, aby stworzyć system zabezpieczenia terytorium kraju i jego ludności cywilnej przed oddziaływaniem lotnictwa nieprzyjaciela. Buduje się je wtedy, gdy takie zagrożenie jest realne. W przypadku Górnego Śląska sprawa była jasna. Niemcy starali się budować tego typu obiekty przy dużych budynkach użyteczności publicznej (głównie przy szkołach) jeszcze przed wybuchem wojny. Ile ich wtedy powstało, trudno dzisiaj określić. W pierwszych latach II wojny światowej Górny Śląsk nie stanowił celu lotniczych nalotów, był zresztą poza zasięgiem alianckiego lotnictwa. Oczywiście, zdarzały się sporadyczne przypadki zbombardowania, ale nie było to nic poważnego. Wszystko zaczęło się zmieniać od 1942 r. a szczególnie w 1944 r.

W 1933 r. w Niemczech utworzono Stowarzyszenie Rzeszy do Spraw Obrony przed Nalotami (niem. Reichsluftschutzbund – RLB), które zorganizowało siatkę strażników obrony przeciwlotniczej (niem. Luftschutzwärter). Odpowiadali oni za bezpieczeństwo bloku mieszkalnego lub całego osiedla. W 1935 r. wydano akt prawny nakazujący wszystkim obywatelom obowiązek uczestniczenia w obronie cywilnej. Za niewykonanie tego obowiązku groziła kara więzienia. W tym samym roku opracowano również system ostrzeżeń przed nalotami. Posterunek obserwacyjny przekazywał informację o bezpośrednim zagrożeniu atakiem lotniczym (niem. Luftgefahr – L) innym zagrożonym posterunkom w ciągu 30 minut (L-30), a 10 minut (L-10) przed pojawieniem



Widok na wejście do schronu LSD i jego wyjście ewakuacyjne (Plac Akademicki, Bytom)

foto: Dariusz Pietrucha

LSD jak grzybów po deszczu

DARIUSZ PIETRUCHA

się bombowców nieprzyjaciela alarm miały ogłosić syreny. Po odejściu zagrożenia ogłaszano „niebo czyste” (Lz). Dotyczyło to dużych grup samolotów nieprzyjaciela. W październiku 1940 r. Hitler zażądał, aby syreny ogłaszały alarm w przypadku pojedynczych samolotów. W dniu 23 maja 1939 r. ukazał się *Dekret o zaciemnieniu*, a w dniu 21 maja 1942 r. wprowadzono kolejny system ogłaszania zagrożenia nazywany „małym alarmem”. Od marca 1944 r. wiadomości o zagrożeniu lotniczym niemieckie rozgłośnie radiowe nadawały na ogólnodostępnych falach.

Strach i terror

Podczas II wojny światowej lotnictwo amerykańskie i brytyjskie z coraz większym rozmachem prowadziło swoją lotniczą ofensywę skierowaną przeciwko niemieckim miastom, określaną mianem „bombardowania morale” (ang. moral bombing). Już wcześniej premier Winston Churchill uznał, że jedynym skutecznym sposobem ataku na Niemców są zmasowane naloty lotnicze. Oficjalnie starano się zniszczyć materiały i maszyny pozwalające produkować broń, ale nieoficjalnie dążono do złamania ducha walki niemieckiego narodu. Jeszcze w listopadzie 1942 r. naczelny dowódca brytyjskich sił powietrznych sir Charles Portal przechwalał się, że w ciągu dwóch lat zabije milion Niemców, poważnie rani kolejny milion, a 25 milionów pozbawi dachu nad głową. Taktyka i charakter tych działań zmieniły się w kolejnych latach. Prawdopo-

dobnie już w tym czasie na terenie Górnego Śląska wybudowano schrony przeciwlotnicze, przeznaczone prawie wyłącznie dla ludności cywilnej. Był to efekt zagrożenia alianckimi nalotami bombowymi, które właściwie dotyczyło każdego niemieckiego miasta lub miasta znajdującego się pod okupacją Niemców. Miało to związek z rozkazem Hitlera mówiącym o obowiązku budowy takich schronów, rozkazie dotyczącym całego obszaru III Rzeszy.

W 1942 r. przyjęto taktykę „area bombing”, czyli nalotów dywanowych. Brytyjczycy szukali coraz bardziej skutecznych sposobów niszczenia niemieckich miast, opierając się nie na sile zrzuconych ładunków wybuchowych, ale na możliwości wywołania gigantycznych pożarów, które przeistaczały się w apokaliptyczne burze ogniowe. Do owych nalotów Brytyjczycy używali samolotów typu Lancaster, a Amerykanie słynnych B-17 i B-24 Liberator. Na szczęście żadne miasto na Górnym Śląsku nie stało się celem takiego nalotu, choć mogło być inaczej.

Program natychmiastowy

Hitler mocno obawiał się niemieckiej opinii publicznej. Przynajmniej w początkowej fazie wojny. W dniu 10 października 1940 r. ogłosił „program natychmiastowy Führera”, który zakładał budowę „odpornych na bomby schronów” w 79 niemieckich miastach (mniej-szych i większych). Zaufany człowiek Hitlera, Fritz Todt, rozpoczął budowę owych obiektów, traktując to jak rodzaj „betonowej woj-



Wejście główne do schronu LSD (schron „Sosabowski”, Plac Akademicki, Bytom)

ny” z wrogiem. Od tego momentu na Górnym Śląsku zaczęło powstawać coraz więcej schronów przeciwlotniczych. Obszar Dolnego Śląska ciągle jeszcze traktowano jako obszar „wolny od nalotów”.

W 1941 r. wylano 3,4 mln metrów sześciennych betonu, a w maju 1943 r. ilość wylanego betonu sięgnęła 5,1 mln ton. Schrony budowano w znacznie wolniejszym tempie, niż początkowo zakładano. Dlaczego? Deficyt materiałów budowlanych. Od 1942 r. ogromne ilości betonu pochłaniała budowa Wału Atlantyckiego. Od 1943 r. beton przeznaczano do budowy obiektów podziemnych, które miały służyć jako podziemne, odporne na naloty lotnicze hale produkcyjne. Samorządy i miasta dostawały beton w ograniczonym stopniu, więc nie mogły realizować zaplanowanego programu budowy schronów przeciwlotniczych. Jednakże rękoma jeńców i robotników przymusowych zaczęto budować szereg schronów przeciwlotniczych, najczęściej usytuowanych w pobliżu miejskich cmentarzy i parków, co zapewniało im większe bezpieczeństwo. Schrony przeciwlotnicze budowano również koło zakładów przemysłowych i na osiedlach.

Szukano również tańszych rozwiązań. NSDAP mobilizowało ludzi do kopania rowów przeciwołamkowych. Miało to wymiar typowo propagandowy. SS zapędzało więźniów do pracy, którzy także wykonywali różnego rodzaju ukrycia. To również miało znaczenie propagandowe. Niektóre miasta odnawiały swoje stare fortyfikacje, które również dawały jakieś schronienie. W innych miastach wzięto się za budowę sztolni przeciwlotniczych, wykorzystując do tego nawet pokopalniane chodniki. Przykład takiego zachowania mamy pod Wzgórzem Zamkowym w Będzinie. Do ochrony przed bombardowaniami wykorzystywano również tunele metra. Tak samo było w Londynie w 1940 r. Ogółem szacuje się, że Niemcy wybudowali od 20 do 30 tys. różnego typu schronów przeciwlotniczych, w tym największych bunkrów nazywanych „wieżami przeciwlotniczymi” (niem. Hochbunker). Przykład takich mamy w mieście Oświęcim.

Jest zasięg

Duże znaczenie dla alianckiego lotnictwa miało przybycie do Europy amerykańskiego lotnictwa strategicznego, którego 8 Flota Powietrzna 15 Brytanii, a 15 Flota Powietrzna na lotniskach w północnych Włoszech. W styczniu 1943 r. na konferencji Wielkiej Trójki w Casablance ustalono, że brytyjskie Bomber Command i amerykańska 8 Flota Powietrzna będą od tego momentu atakować kluczowe zakłady niemieckiej produkcji uzbrojeniowej oraz cele wojskowe. Była to lotnicza ofensywa przeciwko „zbrojowni Rzeszy”. Amerykanie mieli prowadzić naloty dzienne, a brytyjski RAF naloty nocne. W ten sposób w kwietniu 1943 r. narodziła się „kombinowana ofensywa bombowa” (ang. Combined Bomber Offensive) przeciwko III Rzeszy, realizowana pod kryptonimem „Point-Blank”. W ciągu całego 1943 r. brytyjskie i amerykańskie bombowce zrzuciły na Niemcy 330 tys. ton bomb, tracąc przy tym ponad tysiąc swoich maszyn. Alianckie lotnictwo niszczyło cele głównie w zachodnich i północnych Niemczech.

Od połowy 1944 r. Górny Śląsk znalazł się w zasięgu „kombinowanej ofensywy bombowej”...

Niechciane efekty

W efekcie alianckich nalotów zburzono 41 wielkich i 158 średnich niemieckich miast. Prawie 3,4 mln mieszkań legło w gruzach. Zabitych zostało 609 tys. osób, a 917 tys. odniosło rany. Zmasowane bombardowania alianckiego lotnictwa na niemieckie miasta i wynikające z tego ogromne straty wśród ludności cywilnej destruktywnie wpływały na morale żołnierzy Wehrmachtu i Waffen-SS. U jednych wzmagały uczucie wrogości i zaciętości, u innych wywoływały strach i obawę o los własnych rodzin. Poza tym bombardowania niemieckich zakładów przemysłowych ogromnie zredukowały produkcję żelaza i stali, a także zdruzgotały niemiecką sieć kolejową.

Niemcy w związku z nalotami zaczęli realizować akcję ewakuacji milionów kobiet i dzieci w głąb kraju. Akcja była prowadzona bardzo sprawnie przez instytucje państwowe i partyjne.

Dzieci w wieku 10–16 lat z miast zagrożonych bombardowaniami wysyłano całymi klasami lub nawet szkołami do miejsc, które nie były narażone na naloty. Nazwa tej akcji brzmiała „Kinderlandesverschickung”. Do końca 1943 r. w miastach zagrożonych wielkimi nalotami zamknięto wszystkie szkoły. Ewakuowane dzieci umieszczano również w schroniskach młodzieżowych, szkołach, hotelach, gospodach czy też w domach wypożyczonych. Sporą część ewakuowanych dzieci wywieziono na Śląsk. Ogółem w obozach umieszczono 850 tys. dziewcząt i chłopców, które znalazły się poza swoim domem i wpływem rodziców. Podczas wojny bombowej w Niemczech zginęło 75 tys. dzieci poniżej 14. roku życia (około 45 tys. chłopców i 30 tys. dziewcząt), a 116 tys. odniosło rany. Wiele z nich zostało sierotami.

Już po wojnie Amerykanie doszli do wniosku, że bombardowanie miast i zabijanie niemieckiej ludności cywilnej wcale nie doprowadziło do złamania ducha walki. Nikt nie myślał o obaleniu władzy. Nawet robotnicy przymusowi brali udział w akcjach ratowniczych, co świadczy o wielkiej ludzkiej konsolidacji w obliczu zagrożenia własnego życia. Zdarzały się za to przypadki publicznego linczu alianckich lotników, którzy dostali się do niewoli.

Niemiecki podziemny schron przeciwlotniczy typu Luft-Schutz-Deckungsgraben – LSD

Tego typu schrony Niemcy budowali od początku wojny jako zmodernizowaną wersję zwykłych rowów przeciwlotniczych. Ściany i stropy podziemnego schronu wzmacniano warstwą betonu lub elementami prefabrykowanymi. Tak było w przypadku schronów występujących na terenie Górnego Śląska. Zadaniem takich obiektów była ochrona ludności cywilnej na wypadek nalotu lotniczego, jak również osłona przed odłamkami lub falą uderzeniową. Bezpośrednie trafienie w obiekt zazwyczaj oznaczało śmierć przebywających tam osób. Schron wykonano na zasadzie łamanego korytarza o długości ok. 70–80 m (stosowano różne długości), zazwyczaj z jednym wejściem głównym i drugim wyjściem ewakuacyjnym. Wewnątrz schronu znajdowały się odrębne sektory korytarza oddzielone od reszty drewnianymi drzwiami. W każdym z nich najprawdopodobniej znajdowały się drewniane ławki, a także umieszczone we wnękach prowizoryczne ubikacje. Oprócz korytarzy zazwyczaj nie było żadnych innych pomieszczeń. Każdy schron posiadał własny system wentylacyjny. Ściany malowano na biało, często umieszczając na nich pas namalowany farbą fluorescencyjną – na wypadek awarii oświetlenia elektrycznego. Obiekty posiadały instalację elektryczną.

Schrony LSD były budowane z różnych dostępnych materiałów – najczęściej z cegły i prefabrykatów, rzadziej były w całości lane z betonu. Ich konstrukcja była różna, jak i stopień wytrzymałości. Można stwierdzić, że powstawały dość spontanicznie, choć miejsca ich budowy dokładnie zaplanowano. Wydaje się jednak, że niemieckie władze miały duży pro-

blem z załatwieniem potrzebnych ilości cementu. Dlatego na Górnym Śląsku spotykamy różne nietypowe rozwiązania, które najprawdopodobniej są efektem braków w dostawach cementu.

Oznaczenia Luft-Schutz-Raum

Na ścianach budynków zaznaczano grubymi, białymi liniami strzałki kierunkowe z napisem LSR (niem. Luft-Schutz-Raum), wskazując w ten sposób ludności cywilnej wzmocnione miejsca (tzw. szczeliny przeciwlotnicze), gdzie można było się ukryć podczas nalotu. Dotyczyło to zarówno obiektów znajdujących się w miejscach takich, jak parki czy place, jak również prowizorycznych schronów urządzonych w niektórych piwnicach.

Ludzie zazwyczaj chronili się w piwnicach własnych budynków, a w wielu miastach tworzone całą sieć podziemnych przejść, wykrywając prowizoryczne przejścia pomiędzy sąsiednimi piwnicami. Stropy piwnic były nawet w stanie wytrzymać ciężar walących się budynków, ale wbrew pozorom wcale nie były do końca bezpiecznym schronieniem. Gdy alianckie samoloty wywołały burzę ogniową, piwnice, nagrzewając się, zamieniały się w rodzaj pieców, w których ginęli wszyscy przebywający tam ludzie. Sytuację pogarszał fakt, jeśli w piwnicy znajdowały się jakieś materiały łatwopalne czy chociażby składowany węgiel. Nawet labirynt połączonych podziemnych piwnic nie zapewniał ratunku, gdyż właściciele podsycał pożar, zachowując się jak podziemny ciąg powietrza. Zarówno do piwnic, jak i do specjalnych schronów przeciwlotniczych nie wolno było wchodzić robotnikom przymusowym i jeńcom, choć zakaz ten nie zawsze był przestrzegany.

Na Górnym Śląsku, jak i w innych rejonach III Rzeszy, istniał system schronów wykonanych w piwnicach budynków i kamienic mieszkalnych. Praktycznie można się spodziewać, że każdy większy budynek posiadał taki schron. Jednakże w dniu dzisiejszym, w związku z licznymi przeróbkami piwnic i korytarzy, nie da się określić przebiegu tego systemu, choć bez wątplenia obejmował on ściśle centrum miast. Pamiętam jednakże ze swojego rodzinnego domu w Bytomiu, że w jednym z pomieszczeń piwnicznych (używany jako pralnia) był wyraźny ślad po przejściu do piwnicy sąsiedniego budynku, oczywiście po wojnie zamurowany.

Szansa na wykorzystanie

Ciesz mi się każdy rodzaj wykorzystania takich obiektów, który stanowi sposób na ich uratowanie. Moja redakcyjna Koleżanka Julia Montewska remontuje tego typu schron w Oleśnicy. Znajomy z Giżycka zamierza w schronie typu LSD umieścić galerię sztuki. Każdy pomysł jest cenny. Jednakże, choć to zabrzmia nieskromnie, chyba jako jeden z pierwszych w tym kraju zacząłem udowadniać, że schron typu LSD, pozornie nieciekawym i nijakim, który ma w każdym górnos Śląskim mieście wiele podobnych sobie obiektów, może być atrakcją turystyczną i miejscem, w którym w ciekawy sposób można sobie przyswajać wiedzę historyczną –

niezależnie od wieku odbiorców. Co więcej, zauważyłem, że dla wielu ludzi taki obiekt nie musi być nawet „odnowiony”. Wystarczy go wyczyścić, odpowiednio zabezpieczyć, a dla zwiedzających same zejście pod ziemią, przejście się podziemnymi korytarzami oświetlonymi jedynie latarką i wysłuchanie paru słów na temat jego historii stanowi niezapomnianą atrakcję turystyczną.

Jak już mówiłem, zaczęło się od bytomskiego schronu LSD z czasów mojego dzieciństwa. Ciągle mam nadzieję, że ten obiekt również uda mi się kiedyś odnowić i przywrócić do ludzkiej świadomości. Później, już w szeregach stowarzyszenia Pro Fortalicium, zacząłem remontować dwa schrony typu LSD ukryte pod Placem Akademickim w Bytomiu. Zacząłem kilka lat temu, a obecnie obydwa są udostępnione do zwiedzania. Jeden to schron „Träger” opowiadający mieszkańcom miasta Bytom losy rodziny Trägerów zamieszanych w historię niemieckich „Wunderwaffe”, w wielką tajemnicę II wojny światowej. Drugi z tych obiektów to schron „Sosabowski”, który nie tylko opowiada historię wielkiego polskiego generała i jego I Samodzielnej Brygady Spadochronowej, ale również przypomina bytomskie postaci związane z historią tej wspaniałej polskiej jednostki spadochronowej. Część tego schronu została „przerobiona” na wnętrze samolotu transportowego „Dakota”, gdzie, siadając na ławeczce, można przez chwilę poczuć się jak prawdziwy spadochroniarz. Później doszedł jeszcze schron w Bytomiu-Miechowicach, przy obecnej siedzibie naszej centrali (ProFort Centrum), w którym opowiadamy historię tragicznych wydarzeń, jakie dotknęły mieszkańców Miechowic w styczniu 1945 r.

Trzy obiekty w Bytomiu zostały już odnowione i cieszą się dużym zainteresowaniem zwiedzających. Miasto Piekary Śląskie przy naszej pomocy przeprowadziło szeroką akcję inwentaryzacji schronów typu LSD znajdujących się na ich terenie, sprawdzenia ich stanu technicznego i oznaczenia specjalnymi



Oznaczenie wejścia do schronu LSR (Brzeziny Śląskie, Piekary Śląskie)

tablicami informacyjnymi. Działania godne szacunku. Obiekty nie są już bezimienne. Co prawda Pro Fortalicium zajmuje się głównie obiektami bojowymi, ale schrony typu LSD stanowią ciekawe urozmaicenie naszej oferty. Nieco inny obiekt, ale o podobnym przeznaczeniu (schron typu „Salzgitter”) zaczęliśmy remontować w mieście Oświęcim. Zamierzamy w nim prezentować historię alianckich nalotów, jakie Oświęcim, a szczególnie zakłady chemiczne w Monowicach przeżyły w drugiej połowie 1944 r. Taki obiekt już funkcjonuje w Kędzierzynie, prowadzony i doskonale wyposażony przez nasze Koleżanki i Kolegów ze stowarzyszenia „Blechhammer 1944”. Inny obiekt typu LSD już dawno temu został udostępniony do zwiedzania przez krakowskie stowarzyszenie „Rawelin”. Czyli potencjał jest.

W samym Bytomiu jest ich sporo. Nawet nie wiem dokładnie ile. Piekary Śląskie, o wiele mniejsze od Bytomia, mają już 10 rozpoznanych obiektów. Schrony typu LSD widziałem w Siemianowicach Śląskich, Świętochłowicach, Chorzowie, Katowicach, Zabrze, Rudzie Śląskiej, Gliwicach i wielu innych górnos Śląskich miastach. Staramy się, aby zostały one wpisane do gminnych ewidencji zabytków, by nie doszło do ich bezmyślnego zniszczenia. Są świadkami historii – co do tego nie ma żadnych wątpliwości. No i czekają na nasze pomysły i chęci...

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

O burmistrzu mizdrzącym się do kuchty i kur

Ekstraordynaryjnie i ewaluacyjnie o limerykach

JERZY PASZEK



Tak, jak przeminęła dawno już romantyczna plaga, bądź nawet epidemia sonetomanii, tak powoli zanika i zmierzcha zainteresowanie limerykami, które swój „złoty wiek” miało i przeżywało pod koniec XX stulecia, gdy w rymelikowym (nazwa wymyślona przez Juliana Tuwima i Janusza Minkiewicza, zob. *Pegaz dęba, czyli Panopticum poetyckie*, Warszawa 1950, s. 26) ringu stawali do walki noblistka Wisława Szymborska (i jej utalentowany sekretarz, Michał Rusinek), tłumacz *Uliksesa* Maciej Słomczyński oraz teoretyk limerykologii i translator, a zarazem poeta satyryczny i metafizyczny, czyli Stanisław Barańczak. Ten ostatni w swoistym manifestie poezji, przekraczając horyzonty oczekiwań czytelników, ale i możliwości konkurencji, w tomie *Pegaz zdębiał. Poezja nonsensu a życie codzienne: wprowadzenie w prywatną teorię gatunków* (Londyn 1995), w rozdziale *Liberyki* (s. 136: „LIBERYK – właściwie, zupełnie to samo co limeryk. Termin ten może uchodzić za słowo »limeryk« wypowiedziane przez kogoś zakatarzonego”) wymienia lekką ręką całe garście podgatunków tego kontynentu, głównie zamiesz(k)anego przez Anglików i Ameryk(r)aićców: ameryk, autotemateryk, bellymeryk, bezrymeryk, blineryk, breweryk, bimeryk, chimeryk, climeryk, cyrulimeryk (by ograniczyć się do ABC i pominąć kopę – co najmniej 66 – specjalów i deserów genologicznych).

Klasycznym okazem, metrem sewrskim, może tutaj być wykoncypowany przez Tuwima i Minkiewicza limeryk o burmistrzu zalecającym się do kuchty i kur, który brzmi:

Pragnąc kurczęcia, pewien burmistrz
Przypuścił do kucharki szturm i strz –
elił jej w brzuch. Ta
Odrzekła kuchta:
„Gdy kurcząt chcesz, to się do kur mizdrz”.

Teraźniejszość zawsze nas zaskakuje: okazjonalnie i dziś napotyka się – się (sic!) potykając – na okazji (czytelnik powinien tu zauważyć syntaktyczny chiasm!) tej wyrafinowanej sztuki wierszopisarskiej. Niechaj przykładem będzie wielkogabarytowe (30 x 20 cm!!!) tomiszczce Jacka Urbańskiego pt. *Liryki dalekowzroczne* (Wydawnictwo Naukowe Askon, Warszawa 2018). Wydaje się, iż ta księga grafika i malarza (rocznik: 1950) – do każdego limeryku dopasowana bywa ilustracja – wiele zyskuje dzięki współdziałaniu poezji i rysunków (też wycinanek i różnojęzycznych czcionek). Ale walory graficzne, choć niekiedy zaskakujące leksykalnie („podpieracz piersi” na stroniecju JU 65; tak cytując omawiany tom), nie mogą

przesłonić moich wątpliwości co do jakości poetyckiej większości wykreowanych przez Urbańskiego wierszyków. Dla wyjaśnienia sytuacji i pozycji osoby oceniającej: limeryk powinien mieć 5 linijek, zrymowanych AAbbA (małe „b” oznacza wers krótszy od okalających go 3 wersów, połączonych jednym rymem A); tematem może być wszystko, byle autor wykazał się humorem oraz nawiązywał do bogatej tradycji limeryczenia; nazwa rymeliki została synonimem limeryków dlatego, że główną umiejętnością twórcy tych wierszydeł jest oryginalne i śmiałe rymowanie, czyli tzw. rymika; oczywiście należy pamiętać o strukturze całości liryku, czyli syntaksie, obrazowaniu, ortografii. Zasady te spełnia limeryk zilustrowany wspomnianym „podpieraczem piersi” (JU, 65):

Kapryśna panna z Tucholi
prawie nigdy nie swawoli,
ale gdy łomocą marsz
wyłazi z niej pieprzny farsz,
powód jej cnót karamboli.

Jak widać, linijki mają po 8 lub 7 sylab, jedno zdanie złożone obejmuje cały utwór; temat jest erotyczny, wyzyskujący motywy etyczne („nie swawoli”, „jej cnót”), kulinarne („pieprzny farsz”) i muzyczne („łomocą marsz”). Rymy są rzeczownikami z jednym wyjątkiem (czasownik swawolić, nb., gdyby wprowadzić frazę „nie jest znana ze swawoli”, to mielibyśmy 5 rzeczowników). Myślę, iż zaskakująca pointa – rymowanie „nie swawoli” – „karamboli” – przygotowana nieco przez dwuznaczny „pieprzny farsz”, jest udana, czyli spełnia wymogi suspensu i satyrycznego spojrzenia na nasz światek.

Gorzej jest, gdy Urbański próbuje w sztuce rymowania doganiać mistrzów gatunku, preferujących kalambury i w pozycji A (wersy 1., 2. i 5.), przywołujących podobne lub nawet identyczne fonetycznie wyrazy. Tak jest w wierszu o tatarniku ze Szczytna (JU, 90):

Zdolny tatarnik ze Szczytna
Wypatrzył o świcie szczyt na
Którym baba goła
Rozebrana do rosoła,
Wszak zupa – idea szczytna.

Tu niby mamy ciekawsze i trudniejsze zastosowanie reguł rymiki („Szczytna”, „szczyt na”, „szczytna”), ale to jest jedyny plus w tym limeryku! Analizę zacznę od tego, że idiom

„rozebrana do rosoła” (mówimy tak o czymś lub kimś, kto jest w negliżu) albo powiela frazę „baba goła”, albo nawet ją (i frazę, i babę!) nieco łagodzi czy okrywa woalem mgły: jest to mniejszy lub większy błąd pleonastyczny, czyli mówienie o maśle maślanym (co „do rosoła” zamiast poprawnego idiomu „do rosołu” – może to być traktowane jako częsta w limerkach *licentia poetica*; por. rym łamany „szturm i strz” w liryku o burmistrzu). Niedociągnięciem autorskim jest tu anakolut (brakuje czasownika przed „rozebrana do rosoła”, np. „leży sobie rozebrana”) oraz nierytmiczność i nierówność sylab w wersach: jest 8, 8, 6, 8, 8, a powinno być: 8, 8, 6, 6, 8; jak widać gra słów (sugestia odczytywania wyrazu „zupa” poprzez podstawienie podeń słowa „dupa”) nie przesłania błędów kompozycyjnych! Szczęśliwiej więc byłoby coś w rodzaju: „na / którym baba goła / jakby do rosoła / tkwi... Zupa – idea szczytna”. Nie widzę też podpowiedzi o ewentualnym szczytowaniu, bo wtedy zamiast zupy powinien byłby pojawić się jakowyś bigos, przekładaniec, a najlepiej dwuznaczne „danie”!

Oczywistym rekordem rymowania w limerkach jest zaproponowanie w pozycji A trzech wyrazów 4-sylabowych całkowicie lub prawie identycznych, choć mających inny sens, dzięki kretom-kalamburom. Barańczak (SB, 170) daje wzór:

Trudno się nie smuć **pelikanem**:
Jadło nie jest przezeń **przełykanem**,
Bo się w torbie pod dziobem zaśmiardło;
Nic ptakowi nie chce przejść przez gardło –
Stanie wnet przed (łza się **perli**) **Panem**.

Limeryk ten jest tłumaczeniem z tekstu anonimowego autora angielskiego. Aby zaś snuć dywagacje o przewagach potów-techników nad poetami-wieszczami (nazwałbym ich o-wenistami, od weny i Johna Owena, ale kto pamięta o tym barokowym epigramatyście?) lub na odwrót – posłużę się własnymi, sporządzonymi z okazji pisania tego oto eseju, próbkami. Po polsku oczywiście można zrymować trzy 4-sylabowce, wyróżniające się identycznym składem materiału fonetycznego. Limeryk zatytułowany *Z Indyj Wschodnich i Francji* ma następującą w wysokim stopniu sztuki rymotwórczej skomplikowaną tematycznie i technicznie strukturę:

Wzorując się **na nababie**,
Poślijże **banana babie!**
Słynny Żabojad
Śący w żabot jad:
Ma wdzięki ma **Nana babie!**

Oczywiste jest, iż w poincie słowo „babie” jest przymiotnikiem („ma” jest epitetem lub czasownikiem), a słynny Żabojad nosi imię Emil. Czy taka ryzykowna technicznie struktura, po pewnych poprawkach, nie będzie jednak śmieszniejsza? Dowcipniejsza? Oto wierszyk *Kwartet ze Szwecji*:

Wzrok swój skupże **na nababie**:
Serwuje **banana babie**.
Choć bóstwo z Francji,
Wzór elegancji:
Ot, buja się **Nana w ABBIE!**

Myślę, że limeryk indyjski – pomimo swych strukturalnych zalet – jest słabszy nieco od liryku szwedzkiego. Decyduje o tym suspens w poincie, czyli zderzenie bohaterki utworu z XIX wieku z zespołem słynnym w drugiej połowie XX stulecia. Naciągana jest natomiast w obu limerkach globalna lokalizacja (glokalizacja!): co mają Indie Wschodnie wspólnego z Francją? Gdyby Nana była Angielką do szczęścia byłoby bliżej! Pod względem jednolitości tematycznej lepiej udało mi się w limerkach hiszpańskich (mniej wszak rymeliko-wo i fonetycznie wyrafinowanych):

Don Kichot w swoim romansie
Polegał na Sanczo Pansie:
„Pan mój szaleje!
Mnie pot zaleje!
Z mej harówki soczek Pan ssie!”

Sięgając po nowe tłumaczenie arcydzieła Cervantesa (przekład Wojciecha Charchalisa), ułożyłem zabawę ortograficzną, czyli rzecz oczywistą dla czytelników *Słownika języka polskiego* Lindego, gdzie „Puhacz huczy” (hasło: Puhacz, Puchacz):

Don Kichot okiem zahacza
Służącego mu Brzuchacza.
W rymie piszczy „ha”
Albo huczy „cha”!
Stary „puhacz” wszedł w „puchacza”!

Zastanawiam się nad pointą: a może (Amorze!) lepiej by brzmiała, gdybym tu dał jakowegoś „old puhacza”: Czy old „puhacz” wszedł w „puchacza”? Chyba wolno nieco ujędrnić polszczyznę, używając (sobie) niekiedy z barbaryzmami? Urbański też powołuje się na krótkie i znane powszechnie słówko „old” (JU, 101):

Pewien stary żółw w terrarium
Był raz bardzo copularium.
Zatem żółwica zdumiona,
Gdy już wreszcie zlązł z jej łona
Spytała go: “How old are you?”

Niekiedy Urbański czyni zupełnie nieoczekiwane aluzje! Nie rozumiem na przykład o czym (czy o kim) mowa w limeryku o Antarktydzie (JU, 114):

Antarktydą szedł bez celu
piechur marząc o kisielu
i choć kisielowy żel
jest przedmiotem marzeń wiel
ty bądź ponad przyjacielu.

Jeśli o kimś konkretnym pisze autor, to chyba tylko o piechurze Stefanie Kisielewskim, noszącym dumnie pseudonim Kisiel. Bo któż inny mógłby być piechurem, co „szedł bez celu”? Już nie wspomnę o fatalnym słówku „wiel”, dającym wiele pomysłów na dopełnienie (dojście?), m.in. „wielbłąd”, co wskazywałoby bezdyskusyjnie na autora *Białego małżeństwa*.

Nie śledzę ci ja tak dokładnie i „doku-mentnie” dziejów współczesnej Muzy nieco podkasanej, by coś twierdzić lub nie twierdzić w temacie teraźniejszego limerykowania. Ale już geniusz samego Michała Macieja Rusinka wystarczy mi do konstatacji, iż nie zamknęła się jeszcze grobowa pokrywa nad zjawiskiem rymelików! Ostatni Mohikanin stale zaskakuje blade białe twarze!

Postscriptum

Polszczyzna nadaje się ponad wszelkie wątpliwości do wymyślenia przemysłnych, rozmyślnych i wymyślnych oczywiste limeryków; boć i sama nazwa LIMERYKI czy użyte tu też LIMERYCZENIE znaczy w naszym języku tyle, co archaizowane zapytanie poety: Czy LI ME RYKI (lub: Czy LI ME RYCZENIE) to coś więcej niż pokaz okazów wytwórczości Muzy swawolnej bądź subwersyjnej tematycznie i technicznie? Gdyby stosować się do trudnych reguł abstynencji klasztornej, to byłoby o wiele łatwiej kreować pod kierunkiem trenerów (dobrych wujów) lawiny „lawn-tennisowych” gemów i setów:

Na korcie cny diaKON SERWUJE:
Boć celibat moc KONSERWUJE!
Wuj: by gość nie rozrabiał
Serwuj mu jeno nabiął!
Docelowo: zaKON, SER, WUJE!

Tam, gdzie wszystko się zaczęło...

KSIĄŻKI

JULIA SŁOMSKA

Jak opowiedzieć o cudzym dzieciństwie przez pryzmat własnego? Dwie fabuły czy jedna? Ten dylemat przerodził się w wyzwanie, które odważyła się podjąć Zofia Ratajczak na kartach biografii Kazimierza Wiśniaka. Świadoma ryzyka braku wiarygodności, jakie wiąże się z ułomnością dziecięcej pamięci i jej skłonnością do fantazjowania, ale również przekonana o bystrości młodego oka i umysłu zgadza się na powrót do lat dorastania, które miała okazję i, jak wyznaje, niezwykle szczęście przeżyć w towarzystwie późniejszego artysty. Z tych okoliczności tworzy przywilej – rola uczestnika i obserwatora szczeniących przygód umożliwia wniknięcie we wspomnienia, kryjące załóżki późniejszych procesów twórczych podwórkowego czarodzieja.

Biografie artystów wszechstronnych rządzą się nieubłaganymi prawami. Żądają chronologii, a wobec konieczności – i nierzadko ciężaru – koronkowego odтворzenia ścieżek czyjegoś losu, pozostają niewzruszone. Ratajczak dostrzeża ten problem i, aby uargumentować założenie o determinującej charakter sztuki roli dzieciństwa i środowiska dorastania, skrupulatnie poszukuje analogii między dziełami a doświadczeniami z lat najmłodszych Wiśniaka. „To na podwórku wszystko się zaczęło” – wyznaje autorka. Pełnym chaosu, spontanicznym, żywym. Niedostrzeżalną codzienność rodzi magię przestrzeni. Kreatorem czarodziejskiej aury w nieprzystępnej, przemysłowej tkance ówczesnego miasta Łodzi jest chłopiec, obdarzony umiejętnością zarówno wskrzeszania iskry twórczej u innych, jak i jej zaspokojenia. Echa wspólnego dorastania odbijają się tu szeroko. Liczne talenty i głód ciekawości młodego Wiśniaka to obiekty szczególnego podziwu biografki. Łączy ona jednak impresję przemyśleń z przytomną świadomością kontekstu opisy-

wanych zdarzeń – jarzmo niemieckiego okupanta, kalectwo finansowe, rozbite rodziny. Mimo to w prowadzonej narracji dominuje kojący optymizm. Zamiast goryczy powszechnie doznawanego wówczas cierpienia, autorka dostrzeża jaśniejszą stronę tego porządku, oddając głos dobrodusznym wspomnieniom. Ratajczak skupia się więc na tym, by sumiennie przełożyć zdobyte w tamtych latach doświadczenia Wiśniaka na język jego późniejszej sztuki. Kluczem do zrozumienia jej natury okazała się tutaj dekonstrukcja sugestywnie ujętej przez autorkę „podwórkowej mitologii dziecięcych zachowań społecznych”.

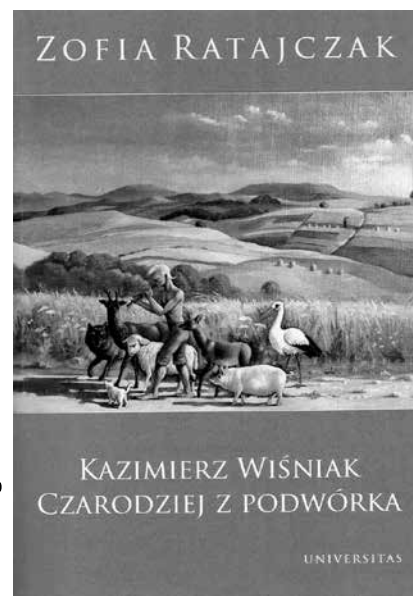
Fundamentalny wpływ na tę zależność ma tutaj rodzina artysty. Poszczególne jej członkowie pozostawili w wyobraźni chłopca niezwykle inspirujący i płodny twórczo ślad, który promieniował na kreatywność jego pracy. Postać matki kojarzona jest z przypadkowo odkrytymi efektami świetlnymi, które wniosły nową jakość do działalności scenograficznej Wiśniaka, dzięki ojcu natomiast wzbogacił on swój warsztat malarski o zasadę kontrastu, poznaną wskutek oszałamiającego zderzenia robotniczej posępności łódzkiej dzielnicy z zachwycającą różnorodnością przyrody. Mimo iż okres dorastania chłopca nie był pozbawiony rozczarowań, to właśnie na ich gruncie zrodziło się pragnienie doświadczenia innego, atrakcyjniejszego życia. Dowodem na to jest jego malownicza twórczość.

Bezstronny opis doświadczeń, wyborów i dylematów artysty powinien raczej zająć miejsce emocji i subiektywnej oceny biografą, usuwając je w cień. Ale czy pozbawienie swojej pracy tego ryzyka zawsze niesie ze sobą korzyści? Książka Zofii Ratajczak jest wyraźnym zaprzeczeniem tej teorii. Autorka nadaje sens swojemu literackiemu przedsięwzięciu, właśnie pozwalając dojść

do głosu własnej wrażliwości. Sięgając po gatunek eseju jako narzędzia budowania narracji pełnej czulego zaangażowania, realizuje wiarygodną biografię, nie tłumiąc w sobie jednocześnie sentymentalnych wzruszeń. Ratajczak świadomie odżegnuje się od uniwersyteckiego tonu, na czym utwór tylko zyskuje – niewymuszona skromność połączona z umiejętnością definiowania źródeł „magii”, rodzi intuicyjną, ale trafną lekturę. Wędrowkę śladami życia tytułowego „łódzianina z urodzenia, krakowianina z wyboru”, autorka rozpoczyna od uzasadnienia kierujących nią motywacji. Przyznaje śmiało, że podejmuje się niełatwego zadania, portretując z jednej strony twórcę o wielu artystycznych twarzach, z drugiej – pomyślowego kolegę z podwórka. Ujmująca jest jej metoda – polega ona na dążeniu do tego, by opowiadać o Wiśniaku „przyjaciółom, którzy dużo o nim wiedzą, ale inaczej niż ja” i „zjednać przyjaciół potencjalnych, bo wierzę, że taki rodzaj przyjaźni także istnieje”.

Drobiazgowość ujęcia chronologii pracy twórczej Kazimierza Wiśniaka zasługuje na uznanie, jednak to właśnie emocjonalny duch tekstu czyni tę lekturę wyjątkową. Zgodnie z zamierzeniem Zofia Ratajczak ulega pragnieniu „zanurzenia się w cudzym pięknie” i, dzięki uczynionym zabiegom, z powodzeniem udaje jej się „dotrzeć do sedna jego talentów”. Efektem tych działań jest biografia uczciwa, z której wyłania się obraz nie bezimiennej figury w labiryncie sztuki, a człowieka empatycznego, konsekwentnie próbującego odczarować nieprzyjazną rzeczywistość. ■

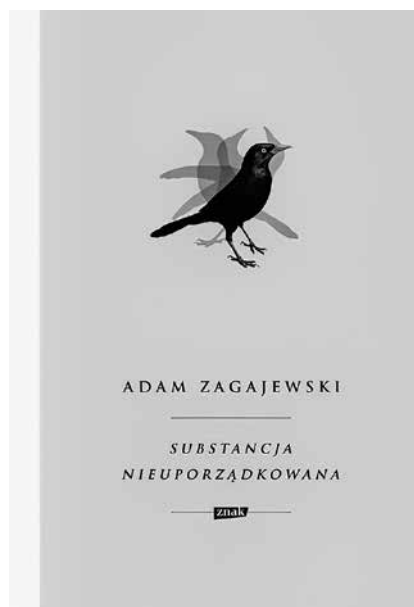
Zofia Ratajczak, *Kazimierz Wiśniak. Czarodziej z podwórka*. Universitas, wyd. I, Kraków 2018; wyd. II Kraków 2019.



Świat nieuporządkowany i obrona metafory

KSIĄŻKI

ELŻBIETA DUTKA



Nowa książka Adama Zagajewskiego w wielu recenzjach już została zakwalifikowana do eseistyki. Jednak zawartość tomu, zgodnie z jego tytułem, okazuje się raczej „substancją nieuporządkowaną”. W zbiorze zamieszczone zostały nie tylko eseje *sensu stricto* (*O życiu w wolności, O zdziwieniu*), ale i laudacja (*Pochwała prawa*), podziękowanie (*Podziękowanie za Nagrodę Książniczki Asturii*), wspomnienia, literackie nekrologii i pożegnania (*Teatr cieni, Odeszli wielcy poeci*), a także bardziej osobiste, autobiograficzne, niż „naukowe” szkice o literaturze, muzyce i malarstwie (*W stronę Drohobycza; O kilku artystach (alfabetycznie), Gustaw Mahler, uwagi dyletanta; Muzyka na wygnaniu*). Wymienione utwory wymykają się klasyfikacjom, można by je charakteryzować w różny sposób (na przykład, zgodnie z odnotowanymi w *Nocie* okolicznościami ich powstania, jako festiwalowe wystąpienie, pogadanka, wykład, szkice napisane dla różnych instytucji i wydawnictw). Istotniejsze od „formalnych”, zewnętrznych porządków wydają się „drogi myśli”, które prowadzą przez różnorodne utwory, tworzące *Substancję nieuporządkowaną*, ujawniając wewnętrzny porządek zaproponowanej przez autora refleksji. W dwunastu fragmentach tworzących nowy zbiór powracają ważne tematy, podejmowane od dawna przez Adama Zagajewskiego w jego poezji i eseistyce. Najogólniej rzecz ujmując, ogniskują się one wokół relacji rzeczywistości i sztuki, z którą wiąże się cały szereg zagadnień, wśród których na plan pierwszy w tym tomie wybija się problem wolności nieredukowanej do wymiaru politycznego. Pytania o wolność jednostki i zbiorową, wolność tworzenia, wolność w sztuce powracają w refleksjach na temat meandrow biografii różnych artystów (Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Andrzeja Panufnika i innych), w spojrzeniu z dystansem na doświadczenia własne i własnego pokolenia, w myślach o naturze ludzkiej (na przykład o radości wewnętrznej jako fundamentach wolności, s. 41) oraz w dygresjach odnoszących się bezpośrednio do współczesności, do „tu i teraz”.

We wstępie Adam Zagajewski pisze o dwóch rozmowach. Pierwsza z nich pochłania naszą uwagę, toczy się wszędzie (w mediach, na ulicy, w domach), a dotyczy głównie tego, co wypełnia codzienność, wzbudza gwałtowne emocje tak, jak polityka. Druga rozmowa jest „dużo spokojniejsza, cichsza, ale niekoniecznie mniej istotna – to rozmowa o „Bogu, o sensie życia, o sztuce, o literaturze, o muzyce, o naturze cywilizacji” i wielu innych tematach (s. 7–8). Pierwszy typ konwersacji do-

minuje i wydaje się ważniejszy, bliższy życia, ale poeta skłania się ku temu, co słabiej słyszane we współczesności, przypomina słowa Saula Bellowa: „W dawnych czasach genialność człowieka manifestowała się głównie w metaforach. Teraz jednak w faktach...” (s. 8) i od siebie dodaje:

„A metafory – myślimy – po co nam metafory, to towar luksusowy, to czekolada umysłu, a nie jego chleb z masłem. Naprzód – myślimy – musimy poznać empiryczną rzeczywistość. Głód faktów jest tak przemożny, że wywiera pewien wpływ na estetykę literatury i innych sztuk – poezja nie może się obyć bez konkretnych, cytaty z rzeczywistości inkrustrują nawet dzieła muzyczne czy wypowiedzi przedstawicieli sztuki plastycznych. Już niedługo będzie się mówiło: »to tylko sztuka«, zamiast, tak jak dawniej, »ach, to sztuka«” (s. 9).

Z zarysowanymi w ten sposób konwersacyjnymi tonami, w zbiorze *Substancja nieuporządkowana* współbrzmii jeszcze jedna rozmowa. W przeciwieństwie do wcześniej wymienionych, ten dialog nie został scharakteryzowany przez eseistę wprost, choć stanowi istotny element tomu. To rozmowa prowadzona przez Adama Zagajewskiego z samym sobą jako współautorem nowofalowego manifestu *Świat nieprzedstawiony* oraz autorem *Obrony żarliwości*, która kilkanaście lat temu wzbudziła gorącą dyskusję.

Powracając do czasów młodości i doświadczeń swojego pokolenia, poeta pisze o racjonalnej „stronie Warszawy”, czyli rzeczywistości, dotkliwie doświadczanej każdego dnia i „stronie Drohobycza”, funkcjonującej w wyobraźni, lekturach, marzeniach. Po latach podziaily pomiędzy nimi nie wydają się już tak ostre, razi ich sztuczność, a wyraźniejsza staje się „dwoistość” świata i literatury. Wraz ze świadomością znikania własnego, ale i każdego innego pokolenia (s. 83), ważniejsze od doraźnych postulatów i programów okazują się sprawy uniwersalne. Niezwykle i paradoksalnie współcześnie brzmi wobec tego osiemnastowieczna definicja poezji jako „snu śnionego w obecności rozumu” (s. 94). „Bardzo złożona” okazuje się zarówno substancja rzeczywistości, jak i literatury, a także samego człowieka. „Wielcy poeci”, o których pisze Zagajewski, „istnieli w obu przestrzeniach, w przestrzeni prywatnej, intymnej lektury, zapewne najważniejszej, ale i w świecie społecznym, publicznym” (s. 101). Dawny współautor *Świata nieprzedstawionego* w nowych esejach diagnozuje rzeczywistość, sygnalizuje istotne, wymagające namysłu zjawiska, jest kimś, kto daje się ponieść publicystycznym tematom, angażuje w spo-

ry, ostrzega przed narcyzmem „czasów selfie”. Literatura służy jednak – jego zdaniem – nie tylko do przedstawiania naszego życia, lecz „Jest w niej także plan moralny. Udział w nigdy nieustającej debacie o etycznej strukturze świata i nieustająca, nigdy nieuwieńczona powodzeniem próba ulepszenia naszej cywilizacji, uczynienia jej bliższą temu, co dobre” (s. 95). W *Substancji nieuporządkowanej* podejmowana jest raz po raz próba obrony metafory, czyli sfery, która nie jest polityką i doraźnością, w której przejawia się nie tyle zbiorowość, ile „pojedyncza dusza ze swoimi troskami, ze swoją radością, ze swoimi rytuałami, ze swoją nadzieją, wiarą, z olśnieniem, którego czasem doznajemy” (s. 200). Obrona metafory w „momencie mało sprzyjającym poezji” przypomina może nieco wcześniejszą „obronę żarliwości”, ale w pewnym wymiarze jest także polemiką z nią (zwłaszcza w eseju *O zdziwieniu*). W *Substancji nieuporządkowanej* mniej jest patosu w przekonywaniu do własnych racji, zamiast tego ukazwane są ambiwalencje i wątpliwości, a w wywodzie pojawia się więcej dystansu, autoironii nawet. Reprezentant „światka literatury”, „garbusów na pół zagrzebanych w papierach, moli książkowych” (s. 47), zajmujących się tym, co niemożliwe, ale i bacznie obserwujących wydarzenia w przestrzeni publicznej, z jednej strony pisze o zatrzymaniu się i zamysleniu, przerwaniu kompulsywnego biegu, ucieczki przed sobą, z drugiej wyznaje: „Nie wiemy, co zrobić z chwilą epifanii, nie potrafimy jej utrwalić” (s. 200). Przyznanie się do swego rodzaju bezradności może być odczytane jako wezwanie i wyzwanie dla twórców, a także dla odbiorców. Choć przywoływane są różne hipotezy i definicje, to jednak nie pada w tym tomie jednoznaczna odpowiedź na postawione pytania o sztukę i rzeczywistość. Pozostają tytułowymi „substancjami nieuporządkowanymi”. ■

Adam Zagajewski: *Substancja nieuporządkowana*. „Znak”, Kraków 2019, 207 s.

Studium ideowego zniewolenia

O Radiofonii III Rzeszy Sebastiana Fikusa

ANDRZEJ JARCZEWSKI

W latach czterdziestych XX wieku trudno było zrozumieć, jak to się stało, że Niemcy – naród uczonych, filozofów i twórców kultury – mógł upaść tak nisko pod rządami zbrodniarza tak nikczemnego. Pierwsze próby odpowiedzi sformułował Victor Klemperer książką *LTI: notatnik filologa* (wydanie niemieckie 1947; polskie 1983), następnie Hannah Arendt książkami *Korzenie totalitaryzmu* (1951; 1989) i *Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła* (1963; 1987). Klemperer opisał zakłamaną język III Rzeszy, z kolei prace Arendt, uznane przez jednych za genialne, przez innych za błędne, domagały się przeprowadzenia analiz wielu różnych aspektów życia w III Rzeszy. I takich prac opublikowano mnóstwo.

Piszący te słowa był w roku 2003 założycielem muzeum w Radiostacji Gliwice i kierownikiem tego obiektu do emerytury (2016). Moim głównym zadaniem było przekształcenie zakładu produkcji pomocniczej Telekomunikacji Polskiej w miejsce pamięci o prowokacji gliwickiej z 31 sierpnia 1939. Drugim moim zadaniem były badania Radiostacji i napisanie monografii, co wykonałem w roku 2009 książką pt. *Provokado*, wydaną przez Muzeum w Gliwicach. Informuję o tym już w drugim akapicie, by było jasne, że tego, co znajdzie się dalej, nie pisał przypadkowy czytelnik ciekawej książki, ale badacz, który – jako inżynier elektronik – zajmuje się radiofonią od półwiecza, jest autorem wielu artykułów i referatów, a także uczestnikiem tysięcy rozmów z gośćmi z całego świata, odwiedzającymi przez te lata Radiostację Gliwice (w miesięczniku „Śląsk” pisałem na te tematy kilkakrotnie). Teraz też rola Radiostacji Gliwice zostanie wspomniana, ale nie dlatego, że akurat ja na tym się znam. Dlatego, że jest to jedyny obiekt górnośląski, związany z przedmiotem książki Fikusa i w tej książce... prawie nieobecny.

Do najbardziej wartościowych, wydanych w Polsce uzupełnień prac H. Arendt zaliczam książkę *Państwo Hitlera* (2005; 2014), której autorem jest Götz Aly. Ta pozycja stała się przedmiotem szerokiej dyskusji, w ramach której wskazano i poprawiono sporo błędów szczegółowych, popełnionych przez Aly'ego. Nie podważono jednak nowej i ważnej tezy ogólnej, że wewnątrzniemieckie ogromne poparcie, jakim do końca wojny cieszył się Hitler, miało mocne podstawy ekonomiczne. Konkretnie – reżim, mimo swego ogromnego zadłużenia, dbał o to, by obywatele niemieccy na wojnie korzystali, a koszty ponosili Żydzi i narody państw podbitych.

Kolejnym dziełem, domykającym niejako odpowiedź na najważniejsze niemieckie pytanie XX wieku, jest omawiana właśnie *Radiofonia III Rzeszy* Sebastiana Fikusa. Główną tezę autor zawarł w podtytule książki: *Studium ideowego zniewolenia*. Praca, oparta na imponującej kwerendzie w archiwach niemieckich, wyjaśnia – krok po kroku – jak ważnym, pozytywnym i groźnym medium stało się radio dla pierwszego pokolenia słuchaczy. Byliśmy (wszyscy, jako ludzie) zupełnie nieprzygotowani na atak radiofoniczny. Kto pierwszy zapanował nad radiem i kinem, zapanował nad narodem i mógł kreślić projekty panowania nad światem.

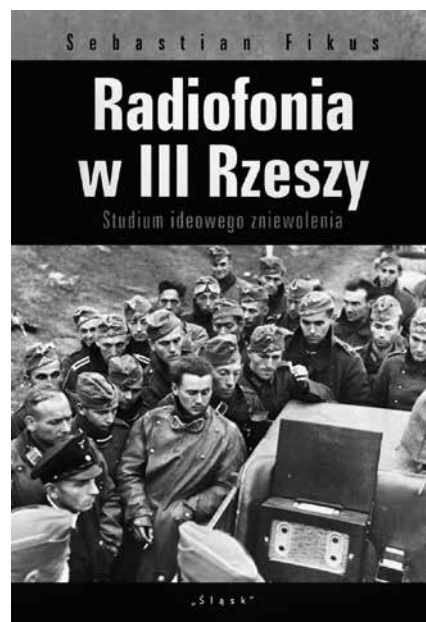
Podatność akustycznego toru przekazu informacji na zakłócenia intencjonalne badałem wielokrotnie w czasie wykładów dla młodzieży w Radiostacji. Pytałem wprost: „przypomnij sobie, kiedy ostatni raz byłeś okłamany i kiedy... sam nakłamałeś. Nie chodzi mi o treść kłamstwa, ale... czy zrobiłeś to, patrząc komuś w oczy... czy... przez telefon?”. W trakcie powoli sączonej pierwszej części pytania panna obawiała się jakiegoś żenady i siedzieli cicho. Gdy jednak dokończyłem pytanie, atmosfera natychmiast się rozluźniła i niemal wszyscy od razu odpowiadała: „jasne, że przez telefon!”. Widocznie

mamy w sobie jakąś gotowość do wiary w słowo słyszane.

Podobne zjawisko, ale w skali całego narodu, bada Sebastian Fikus. Zwraca ponadto uwagę na fakty nieznanne Polakom, pamiętającym czasy PRL. Wykrzyczana w Marcu '68 teza „prasa kłamie” później już nie musiała być powtarzana. Wszyscy wiedzieliśmy, że prasa kłamie, a jeszcze bardziej kłamie telewizja. Z ówczesnych badań socjologicznych wynika jednak, że radio (po Straży Pożarnej) cieszyło się niezmiernie dużą wiarygodnością. A jeśli nawet ktoś odrzucał radio reżimowe, to tylko po to, by stuprocentowym zaufaniem obdarzyć „Wolną Europę”.

W nazistowskich Niemczech zjawisko odrzucenia rodzimej propagandy nie występowało. W latach dwudziestych i trzydziestych poza niemieckimi granicami w ogóle nie było radiostacji nadających po niemiecku dla słuchaczy w Niemczech. Gdy w czasie wojny takie audycje się pojawiły, naród niemiecki był już „zaimpregnowany”. Ideologia nacjonalistyczna sprzyjała lepszemu postawy typu „nasze jest lepsze”. Zagraniczne rozgłoszenie niemieckojęzyczne do końca wojny nie zdobyły zauważalnej słuchalności. Rzecz jasna – słuchanie obcych stacji, również nadających w językach pogranicza, było surowo zakazane, czego ciekawe ślady znajdziemy m.in. w *Cholonku* Janoscha. Zakaz dotyczył nawet członków najwyższych władz państwowych, co – jak pokazuje Fikus – zamykało ich w coraz bardziej absurdalnej bańce informacyjnej. A na złamanie zakazu decydowali się nieliczni, bo jednak – wychowani na Kancie – Niemcy to naród naprawdę praworządny. Mało kto ważył się komukolwiek powierzyć zakazaną informację. Kary mogły być, choć rzadko (wobec Niemców) bywały, srogie.

Fikus wiele miejsca poświęca staraniom Goebbelsa i całego aparatu propagandowego, by przez radio dostarczać to, na co ludzie czekają naprawdę. A masy czekały



na rozrywkę o różnicowanej jakości. Ludzie potrzebowali też odpowiedzi na najważniejsze dla nich pytania o przyszłość. Tu z pomocą biegła nazistowska ideologia, dysponująca prostymi formułami na każdy temat. To są najciekawsze fragmenty książki Fikusa: dostarczanie przez radio idei, którymi naród niemiecki powinien żyć, i niezwykle staranne izolowanie tego narodu od propagandy zewnętrznej. W rezultacie Niemcy do końca żyli w przekonaniu, że toczą wojnę obronną, a o losie Żydów naprawdę nie mieli pojęcia. Te mechanizmy powinny być starannie studiowane również dzisiaj np. przez badaczy wpływu internetu na młodzież. Wiele wniosków brzmiałoby tak samo, choć dotyczyłoby czego innego i kogo innego. Na ten aspekt dzieła Fikusa zwracam uwagę, bo kwestii skutecznej izolacji informacyjnej nie opisano jeszcze po polsku równie przekonująco. Znamy tylko działania nieskuteczne.

Moim zadaniem nie jest jednak streszczanie książki, bo to częściowo zrobił sam Autor przed rokiem („Śląsk” nr 1/2019). Sądzę, że więcej pożytku będzie, gdy poprawię garść błędów, które wynikają ze zbyt jednostronnego podejścia. Nie jest to zarzut, lecz raczej konstatacja oczywistości. W XXI wieku nie może być mowy o wszechstronnym ujęciu tak złożonego tematu w jednym tomie. Potrzebne są opracowania różnych zagadnień konkretnych i Autor znakomicie to (w dziedzinie politologicznej) robi. Niemniej – skoncentrował się zbyt mocno na źródłach archiwalnych i pominął ważne opracowania, do których zaliczam nieskromnie własną, wzmiankowaną wyżej monografię prowokacji gliwickiej, zawierającą wyniki pierwszych badań na miejscu zdarzeń ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień radiotechnicznych.

Te techniczne aspekty są przedmiotem – czekającej na druk – książki Henryka Berezowskiego pt. *Radiostacja Gliwice*. Będzie to fachowe opracowanie tego samego tematu, ale od strony inżynierskiej. Zapowiadając tę pozycję, dodam tylko, że Henryk Berezowski jest jednym

z ostatnich polskich inżynierów, pracujących w radiostacjach lampowych i publikujących książki o tematyce radiofonicznej. To właśnie on odnalazł w warszawskim Muzeum Techniki oryginalny nadajnik (Lorenz), pracujący w Gliwicach w latach 1935–1963, a następnie „złomowany”. Inżynier Berezowski wcale nie przyczynił się do powrotu Lorenza do Radiostacji Gliwice w roku 2013. Po 50 latach!

Publikuję aktualne zdjęcie tego urządzenia, ponieważ w książce Sebastiana Fikusa (str. 161, zdj. 47) nazwano nadajnikiem zupełnie inną część wyposażenia Radiostacji. Nawiasem mówiąc – to zdjęcie i wiele innych w książce Fikusa nie pełni roli ilustracyjnej, bo nie odnosi się w żaden sposób do rozważań prowadzonych na danej stronie. Jest to raczej „materiał zdjęciowy”, czyli zbiór obrazków, pomagających poczuć klimat tamtych czasów.

Inny błąd znalazł się na str. 10 i 333. Autor pisze: „3 września 1939 roku wydano rozporządzenie zakazujące słuchania jakichkolwiek zagranicznych rozgłośni radiowych pod rygorem kary śmierci”. Tymczasem odnośny Verordnung mówi: „§1. Słuchanie zagranicznych stacji radiowych zagrożone jest karą pozbawienia wolności. Odbiorniki radiowe będą konfiskowane. §2. Celowe rozpowszechnianie wiadomości od zagranicznych nadawców zagrażających bezpieczeństwu narodu niemieckiego karane będzie więzieniem, a w szczególnych przypadkach karą śmierci”. To jest istotne z punktu widzenia myśli przewodniej książki. Owszem, straszono obywateli niemieckich, ale ich nie zabijano za samo słuchanie.

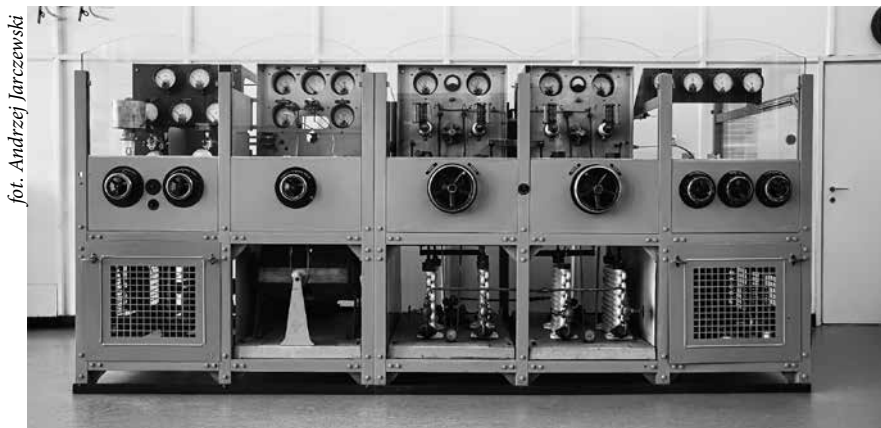
Znacznie poważniejszy błąd dotyczy prowokacji gliwickiej. Na str. 83 Autor pisze tak: „Z dzisiejszej perspektywy możemy z bardzo dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że była to akcja wymyślona przez lokalne władze policyjne. Nie była ona konsultowana ani z Intendantem Rzeszy Heinrichem Glattem, ani z RMVP. Dlatego było to w rzeczywistości wydarzenie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia”.

Mamy oto przykład rażącego błędu jednostronności. Skoro Autor nie znalazł niczego na dany temat w danym archiwum, to – według niego – było to pozabawione znaczenia. Gdyby jednak dotarł do gazet amerykańskich z 1 września 1939, a choćby do niemieckiej „Völkischer Beobachter”, mógłby się zdziwić. A gdyby przeczytał cytowaną przez siebie książkę A. Spiessa i H. Lichtensteina lub chociażby moje *Provokado*, dowiedziałby się, że akcja w Gliwicach była tak tajna i propagandowo ważna, że nawet utajniono ją przed lokalną policją (by sprawdzić skuteczność służb) i przed władzami radiofonicznymi (by ktoś nie „pomógł”). Na polecenie samego Hitlera organizował to Reinhard Heydrich, a w krytycznych aspektach pomagał Heinrich Himmler. Lokalne władze policyjne nie miały z tym napa-dem nic wspólnego i tego rodzaju teza nie występuje w ogóle w piśmiennictwie historycznym, opartym na wiedzy. Ten punkt został akurat poprawnie wyjaśniony przez amerykańską prokuraturę już w Norymberdze (1945).

Lekceważenie prowokacji gliwickiej jest zadziwiającym nieporozumieniem. Autora usprawiedliwia fakt, że wszystkie polskie opracowania przed rokiem 2009 były – często bezmyślnym – powielaniem sensacyjnych tekstów niemieckich i amerykańskich, natomiast 1000 egzemplarzy mojej książki rozeszło się po gościach Radiostacji Gliwice, nie wywołując reakcji zawodowych historyków. Z drugim wydaniem czekam na ukazanie się wzmiankowanego dzieła Henryka Berezowskiego, bo dopiero tam zostaną wyjaśnione wszystkie kwestie techniczne, mające istotny wpływ na przebieg i skutki prowokacji gliwickiej.

Czekam też na II wydanie *Radiofonii III Rzeszy* Sebastiana Fikusa po polsku, a zwłaszcza w innych językach. Tak cenne opracowania powinny słać ukę polską za granicą i prostować cudze błędy. Ale najpierw muszą być wolne od błędów własnych. Całą listę takich uchybień, wynikających głównie z niezajomości radiotechniki, przekażę Autorowi przez Wydawnictwo. Podkreślam jednak, że wszystkie te błędy, z wyjątkiem poważnej wpadki w sprawie gliwickiej, mają charakter drugorzędny w książce, której podtytuł brzmi: *Studium ideologicznego zniewolenia*. To zagadnienie zostało opracowane znakomicie pod względem warsztatowym i dostarcza nam nowej wiedzy, potrzebnej do zrozumienia postawy Niemców w czasie wojny. ■

Sebastian Fikus, *Radiofonia w III Rzeszy. Studium ideologicznego zniewolenia*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2018 (druk 2019), 363 s.



Nadajnik Lorenz. Gliwice, widok współczesny

fol. Andrzej Jarczewski

Krucze, zepsute i niepotrzebne piękno

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Po sukcesie książki *Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny*, w której osiem autorek zrekonstruowało życiorysy kobiet towarzyszących żydowskim sierotom w czasie eksterminacji, a także powojenny los najślawniejszej wdowy getta warszawskiego – Felicji Czerniaków, tytuł kolejnej wiele obiecuje. *Każdemu jego śmietnik* to niemal kryptocytat z pism Miłona Białoszewskiego, jednak fraza ta pochodzi z tekstu *Na starych śmieciach* Włodzimierza Karola Pessela. Wokół niej ogniskuje się trzynaście opowieści o tym, co można określić jako sztukę kolekcjonowania. Bez względu na to, co przykuwa uwagę zbierającego, już samo zaabsorbowanie czynnością pozbawioną ekonomicznej motywacji nadaje jej szczególny charakter. Dość wspomnieć o asamblażach Erny Rosensteina, Jonasza Sterna i Władysława Hasióra, a także pracach Leszka Sobockiego, którzy zrewolucjonizowali sztukę nowoczesną, wykorzystując przedmioty zdezelowane i uszkodzone. Sztuka kolejny raz wyprzedziła więc poczynania ekoaktywistów, dowartościowując śmieci i destrukty oraz przywracając na piedestał to, co zostało wykorzystane przez człowieka, lecz w wyniku działania różnych czynników przestało funkcjonować w dołtuchczasowym otoczeniu.

Czy książka o śmieciach, której autorami są specjaliści z różnych dziedzin, ujawnia coś nowego na temat związku człowieka z przedmiotami? Odpowiedź powinna brzmieć: i tak, i nie. Niektóre szkice odbiegają od tytułowej formuły na tyle, że można uznać je za dygresję na temat wiodącego problemu resztkowości w społeczeństwach XXI wieku (przypadek tekstu Urszuli Zajązkowskiej o audiokrajobrazach). Jednak większość odsłania nieświadomiane dotąd analogie, pozwala spojrzeć na to, co wydaje się niepotrzebne w sposób nowatorski. W wielu przypadkach opowieść o śmieciach prowadzona jest z perspektywy przybyśza do innego kraju, dzięki czemu problem śmieci przestaje być domeną Polaków, a zaczyna funkcjonować jako wyzwanie dla innych krajów, hołdujących wysokim standardom estetycznym (przypadek kopenhaskiej spalarni śmieci autorstwa Bjarkęa Ingelsa) lub pozostawiających społeczeństwu duży zakres swobód w obrębie tzw. ekoaktywizmu (przypadek Nepalu). Za każdym razem jednak śmieci stają się generatorem opowieści o ludzkim losie (przypadek tekstu Ilony Wiśniewskiej o Tieriberce), a także modzie i zmieniających się trendach (przypadek *Dziedzictwa* Marii Poprzęckiej).

To właśnie fakt, że każdy z autorów reprezentuje inny zawód powoduje, że teksty zgromadzone w tomie *Każdemu jego śmietnik* charakteryzuje poszerzona perspektywa oglądu zjawiska i interdyscyplinarne podejście do śmieci, które tracą odium czegoś brudnego i zbędnego, a stanowią wspólne dziedzictwo. Zestawienie resztek z dziedzictwem to najciekawszy pomysł, który wykreśliła Poprzęcka, pisząc o tym, co można wydedukować o poczuciu estetyki społeczeństwa, obserwując lokalne śmietniki. Według historyczki sztuki wszystko, co podlega selekcji i segregacji ze względu na zmieniające się upodobania Polaków, świadczy o historii krajowego dizajnu. Poza tym śmietnik to miejsce, w którym może dochodzić do zaskakujących spotkań, które przywodzą na myśl surrealistyczne koncepty: „Wystawy są zmienne, efemeryczne, każdy dzień przynosi nową ekspozycję. Błękitny biustonosz XXL umieszczony w różowym trykocie, samotne botki wplątane w rury kanalizacyjne, seksowny szlafroczek wepchnięty w dziurawy fotel, kuchenna suszarka sterująca z sedesu, zrolowany materac zwieńczony przepalonym czajnikiem... Jakże blade wypada wobec tego osławione surrealistyczne spotkanie parasola z maszyną do szycia na stole prosektoryjnym!” (s. 141).

Eseje Poprzęckiej i Krzysztofa Środy bazują na spostrzeżeniach czynionych w różnych realiach, których punktem wspólnym jest wrażliwość na estetyczny potencjał śmieci. Obydwoje patrzą na nie w sposób nowatorski, zapominając o ich resztkowym charakterze. Są one surowcem, który może zostać wykorzystany do nowej instalacji i nowych autorskich projektów (warto dodać, że na okładce wykorzystano jedno ze zdjęć Środy z jednej z wypraw szlakiem ludzkich odpadów), a także znaczą ludzką aktywność specyficznym rodzajem śladu, który mimo swej toksyczności i szkodliwości, absorbuje wyobraźnię i stanowi wyzwanie. Cechą charakterystyczną śmieci jest ich szybkie namnażanie, dlatego warto przyjąć zasadę Pessela i uczynić z niej motto do omawianej publikacji: „Stanów uwolnienia od śmieci i życia ze śmieciami nie warto kontrastować, zawsze się na siebie nakładają” (s. 112). Śmieci są więc podstawową materią ludzkiej egzystencji, a ich brak oznacza, że hegemonia człowieka jeszcze nie nadeszła. W tym splocie najważniejsze jest traktowanie ich jako wskaźnika ludzkiego zaangażowania (lub jego braku) w sprawy ekologii i zasobności portfela, a także, jak czyni Poprzęcka, wewnątrzarskiego gustu.

Każdemu jego śmietnik
Szkice o śmieciach i śmietniskach



Chomątowska, Dunin-Wąsowicz,
Goerke, Mikołajko, Pessel,
Poprzęcka, Rejmer, Rottenberg,
Springer, Szczerek, Środa,
Wiśniewska, Zajązkowska

Okazuje się zatem, że między śmieciami a dziedzictwem można postawić znak równości. Śmieci, jak dowodzi w jednym z tekstów Zbigniew Mikołajko, partycypują również w historii narodu, jednak możliwość ich wyeksponowania bez popadania w patos lub restytuowania bogoojczyźnianej tradycji podlega obostrzeniom i obywatelom jest wieloma przykazami (być może jedyną strategią, która pozostaje patriotom, jest zwrócenie się ku dwóm zasadom: muzealnego uśmiercania i mocarstwowego gigantyzmu).

Autorzy poszczególnych esejów podkreślają wszędobylskość śmieci i jawią się jako interpretatorzy znaczenia tego, co pozornie usunięte na margines. W publikacji *Każdemu jego śmietnik* najważniejszy jest moment zawieszenia oceny każdego przedmiotu jako zdatnego lub niezdatnego do użytku i odkrycie w nim potencjału angażującego (nie tylko w sprawy najważniejsze) i mnemonicznego. Często rzeczy są jedynymi (niemymi) świadkami ludzkiej egzystencji. Ten trop podejmuje m.in. Wiśniewska. Nie zawsze historia, która kryje się za górą odpadów, nosi znamiona idylli skrojonej na miarę możliwości opowiadającego (przypadek opowieści Andy Rottenberga, która przyjęła formę listu Alicji), częściej można dostrzec zależność między materialną trwałością rzeczy i pamięcią o konkretnym człowieku. Śmieci szybko zmieniają właścicieli, jednak najważniejsza jest, jak przekonują autorzy, ich sprawczość i wpływ na człowieka i jego historię. Bez nich trudno wyobrazić sobie przeszłość i zagospodarować przyszłość. Pozostawanie w klinchu to, wbrew pozorom, najlepsze, co może przydarzyć się resztkom w czasach kapitalistycznego nadmiaru. ■

Każdemu jego śmietnik. Szkice o śmieciach i śmietniskach. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, 163 s.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2020 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy		nazwa odbiorcy cd.	
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. nr rachunku odbiorcy		I.L. nr rachunku odbiorcy	
0820300045111000004079490		0820300045111000004079490	
wzrost		wzrost	
W P PLN		W P PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy		nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.		nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem		tytułem	
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		tytułem cd.	
„ŚLĄSK”		„ŚLĄSK”	
Opłata:		Opłata:	
pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy		pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy		nazwa odbiorcy cd.	
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. nr rachunku odbiorcy		I.L. nr rachunku odbiorcy	
0820300045111000004079490		0820300045111000004079490	
wzrost		wzrost	
W P PLN		W P PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy		nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.		nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem		tytułem	
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		tytułem cd.	
„ŚLĄSK”		„ŚLĄSK”	
Opłata:		Opłata:	
pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy		pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego

KATOWICE. Sejmik Województwa Śląskiego w dniu 16 grudnia 2019 roku podjął Uchwałę nr VI/16/11/2019 w sprawie zmiany nazwy wojewódzkiej samorządowej instytucji kultury z „Regionalny Instytut Kultury w Katowicach” na „Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego” i przyjęcia statutu Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego.

Uchwały weszły w życie z dniem 15 stycznia 2020 roku.

W związku z powyższymi dokumentami od 15 stycznia 2020 roku swoją działalność rozpoczyna Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego.

Dyrekcja Instytutu poinformowała, że w związku z powyższymi zmianami ulegnie modyfikacji adres witryny internetowej. Od 20 stycznia 2020 będzie aktywny: instytutkorfantego.pl, zmienia się również logo instytucji. Instytut kontynuuje działania dotychczas podjęte, których realizacja nie została zakończona.

„Transatlantyk” w Katowicach

KATOWICE. Międzynarodowy Festiwal Muzyki i Filmu „Transatlantyk Festival” odbędzie się w województwie śląskim. List intencyjny w tej sprawie podpisał marszałek Jakub Chelstowski, wicemarszałek Wojciech Kałuża i twórca festiwalu Jan A.P. Kaczmarek. Celem organizacji wydarzenia w województwie śląskim jest promocja regionu, w którym kultura jako istotny element rozwoju gospodarczego w innowacyjny sposób wykorzystuje potencjał twórczy środowiska artystycznego do poprawy przestrzeni publicznej, w tym instytucji kultury. W organizację wydarzenia włączy się instytucje kultury z regionu, „Ars Cameralis Silesiae Superioris” i Instytucja Filmowa „Silesia-Film”. Transatlantyk Festival to artystyczna platforma, która poprzez muzykę i film tworzy silniejsze związki między społeczeństwem, sztuką i środowiskiem, inspirowane dyskusje na aktualne tematy społeczne. Jest uznanym międzynarodowym festiwalem nowej generacji, który buduje swą tożsamość, łącząc wyrefinowaną, skierowaną do branży filmowej ofertę z szeroko dostępnym programem edukacji i aktywizacji społecznej. Festiwal oparty jest na trzech filarach: filmie, muzyce, edukacji i działaniach branżowych. Twórcą festiwalu jest wybitny kompozytor, laureat Oscara – Jan A.P. Kaczmarek.

Laureaci nagród Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury

KATOWICE. Nagrodę Artystyczną Marszałka Województwa Śląskiego otrzymali: **Grażyna Bułka** i **Jadwiga Grygierczyk** za wybitne osiągnięcia aktorskie oraz **Czesław Węglarz**, za wybitne osiągnięcia twórcze. W kategorii Młodych Twórców wyróżnienia odebrali: **Ewa Kożera** za osiągnięcia w dziedzinie malarstwa, **Alina Moś-Kerger** w dziedzinie reżyserii i dramtopisarstwa i **Karol Mastalerz** w dziedzinie muzyki. Wręczono również nagrody w kategorii Upowszechnianie i Ochrona Dóbr Kultury. Wśród wyróżnionych znaleźli się **Wanda Bukowska** i **Zbigniew Micherdziński** za upowszechnianie kultury ludowej oraz **Jadwiga Herok-Turska** za upowszechnianie współczesnej architektury Górnego Śląska. Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków wyróżniono **Agnieszka Trzos**, a wśród inwestorów **ks. Michała Wilnera**.

Kolejna edycja nagród im. Karola Miarki

KATOWICE. Wyróżnieni zostali: **Józef Szypuła**, **Zbislav Janowski** i **Krystian Gałuszka**. Krystian Gałuszka to poeta, prozaik, animator kultury, od 1993 roku dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej, współzałożyciel Towarzystwa im. Karola Goduli i laureat wielu konkursów literackich. Autor 22 książek, w tym 12 zbiorów poetyckich. Józef Szypuła – artysta, rzeźbiarz, przewodniczący oddziału beskidzkiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Wielokrotnie nagradzany za swoje prace. Zbislav Janowski jest autorem 10 książek, w tym 7 o tematyce popularnonaukowej poświęconych Częstochowie, 3 książek satyrycznych i 10 książek dla dzieci o tematyce religijno-obyczajowej oraz regionalnej. Nagrodą im. Karola Miarki honoruje się osoby upowszechniające kulturę i naukę na terenie województwa śląskiego lub działające na jego rzecz, przyznawane od 1983 roku, pierwotnie przez wojewodów czterech województw (bielskiego, częstochowskiego, katowickiego, opolskiego), następnie przez województwo śląskie i opolskie. W tym roku nagrody przyznane zostały tylko przez Zarząd Województwa Śląskiego. Obecnie przyznane zostały trzy nagrody po 10 tys. zł każda.

XV Międzyszkolny Dzień Kultury Rosyjskiej

KATOWICE. 4 grudnia odbył się w VIII Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach kolejny, już XV, Międzyszkolny Dzień Kultury Rosyjskiej poświęcony tym razem „Rosyjskiej Duszy”. Przedsięwzięcie zrealizowane zostało wspólnymi siłami Śląskiego Oddziału Stowarzyszenia Współpracy Polska – Wschód, Klubu Rusycysty oraz nauczycieli i uczniów szkół średnich.

Wydarzenie to zaszczytli obecnością przedstawiciele Oddziału Śląskiego SWP-W prezes Marek Rasiński i członek Za-

rządu Diana Rasińska. Uniwersytet Śląski reprezentowała dr hab. Justyna Tymieniecka-Suchanek, która wygłosiła niezwykle interesujący wykład na temat zjawiska nazywanego „rosyjską duszą” i mentalności współczesnych Rosjan.

Następnym punktem programu były występy i prezentacje uczniów, którzy przedstawili różne aspekty tego złożonego problemu. Na szczególną uwagę zasługiwały występy wokalne uczennic z X LO z Katowic Zofii Anton, Magdaleny Halaby i Weroniki Ryby. Ich występy nagrodzone były gromkimi brawami. Równie imponująco zaprezentowały się na scenie uczennice z III LO w Rudzie Śląskiej, które wykonywały piosenki współczesnych twórców rosyjskich. Były to Wiktoria Siodłak i Laura Górniok. Olga Masiuk wystąpiła z recytacją Puszkina – fragmentem listu Tatiany do Eugeniusza Oniegina

Ciekawe były również prezentacje uczennic X LO Natalii Unger, Mai Jakubik, Natalii Anielak, Oliwii Weber, Nicol Stanik i Sergiusza Nowakowskiego. Uczniowie ci opowiadali o odbiciu rosyjskiej duszy w muzyce, literaturze i malarstwie. Uczennice VIII LO: Zuzanna Sobczyńska, Marta Pieczul, Magdalena Nowakowska i Karolina Piotrowska przedstawiły prezentacje o źródłach słowiańskiej mitologii i współczesnym balecie. Nie zabrakło również recytacji poezji rosyjskiej Anny Achmatowej w wykonaniu Antoniny Dubiel. Różnorodności występów dopełniły uczennice Liceum Plastycznego z Katowic, które przedstawiły kopie obrazów znanych rosyjskich malarzy.

Bogaty program zakończyło wręczenie nagród, dyplomów i upominków uczniom.

4. Śląski Festiwal Nauki

KATOWICE. Śląski Festiwal Nauki KATOWICE jest największym w Polsce wydarzeniem o charakterze popularyzującym naukę w kategorii tych odbywających się w jednym miejscu i pod dachem. W ramach czwartej edycji organizatorzy festiwalu postanowili ponownie skorzystać ze sprawdzonego modelu. 4. ŚFN KATOWICE rozpoczął się zatem po raz kolejny uroczystą galą otwarcia w Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Na rzecz festiwalu została zagospodarowana praktycznie cała ogromna powierzchnia gmachu MCK.

Liderem 4. Śląskiego Festiwalu Nauki KATOWICE jest Uniwersytet Śląski w Katowicach, Miastem Gospodarzem są Katowice, a Współgospodarzem Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego oraz Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia. Współorganizatorami wydarzenia są Politechnika Śląska, Śląski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. J. Długosza w Częstochowie, Akademia Wychowania Fizycznego im. J. Kukuczki w Katowicach, Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej oraz Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach. Sponsorem Głównym jest Arcelor Mittal Poland. Sponsorem festiwalu są PKO Bank Polski, Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów S.A. Partnerem kulturalnym – Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Głównym partnerem technologicznym – Concept Music Art Sp. z o.o. Strategicznym partnerem medialnym jest Discovery Channel. Partnerami Festiwalu są: Moto Katowice Autoryzowany Dealer Kia, Novotel Katowice Centrum, Ibis budget Katowice Centrum, Koleje Śląskie Sp. z o.o., Zakład Zieleni Miejskiej w Katowicach, Firma Handlowa ROLNIK sp. j., KUKA CEE GmbH Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością i Muzeum Śląskie.

Rok św. Jana Sarkandra i kardynała Stefana Wyszyńskiego

KATOWICE. 2020 będzie Rokiem św. Jana Sarkandra oraz Kardynała Stefana Wyszyńskiego – postanowili radni podczas styczniowej sesji Sejmiku Województwa Śląskiego.

phot. arch.



Św. Jana Sarkander – pochodzący ze Skoczowa kapłan i męczennik. W marcu przypada czterechsetna rocznica jego śmierci. Zmarł wskutek tortur, chcąc uchronić parafię, której był proboszczem przed pacyfikującymi Morawy Lisowczykami. Wraz z parafianami wyszedł na przedmieścia Holeszowa, niosąc monstrancję z Najświętszym Sakramentem. Został niesłusznie posądzony o zdradę i współpracę z najeźdźcami. Poprzez tortury chciano go zmusić do ujawnienia tajemnicy spowiedzi hetmana, barona Lobkovica. Jan Sarkander nie ugiął się pod jarzmem tortur, dochowując tajemnicy sumienia.

Z racji zakończonego, trwającego 19 lat procesu beatyfikacyjnego Prymasa Stefana Wyszyńskiego, duchownego, który przeprowadził rodzimy Kościół przez czasy represji systemu komunistycznego, jego autorytetu moralnego, który osobście w dużej mierze przyczynił się także do zmian społecznych w naszym kraju radni postanowili rok 2020 ustanowić rokiem Prymasa Tysiąclecia.

26. Międzynarodowy Festiwal Kolęd i Pastoralek im. ks. Kazimierza Szwarlika

BĘDZIN stanie się kolędomową stolicą Europy. Przesłuchania finałowe zaplanowano na trzy dni w Państwowej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina. Ogółem na scenie podczas festiwalu wystąpiło 138 solistów. Zaproszone chóry i zespoły wykonały blisko 400 kolęd skomponowanych na wszystkich kontynentach świata. Sami najlepsi, wyłonieni spośród 1675 podmiotów wykonawczych, które wzięły udział w eliminacjach. Odbływały się one w grudniu w blisko 40 ośrodkach w Polsce, na Ukrainie, Białorusi i Litwie. W jury zasiadli profesorowie akademii muzycznych – Ewa Biegas (przewodnicząca), Teresa Krasowska i ks. Paweł Sobierajski. Festiwal odbywa się pod honorowym patronatem m.in. Księdza Biskupa Grzegorza Kaszaka oraz Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chelstowskiego. Festiwal zakończył się Koncertem Galowym, w Sanktuarium Polskiej Golgoty Wschodu na os. Syberka. Koncerty zaplanowano jeszcze w kilku miastach: 9 stycznia kolędnicy dadzą koncert w MDK w Chorzowie Batorem, w MDK w Jaworznie, gościli w Koszęcinie na zaproszenie Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” (Kameralna Sala Koncertowa – Kaplica), w Ośrodku Rehabilitacyjnym św. Michała Archanioła w Rusinowicach i w Teatrze Rozbark w Bytomiu.

Wystawa Adama Myjaka

BIELSKO-BIAŁA. Od 24 października do 22 listopada 2019 roku w Galerii Akademickiej ATH prezentowana była wystawa prac prof. Adama Myjaka, Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, jednego z najbardziej znanych współczesnych rzeźbiarzy polskich. Na ekspozycję, zatytułowaną „Światło i rysunek” składało się 6 rzeźb mistrza wykonanych z ceramiki i terakoty oraz 23 rysunki o wymiarach 70x50 cm wykonanych techniką lawowania, podrysowanych węglem. Ponadto przestrzeń części promocyjnej Galerii zajęły fotografie przedstawiające dokumentację ważniejszych, wielkoformatowych realizacji profesora, eksponowanych wcześniej w innych galeriach lub prywatnie w pracowni.

Rzeźba profesora Myjaka, o charakterystycznej dla niego stylistyce, przedstawiała formy portretowe, ludzkie twarze, zamyślane, poranione wewnętrznym cierpieniem, zastygłe w bezruchu lecz niezwykle ekspresyjne. Ich egzystencjalny charakter podkreślała wysublimowana struktura szkliwionej i barwionej materii ceramicznej.

Rysunki prezentowane na wystawie obrazowały trzy tematy: drzewa, portrety i formy antropomorficzne. Widoczny na nich ładunek ekspresji, gestu, swobody szrafowania, wynikającego z zestawiania kontrastów materii graficznej, dotyka emocji Autora, związanych z jego pytaniami o kondycję

współczesnego humanizmu i kultury, która w swej symbiozie winna być nierozzerwalnie związana z naturą.

Należy nadmienić, iż uroczystego otwarcia wystawy dokonał JM rektor ATH prof. dr hab. Jarosław Janicki. Wernisaż odbył się w ramach Konferencji Rektorów Uczelni Technicznych z kraju i z zagranicy.

Malarstwo w Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. Od 22 listopada w Miejskiej Galerii Sztuki można było oglądać wystawę *Sens* przygotowaną według koncepcji Kuby Jakubowskiego. Została ona podzielona na trzy części – Sztuka, Edukacja i Nauka. Kuratorami ekspozycji, oprócz pomysłodawcy, byli również Adam Rokowski oraz Artur Wawrzekiewicz. Prace można było oglądać do 5 stycznia.



ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie

W Sali Śląskiej pokazano wybrane dyplomy obronione na kierunku malarstwo w ciągu ostatnich 15 lat. Ujawniały one sztuk absolwentów, ale również napięcia na linii mistrz – uczestnicy pracowni. Prezentowały różnorodne techniki, od tradycyjnego malarstwa po kolaże i eksperymenty. W Sali Plenerowej przygotowano retrospektywę Mariana Jarzemskiego, długoletniego pracownika Katedry Malarstwa. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, jeden z twórców częstochowskiego okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków oraz pierwszy jego prezes, współtwórca Galerii ZPAP Bon-art. Na wystawie pokazano pejzaże artysty. Niektóre składają się z rozpoznawalnych elementów, inne pozostają na granicy abstrakcji, ale przyciągają wzrok – zdają się fosforyzować albo zwracają uwagę fakturą. Prace innych wykładowców wystawiono w Sali Gobelinowej. Tak powstała wystawa *Terror malarstwa czy dyktatura rysunku?* Były tu m.in. *Aleja Brzozowa* Jarosława Kweclicha, *Lśnienie* Magdaleny Snarskiej czy ciekawa kompozycja Artura Wawrzekiewicza.

Sensem kierunku malarstwo są artyści i obrazy, a te powstają dzięki spotkaniom i rozmowom o sztuce i życiu.

Piękno szopek krakowskich

CZĘSTOCHOWA. Od 10 grudnia w Muzeum Częstochowskim można oglądać 20 szopek z Muzeum Krakowskiego. Najstarsza pochodzi z 1967, najmłodsze z 2018 roku. To doskonała okazja, by poznać historię tego rzemiosła, a towarzyszące wystawie filmy przedstawiają najbardziej znane rodziny szopkarzy: Malików, Markowskich, Głuchów czy Paczyńskich.

Szopki są ruchome, bogato zdobione, nawet jeśli to jedynie złotko i cekiny, rozświetlone i wielokondygnacyjne. Zwracają uwagę okna – wykończone kolorową bibułą albo witrażami. Bez względu na wielkość (na wystawie pokazano eksponaty mierzące od kilkunastu centymetrów do ponad dwóch metrów) szopki posiadają co najmniej pięć rozpoznawalnych wież krakowskich i rozpoznawalne postacie. Dość powiedzieć, że obok Maryi, Józefa, trzech króli, miesz-

kańców wsi krakowskich i góralskich można zobaczyć: trębaczka, lajkonika, smoka wawelskiego, ale również cinkciarzy, milicjantów, kibiców Wisły Kraków (to szopka upamiętniająca 100-lecie klubu), Wojciecha Jaruzelskiego, Jerzego Urbana, Zbigniewa Wodeckiego czy Annę Szałapak, pieśniarkę Pivnicy pod Baranami oraz pracownicę Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Pierwsze szopki powstawały w połowie XIX wieku m.in. w podkrakowskim Zwierzyńcu czy Krowodrzy. Od 1937 z inicjatywy Jerzego Dobrzyckiego organizowany jest Konkurs Szopek Krakowskich. W 2018 roku szopki zostały wpisane na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO.

Uchwycić chwilę

CZĘSTOCHOWA. W OPK Gaude Mater od 22 listopada wystawiono 43 fotografie wybrane spośród 1567 nadesłanych na Międzynarodowe Biennale Fotografii Ulicznej „Moment”. Aranżacją ekspozycji zajął się Adam Markowski, pomysłodawca, oraz Robert Sękiewicz.

W konkursie wzięło udział 281 autorów z Polski, Niemiec, Ukrainy, Białorusi, Włoch, Szwecji, Holandii, Turcji, Iranu i Stanów Zjednoczonych. Fotografie oceniło jury w składzie: Damian Chrobak, Jacynt Dędek, Konstancja Nowina-Konopka, Bartosz Frączek, Joanna Kinowska oraz Justyna Warwas. Pierwsze miejsce przyznano Szymonowi Roziewiczowi, drugie – Elenie Alexandrze z Niemiec, trzecie – Fatenie Pezeshki Moghadam z Iranu. Poza tym wyróżniono dzieła prac. Pula nagród wyniosła 13 tys. złotych.

Międzynarodowe Biennale Fotografii Ulicznej „Moment” będzie się odbywało na zmianę z „Klimatami Częstochowy”. Tytuł konkursu przypomina zasadę „decydującego momentu” Henri Cartiera-Bressona. To fotografia niepozowana, będąca zapisem życia, która otwiera się na interpretację.

Raków – dzielnica Częstochowy

CZĘSTOCHOWA. Kuratorami wystawy przygotowanej przez Muzeum Częstochowskie, której wernisaż odbył się 27 września, byli Anna Krakowian i Juliusz Sętowski. Można tu zobaczyć fotografie ulic i mieszkańców, dokumenty, mapy, numery „Głosu Hutnika” oraz rozmaite wydawnictwa, w tym tekę ekslibrysów Włodzimierza Ściegiennego, przygotowanych dla Rezerwatu Archeologicznego.

W ten sposób organizatorzy zapoznali zwiedzających z historią dzielnicy, biografiami jej mieszkańców oraz patronów ulic. A Raków to przede wszystkim: Huta Częstochowa, Rezerwat Archeologiczny, klub sportowy oraz nieistniejące już kino Relax. Pokazano również archiwalne zdjęcia miejscowej straży ogniowej oraz orkiestry. Wystawie w Gabinetce Wybitnych Częstochowian towarzyszyła piosenka Shamboo *Po prostu kochaj* wykonywana z Muńkiem Staszczkiem.

Ekspozycje pochodzą z zbiorów Muzeum Częstochowskiego, Archiwum Państwowego w Częstochowie, Miejskiego Domu Kultury, Biblioteki Publicznej (filii na Rakowie), redakcji „Głosu Hutnika” oraz zbiorów prywatnych.

Koncert pieśni Stanisława Moniuszki

CZĘSTOCHOWA. W czasie II Konferencji Maryjnej „*Tam Twoje serce, kędy skarb przebywa*”. Jasna Góra – skarbiec kultury polskiej i europejskiej zorganizowanej przez Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie oraz Jasną Górę, 10 grudnia, Chór Polskiego Radia w Krakowie pod dyrekcją Marii Piotrowskiej-Bogałeckiej wykonał utwory religijne Stanisława Moniuszki. Koncert wpisany był w obchody 200. rocznicy urodzin kompozytora.

W Bazylice Jasnogórskiej można było wysłuchać mszy polskiej d-moll, Veni Creator (motet), Vide humilitatem (psalm), mszy łacińskiej Es-dur, Ne Memineris (motet). Partie solowe wykonali: Joanna Zawartko – sopran, Anna Bober – alt, Sebastian Mach – tenor, Rafał Pawnuł – bas/baryton. Śpiewakom towarzyszyła Anna Firlus na organach oraz kwintet smyczkowy w składzie: Adam Pastuszka i Wioletta Szopa-Tomczyk – skrzypce, Dymitr Olszewski – altówka, Bartosz Kokosza – wiolonczela oraz Michał Bylina – kontrabas.

Była to doskonała okazja, by poznać nieco inne oblicze autora *Halki i Straszego Dworu*, dotknąć XIX-wiecznej duchowości oraz zamyślić się tajemnicą Boga, czemu sprzyjało otoczenie bazyliki jasnogórskiej.

Krótko

*zagrali: Filharmonia Częstochowska – Dżem, Ania Dąbrowska, Kortez; klub Rura – Acid Drinkers, Natalia Przybysz, Novika; klub Stacherczak – Paweł Łowicki Band; Miejski Dom Kultury – Grażyna Łobaszewska; OPK Gaude Mater – Jazz Band Ball Orchestra;

*wystawiali: OPK Gaude Mater – Krystyna Onysyk i Anna Przewłocka, Anita Grobelak;

* 9 grudnia w Muzeum Częstochowskim świętowano jubileusz 40-lecia pracy artystycznej Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel, promując książki: *Matka chrzestna z wody i Zbudzić się przed zaśnięciem*;

* 29 listopada w IV LO im. H. Sienkiewicza odbyła się promocja książki *King! Autobiografia*; spotkanie z Muńkiem Staszczkiem poprowadził Rafał Księżyk.

SPROSTOWANIE INFORMACJI zawartej w „Notatniku Kulturalnym” w numerze 12/2019 miesięcznika „Śląsk”. Na prośbę Dyrektora Filharmonii Śląskiej, Pana Adama Wesołowskiego, uprzejmie informujemy iż, cyt.: 7. *Międzynarodowe Dni Henryka Mikołaja Góreckiego to festiwal – a nie pojedyncze wydarzenie – który w całości zorganizowany został przez Filharmonię Śląską im. H.M. Góreckiego. W ramach Dni odbyło się 9 koncertów w listopadzie i grudniu 2020 roku, miały miejsce także wydarzenia towarzyszące, takie jak gra scenariuszowa, audycje czy projekcja filmu.*

Koncert 17 listopada był współorganizowany – a nie: organizowany – przez IPIUM „Silesia”, podobnie jak koncert 11 listopada współorganizowało Centrum Kultury im. Jana Kiepury. Głównym ośrodkiem festiwalu, niezmiennie od już 7 edycji, jest jednak Filharmonia Śląska.

OGŁOSZENIE ZARZĄDU GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego informuje wszystkich PT Członków GTL, że zgodnie z przepisami Statutu GTL Walne Zebranie Sprawozdawcze Wyborcze za okres kadencji 2014–2019 odbędzie się w ostatniej dekadzie marca 2020 roku.

Dokładny termin i miejsce Walnego Zebrania zostaną ogłoszone w numerze lutowym miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”.

Koleżanki i Kolegów serdecznie zapraszamy do udziału w Zebraniu.

Prezes zarządu
dr Tadeusz Sierny

Joanna Stoga uprawia poezję podaną w formie obrazów. Ta zaś dotyczy katalogu naszych ziemskich spraw: rośliny i ptaki – podstawowe elementy występujące na zdjęciach, to składniki ekosfery, w wydaniu autorskim artystki nawiązują estetyką do wyrefinowanego starożytnego zielnika, czy atlasu zwierząt, są bardziej osobliwością niż dokumentalnym wglądem w naturę świata. Określenie *Natura Naturata*, czyli natura stworzona – ale stworzona w sposób wykwintny – wydaje się wyjątkowo dobrze przystawać do wydziwisku tych pięknych, ale także dostojnych obrazów. Bogactwo stworzenia i tajemniczy ogród znaczeń wymykają się dosłowności i prostemu opisowi zawartemu w trywialnej sprawozdawczości. Przejrzyste ciała ptaków nawiązują w swym podstawowym schemacie do konstrukcji dinozaurów, przenoszą nas w czas prehistoryczny, a jednocześnie baśniowy, nierzeczywisty. Martwe ptaki i rośliny poddają się swoistej reinkarnacji: zabalsamowane w za-

Eden

PIOTR KOMOROWSKI

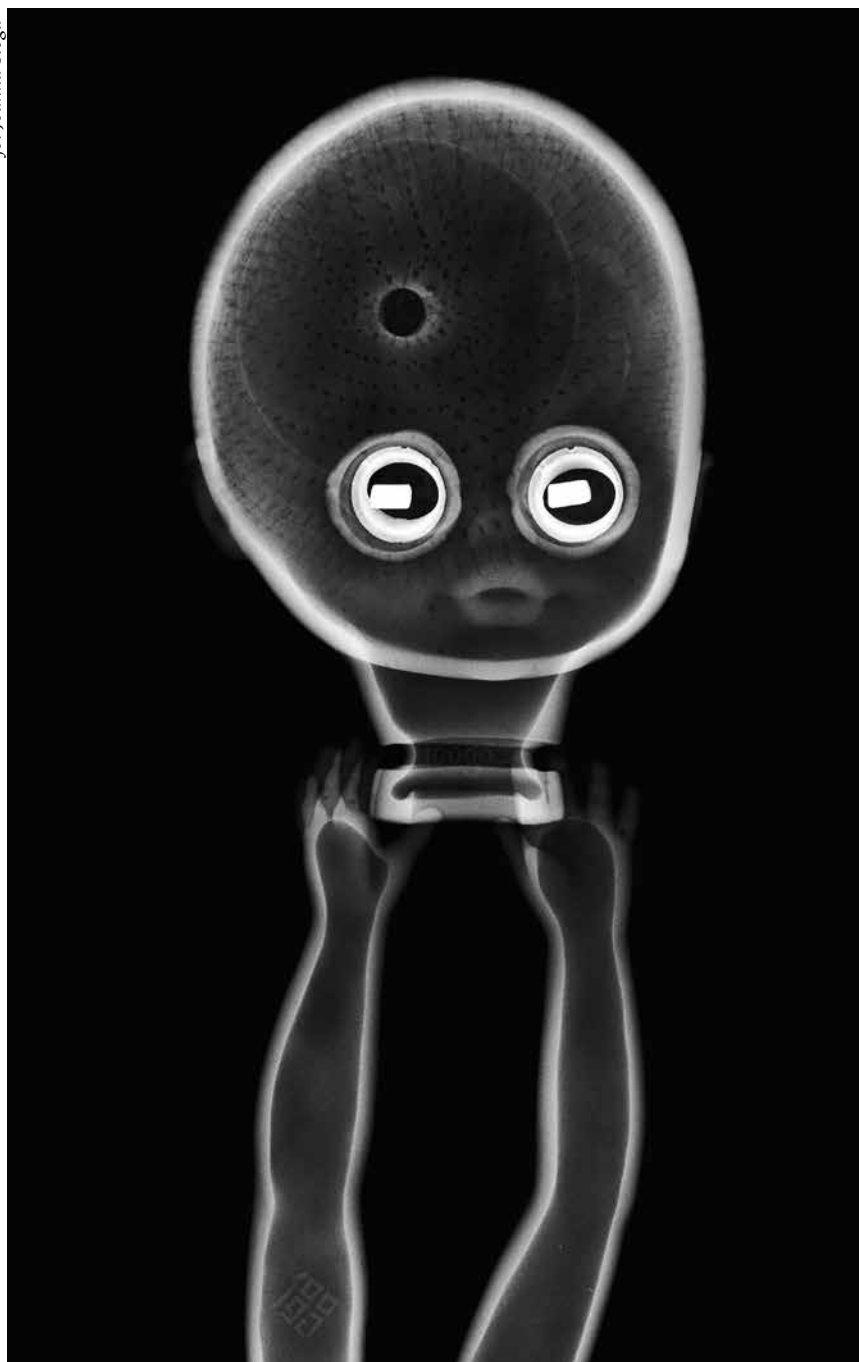
stygłych gestach prezentują to, czego już w nich nie ma – intrygujące bogactwo życia, przejawiającego się w strukturze anatomicznej, ale przede wszystkim w szczególnej wzniosłości, którą odczuwam i którą, wierzę w to, dotyczy także i naszej, ludzkiej konstrukcji.

Eden – tak swój cykl fotografii nazwała autorka. Czy jest to nawiązanie do mitu, czy raczej echo ugruntowanej ekoświadomości, czy przejaw eskapizmu, a może zauroczenie czysto estetycznym wymiarem powołanych do istnienia obrazów? Wydaje się, że każda z tych odpowiedzi z osobna, jak i wszystkie razem, są zasadne. W efekcie



fot. Sławek Przerwa

fot. Joanna Stoga



końcowym mamy do czynienia ze świadectwem szczególnej wrażliwości, którą dysponuje sprawczy tych zdjęć.

Jako odbiorca jestem uwikłany w konsekwencje zderzenia moich własnych upodobań, wiedzy, gustów, z tym, co oferuje wyrefinowana konstrukcja estetyczna prześwietlonych zdjęć Joanny Stogi. W tym przypadku z radością podzielałam pogląd autorki, iż prace te nawiązują w jakimś sensie do rysunków naskalnych Altamiry, są ich jakby współczesną wersją. Wyzwalają podobny rodzaj wzruszenia, tęsknotę, a może nawet żal za tym, czego już nie ma. I podziw, nadbudowany na finezji kształtu, harmonii ruchu. W efekcie końcowym, mając pewien wgląd w refleksję branżową opisującą naturę fotografii, najchętniej jednak odnajduję sens tych zdjęć, posilkując się greckim kanonem estetycznym. Platónska teoria *mimesis*, uwspółcześiona poprzez umieszczenie jej w stosownym miejscu na spirali rozwoju, stanowi nie jedyną, ale – moim zdaniem – bardzo klarowną sugestię, co do sposobu pojmowania owego ziemskiego Edenu Joanny Stogi. ■

Joanna Stoga – absolwentka Europejskiej Akademii Fotografii, od 2014 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Popularność zyskała dzięki licznym seriom botanicznym wykonanym różnymi technikami fotograficznymi, w tym z użyciem medycznego sprzętu rentgenowskiego. Prace – nagrodzone między innymi przez The Royal Photographic Society w Londynie oraz The Georgia O’Keeffe Museum w Santa Fe w USA – prezentowane były na licznych wystawach w kraju i za granicą.

Od trzech lat Joanna Stoga pasjonuje się również pisaniem. Jak dotąd opublikowała kilka opowiadań, a czerwcu 2019 roku jednym z nich zdobyła III miejsce w XXVII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Marka Hłaski.

Strona fotograficzna: www.100ga.pl



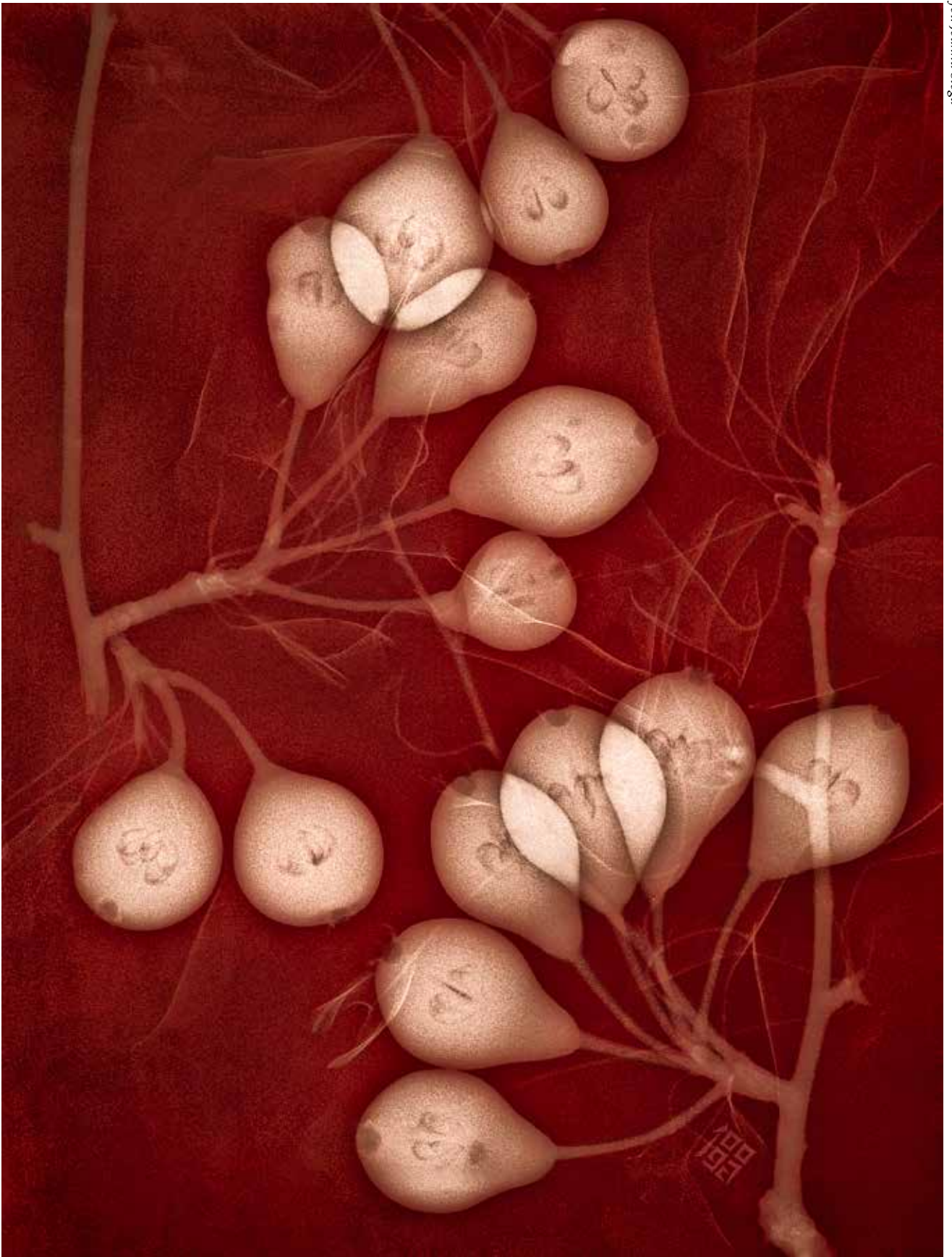
Eden prześwietlony



Eden prześwietlony



Eden prześwietlony

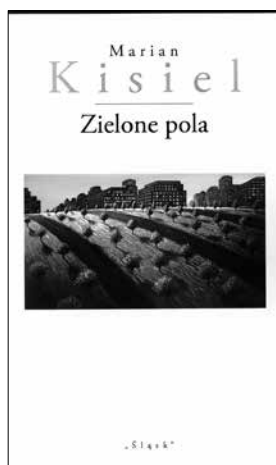


Eden prześwielony

KSIĄŻKI NADESŁANE



Henryk Cierniak. *Antologia poezji i prozy autorów polsko-amerykańskich. Koncert w Domu Chopina*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



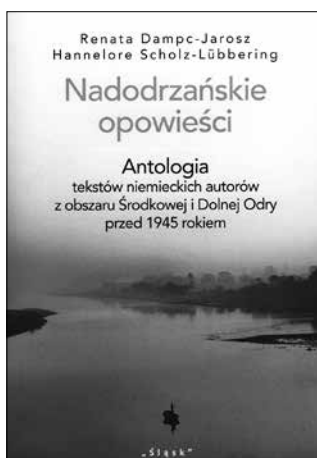
Marian Kisiel. *Zielone Pola*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



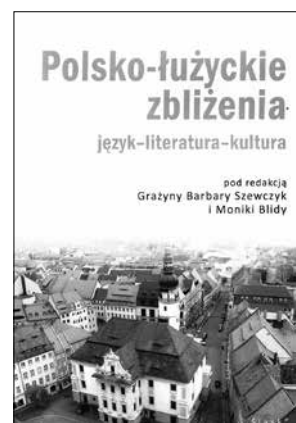
Barbara Gruszka-Zych. *Nie chciałam ci tego mówić*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



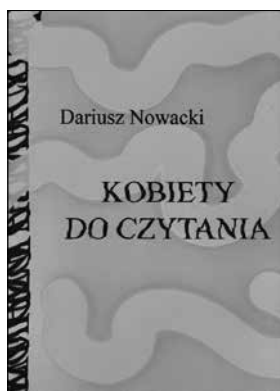
Tadeusz Puszczyński „Konrad Wawelberg”. *Polskie działania destrukcyjne na Górnym Śląsku w latach 1920–1921*. Pod redakcją Edwarda Długajczyka. Wydawca: Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski, Katowice 2019.



Renata Dampc-Jarosz, Hannelore Scholz-Lübbering. *Nadodrzańskie opowieści. Antologia tekstów niemieckich autorów z obszaru Środkowej i Dolnej Odry przed 1945 rokiem*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Polsko-łuzyckie zblizenia. Język-literatura-kultura. Pod redakcją Grażyny Barbary Szewczyk i Moniki Blidy. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Dariusz Nowacki. *Kobiety do czytania*. Wydawcy: Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice, „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Maski wolności w dramacie i teatrze XX i XXI wieku. Pod redakcją Lidii Mięrowskiej, Pauliny Charko-Klekot, Anny Tyki. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.

BIELSKA JESIEŃ – BIELSKO AUTUMN 2019

– ogólnopolski przekrój wysiłków malarskich

MAGDA BRZESKA

Bielska Jesień została zorganizowana po raz pierwszy w 1962 roku jako odpowiednik (przynajmniej w nazwie) corocznego Festiwalu Muzyki Współczesnej Warszawa Jesień. Nazwa „Warszawska Jesień” zawsze była tłumaczona w katalogach jako „Warsaw Autumn” (nie „The Autumn of Warsaw”), dlatego byłoby słusznym tłumaczyć „Bielską Jesień” jako „Bielsko Autumn”. Nasze miasto Bielsko-Biała składa się z dwóch połączonych miast i dlatego nazwy instytucji lub festiwalu nie muszą mieć w nazwie obydwu członów nazwy miasta. Biennale Malarstwa Bielska Jesień ma miejsce w Galerii Bielskiej BWA, która fizycznie jest położona w Bielsku, a dla porównania BKS – to Biański Klub Sportowy, którego siedziba mieści się w Białej.

W 1968 roku coroczna Bielska Jesień przestała mieć charakter interdyscyplinarny, zrezygnowano z pokazywania grafiki i rzeźby, skoncentrowano się na malarstwie. Warszawska Jesień była po latach stalinizmu festiwalem umożliwiającym polskim kompozytorom współczesnym prezentowanie swych utworów oraz konfrontowanie ich z wykonaniami utworów kompozytorów zagranicznych. W ten sposób następowało przełamywanie „żelaznej kurtyny” oddzielającej kulturę Europy Środkowej od kultury Europy Zachodniej. Bielska Jesień nie dawała nigdy możliwości takiej konfrontacji chociażby z powodów organizacyjnych. Transport obrazów z zagranicy zawsze był i będzie kosztowny i kłopotliwy organizacyjnie.

Podstawowym celem Bielskiej Jesieni było i jest umożliwienie zobaczenia przekroju malarstwa powstającego aktualnie w Polsce. Wyboru obrazów na podstawie nadsyłanych slajdów dokonywało jury, dlatego oczywiście ten wybór był zawsze w jakimś stopniu subiektywny, tak jak i subiektywne musiały być decyzje dotyczące przyznawania nagród.

Od 1995 roku Bielska Jesień jest odbywającym się co dwa lata Biennale Malarstwa i chociaż w nazwie nie ma przymiotnika „Polskiego”, to jednak według regulaminu swoje prace mogą zgłaszać osoby posiadające obywatelstwo polskie lub mieszkające w Polsce niezależnie od tego, czy ukończyły takie lub inne studia wyższe. W 2019 roku jury dopuściło do udziału w wystawie tylko jedną autorkę, która nie studiowała na kierunku artystycznym, mieszkankę naszego miasta. Urodzona w Bielsku-Białej Beata Grim tworzy staranne obrazy przy pomocy oryginalnej metody, mianowicie haftu. To, co widzowi niezaznajomionemu z komentarzem autorki mogłoby wydawać się przypadkowym widokiem lub przedstawieniem jakiegoś motyla, jest w intencji autorki starannie wybranym widokiem fragmentu Bielska-Białej znajdującego się poza oficjalnymi szlakami turystycznymi, a motyl jest egzemplarzem gatunku endemicznego, występującego jedynie w Wapienicy, zachodniej dzielnicy Bielska!

Ewenementem kulturowym stało się zaistnienie na wystawie dwóch obra-

zów autorstwa osoby określającej się jako Bezimienny / Nameless. Autor tych dwóch obrazów nie podał organizatorom swojego imienia i nazwiska. Autor utożsamia siebie z głównym bohaterem jednej z gier komputerowych, właśnie Bezimiennym, a na obrazach przedstawia postaci z gry, stosując rozbitcie obrazu na kwadraciki pikseli, przez co staje się przedstawicielem naszego młodego pokolenia wychowanego na grach komputerowych. W tekście dołączonym do zgłoszenia obrazów twierdzi, że te obrazy przedstawiające grę, której akcję umiejscowiono około roku 1600, są ironicznym odniesieniem do współczesnego malarstwa odnoszącego się do malarstwa dawnego.

Takie właśnie wykonane oryginalnym sposobem obrazy Bartosza Czarnieckiego nawiązujące do reprodukcji obrazów Boscha i Breugla zostały umieszczone na wystawie obok obrazów Bezimiennego. Na ścianie obok, z drugiej strony obrazów Bezimiennego umieszczono skomplikowane i nadzwyczaj staranne obrazy Michała Chudzińskiego przedstawiające wyimaginowane tłumy na ulicach miasteczek należące do cyklu „Jakie miasto taki Bruegel”, które na pewno zdobyły uznanie znawców zarówno malarstwa dawnego, jak i starannego współczesnego warsztatu służącego do tworzenia własnych oryginalnych wizji małych miasteczek.

Generalnie w każdym obrazie na tym wydaniu Biennale Malarstwa można było dostrzec oryginalny styl malowania, a jednak wielu z młodych autorów stosuje z powodzeniem wykończenie szczegółów, kojarzące się ze znanym malarzem już średnio-starszego pokolenia, pochodzącym z Niemiec Wschodnich, którego obrazy były kiedyś pokazywane na dużej wystawie w Krakowie. Neo Rauch co prawda maluje wielkie płótna figuratywne, ale wpływ jego metody malarskiej widać w abstrakcyjnych lub przedstawiających obrazach średnio-młodych absolwentów krakowskiej uczelni, licznie reprezentowanych na Bielskiej Jesieni.

Na tym tle korzystnie wypadają obrazy jednego Górnoszlązaka i jednego Warszawiaka. Włodzimierz Betleja, malarz średnio-starszego pokolenia mógłby nauczyć humoru i mieszania narracji oraz nowoczesnego warsztatu



foto. arch.

popartu niejednego młodego twórcę. Paweł Jan Dunał osiąga efekt mocno czytelnego humoru, budując swoje postaci metodą starannego nakładania jasnych kolorów. Ich obrazy z pewnością nadawałyby się na zreprodukowanie na okładkach czasopism artystycznych.

Dobrze, że na Bielskiej Jesieni można było zobaczyć wiele prac twórców z województwa śląskiego. Szkoda, że niewiele z Podbeskidzia, gdzie mieszka wiele utalentowanych osób. Wiele obrazów powstało dzięki opanowaniu wysokiej jakości warsztatu malarzkiego, co mogłoby być np. kryterium przyznawania nagród.

Wyjątkowym, własnym i oryginalnym warsztatem będącym zapewne wynikiem własnej ciężkiej pracy dysponuje urodzona i mieszkająca w Tychach Agnieszka Łapka. Jej obrazy z daleka wydają się być niezwykle wyrazistymi i udanymi dziełami hiperrealistycznymi. Z bliska okazuje się, że ich powierzchnia wibruje w niezwykle oryginalny sposób. Farba olejna nie jest nakładana po prostu mechanicznymi pociągnięciami pędzla, ani też nie jest całkowicie wygładzana. Drobnutkie ślady włosia pędzla tworzą mikrostruktury, dzięki którym powstają efekty czysto malarzkie, zupełnie różne od np. fotograficznych. Rozdzielczość obrazu jest za to znacznie wyższa od fotograficznej. Gra cieni i światła uzyskana jest w sposób tak trudny technicznie i tak oryginalny, że nie można porównywać tych obrazów do jakichś innych z dawnych epok. Łapka stosuje swoją własną zadziwiającą technikę malarzką, różną zarówno od dawnych technik, jak i od technik malarzy fotorealistycznych.

Obrazów laureata I nagrody nie należy w ogóle oglądać, dlatego że przedstawiają szary dym, a do takich widowisk nie należy się w ogóle przyzwyczajać, ponieważ po śmierci nie należy iść w stronę szarego dymu, tylko na odwrót, w stronę źródła jak najjaśniejszego światła.



fol. arch.



Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2019

Obrazów laureata II nagrody też nie należy oglądać, bo przedstawiają ludzkie męki; a po co się katować. Obrazów laureata III nagrody też nie należy oglądać, bo są szare. Reszta obrazów na wystawie: jest parę szarych i tych też nie należy oglądać; jest też parę kolorowych i te można oglądać.

Im więcej kolorowych obrazów, tym lepiej.

Każdy ma prawo wybierać to, co lubi. Jury wybiera obrazy szare, ja polecam kolorowe.

Bielska Jesień jest pożytecznym biennale, bo daje okazję zobaczenia co dwa lata fantastycznych kolorowych obrazów. ■

44. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2019, Galeria Bielska BWA w Bielsku-Białej: 8.11–29.12.2019

Jury:

Beata Ewa Białocka – artystka malarka (Gdańsk, Rodowo)

Anda Rottenberg – historyczka sztuki, krytyczka, kuratorka wystaw, publicystka i autorka książek (Warszawa)

dr Piotr Rypson – krytyk sztuki, historyk sztuki i literatury, publicysta i autor książek (Warszawa) – przewodniczący jury

Agata Smalcerz – historyczka sztuki, krytyczka, kuratorka wystaw, dyrektor Galerii Bielskiej BWA (Bielsko-Biała)

prof. Andrzej Tobis – artysta malarz, wykładowca katowickiej Akademii Sztuk Pięknych (Katowice).

W konkursie wzięło udział 1959 prac autorstwa 653 artystów. Do wystawy pokonkursowej jury zakwalifikowało 119 prac 54 artystów.

Laureaci nagród i wyróżnień:

Karol Palczak – Grand Prix – Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Tomasz Kulka – II Nagroda Marszałka Województwa Śląskiego

Paweł Baśnik – III NagrodacPrezydenta Miasta Bielska-Białej

Maria Cichoń, Bartosz Czarnecki, Dawid Czycz, Małgorzata Mirga-Tas, Marcin Zawicki – wyróżnienia regulaminowe.

Indeks alfabetyczny nazwisk autorów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk” w roku 2019

- A**
Ambroz Joanna: Obrazy wstydu. Z (...) rozmawia Martyna Picheta. **Nr 3, s. 31–32; Obrazy Nr 3, s. 33–34; Wstyd VI, s. 34; Wstyd IX, s. 33;**
Anzorge Anna: W Muzeum Hutnictwa Cynku. **Nr 4, s. 12;**
- B**
Bajorowicz Karol: Bielski książę (fragment). **Nr 9, s. 46–47;**
Banaszkiewicz Grzegorz: **Foto. Nr 3, s. 47; Nr 12, s. 69–72;**
Barecki Zbigniew: Tutaj znalazłem swój... Szyb Maciej. Tadeusz Sierny rozmawia z (...) **Nr 12, s. 32–35;**
Bart Solomon: Pojedynek. Przel. Marian Kisiel. **Nr 12, s. 24–26;**
Bartków Maciej: Tajemniczy Bytom. Podziemne sekrety śląskich miast. **Nr 7, s. 30–33;**
Bartków Maciej: **Foto. Nr 7, s. 33;**
Bartos Ewa: Absurdalna rozkosz. **Nr 1, s. 61;** (rec.): Leonard Neuger: Wierutne bajki dla dorosłych dzieci. Kraków 2018;
Bartos Ewa: **Foto. Nr 11, s. 40, Nr 12, s. 40;**
Benka Urszula M.: Nie spiesz się. Nie ma do czego. Nikt cię nie goni. **Nr 2, s. 60–61** (rec.): Marta Fox: Lacrimosa. Kraków 2017.
Bidzińska Daria: Obrazy. **Nr 1, s. 68–72** : Helena s. 1 okładki; Opętana s. 68; Portret Julii s. 69; Duch s. 70–71; Borys s. 72;
Bieliński Krzysztof: **Foto. Nr 1, s. 3 okładki;**
Bieniek Tomasz: Bitwa przed wojną. Pierwsze strzały 26 sierpnia 1939 roku. **Nr 1, s. 31–32;** Rdzawe diamenty nie tracą blasku. Dziesiątki unikatowych maszyn zgromadzono pod jednym dachem. **Nr 4, s. 16–19;** Tam wciąż slychać śpiew i rżenie koni. Największe prywatne muzeum naszego Września. **Nr 4, s. 53–54;** Domy w których mieszka zło. **Nr 7, s. 8–9;** Kiedy Brynica i Przemśa łączyły. Setna rocznica I Powstania Śląskiego w Zagłębiu. **Nr 9, s. 88;**
Bieniek Tomasz: **Foto. Nr 1, s. 16, 18, 25, 26, 76; Nr 4, s. 16, 17, 18, 19, 53, 54; Nr 6, s. 14, 15, 22, 25; Nr 7, s. 4 okładki, s. 4, 5, 6, 7, 8, 9; Nr 8, s. 31, 32, 33; Nr 9, s. 6, 7; Nr 10, s. 59;**
Bojkiw Edwina: W Muzeum Chleba, czyli w domu. **Nr 4, s. 8–9;**
Bródka Patryk: Najdalsze obserwacje. Z (...) fotografem ekstremalnym rozmawia Andrzej Jarczewski. **Nr 7, s. 13; Foto z drona nr 8, s. 34;**
Bródka Patryk, Rafał Grzegorz: **Foto. Nr 11, s. 4 okładki;**
Bryczyński Jacek: **Foto. Nr 5, s. 15;**
Bujarek Tresa patrz: **Dudek** Bujarek Teresa;
Bukowski Charles: Uśmiech zabójcy, kupa śmiechu. Przel. Andrzej Szuba **Nr 12, s. 27;**
Bukowski Tadeusz: **Foto. Nr 8, s. 9;**
Buksa Henryk: Rzeźby Stanisława Słodowego. **Nr 1, s. 30–32;**
Buksa Henryk: **Foto. Nr 1, s. 33; Nr 3, s. 4, 5; Nr 5, s. 30, 31; Nr 8, s. 7; Nr 10, s. 81, 82;**
Burda Krystian: Taki pomnik się nie zdarza. Z Iwoną Jantoną rozmawia Piotr Skowronek. O (...) (1935–2015), grafiku, rzeźbiarzu, twórcy figur przestrzennych oraz budownictwa sakralnego. **Nr 12, s. 6–8;**
- C**
Cofała Jan: Jan Goczoł – poeta śląskiego domu. 13. maja 1934 – 22 lutego 2018. **Nr 2, s. 20–22;**
Cofała Jan: **Foto. Nr 2, s. 20, 21, 22;**
Charyga Aleksandra: Dojrzały tom dojrzałego poety. **Nr 2, s. 62** (rec.): Łukasz Jarosz: Stopień pokrewieństwa. Stronie Śląskie 2017;
Chmielewska Ewa: Skarby muzeów województwa śląskiego. **Nr 4, s. 35;**
Chojcka Ewa: List do Redakcji. **Nr 5, s. 54;**
Chwolik Dominik: Łaska i radość wiary. **Nr 1, s. 63** (rec.): Jerzy Szymik ks.: Zachwyt i inne skutki wiary. Warszawa 2018;
Crihyc Paweł: **Foto. Nr 8, s. 4, 5;**
Cygan Adam: **Foto. Nr 9, s. 2 okładki; s. 42;**
Czaja Kamila: Poeta (równo)wagi ciężkiej. **Nr 6, s. 64–65;**
Czaadajew Piotr: Fragmenty i różne myśli. Przel. Marian Kisiel. **Nr 10, s. 20–25;**
- Ć**
Ćwiertniewicz Grzegorz: Śląsk daje nadzieję. Z Barbarą Lubos, aktorką teatralną, filmową i telewizyjną, związaną z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia (...). **Nr 9, s. 76–79;**
Ćwiertniewicz Grzegorz: Z Polską należy się tarmosić. **Nr 1, s. 22–23** (rec.): Kazimierz Kutz: Piąta strona świata. Teatr Śląski 2018;
- D**
Długosz Sabina patrz: **Wawerla** Długosz Sabina;
Dłuski Stanisław: Wiersz dydaktyczny dla wiewiórki. **Nr 10, s. 46;** Grażyna spowiada się z kwiatów, Po balu z Eurydyką. **Nr 10, s. 47;**
Domagała Marta: Rys. **Nr 2, s. 15, 49;**
Dorożański Irek: **Foto. Nr 10, s. 78, 79; Nr 12, s. 2 okładki;**
Drost Alicja patrz: **Migdał-Drost** Alicja;
Dudek-Bujarek Teresa, Grzegorz Madej: Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej. Zamek książąt Sułkowskich. Fałatówka w Bystrej. **Nr 6, s. 50–51;**
Durski Jacek: Okno (Pierwsza część cyklu). **Nr 2, s. 44–47;**
Dutka Elżbieta: Anioł psinę głaszcze. O religijnych wierszach Bohuslava Reynka, tłumaczonych przez Andrzeja Babuchowskiego. **Nr 3, s. 62–63** (rec.): Bohuslav Reynek: Odłot jaskółek. Kraków 2019; Hałdy niewzruszone. **Nr 5, s. 64–65** (rec.): Katarzyna Niesporek: Hałda. O śląskiej wyobraźni symbolicznej. Katowice 2019; Waga drobiazgu i sztuka balansu. **Nr 12, s. 64** (rec.): Magda Brzezińska: Pilnowaliśmy szczegółów. Kielce 2019;
- Ziadek** Magdalena: *Między nutami*: Jubileusz prof. Leona Markiewicza. Koncert muzyki nordyckiej. **Nr 1, s. 38;** Geniusz i up(i)ór. **Nr 2, s. 35;** Salon Magdaleny Lisak. **Nr 3, s. 36;** Paweł Łukaszewski na płycie. Fryderyki 2018. **Nr 4, s. 36;** Moniuszkowski rachunek sumienia. **Nr 5, s. 36;** „Camerata Silesia” śpiewa pieśni śląskich kompozytorów. **Nr 6, s. 36;** Słownik muzyków kościelnych. **Nr 7, s. 36;** Leon Kubica (1903–1943). **Nr 8, s. 35;** Prof. Andrzej Jasiński honorowym obywatelem Katowic. **Nr 9, s. 39;** Profesor Markiewicz. Dekada muzyki. **Nr 10, s. 36;**
- F**
Fatyga Karol: **Foto. Nr 3, s. 3 okładki; Nr 6, s. 4 okładki;**
Fikus Sebastian: Radiofonia w III Rzeszy. **Nr 1, s. 16–19;**
Foltyn Barbara: W pałacowym wnętrzu Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie. **Nr 4, s. 27;**
Foster Linda Nemeč: Kraje, które się o mnie upominają. Przel. Łukasz Łopata. **Nr 8, s. 11;** Doppelgänger. List z ostatniego miejsca na ziemi, Nagroda Nobla. Przel. Maria Witos. **Nr 8, s. 12;** Dzieci imigrantów w Union School, Milcząca. Moje imię, Sen emigrantki. Przel. Dorota Wieczorek. **Nr 8, s. 12, 13;**
Fox Marta: Wariatka, która czyta.. (fragment) **nr 1, s. 12–13;** Dom Maria i willa Nikity Chruszczowa (fragment). **Nr 9, s. 32;**
- G**
Gabryś Marcin: Muzeum protestantyzmu w Cieszynie. **Nr 5, s. 22;**
Gaitoer Anna, Kordian Michalak: *Notatnik kulturalny*. **Nr 1, s. 80–82;**
Gaitoer Anna, Joanna Kotkowska: *Notatnik kulturalny*. **Nr 2, s. 82–87; Nr 3, s. 84–87; Nr 4, s. 84–86; Nr 5, s. 82–85; Nr 6, s. 80–83; Nr 7, s. 84–87; Nr 8, s. 82–85; Nr 9, s. 86–87; Nr 10, s. 84–87; Nr 11, s. 84–87; Nr 12, s. 80–86;**
Gałązyn Joanna patrz: **Styrylska Gałązyn** Joanna;
Gałązka Krystian: Fermata Chebzie. **Nr 2, s. 76;**
Gardaś Arkadiusz: Wicca: misterium i magia za zasłoną codzienności. **Nr 11, s. 10;** Współczesna czarownica. Z Agni Kefling rozmawia (...). **Nr 11, s. 11–13;**
Gawłowski Robert: Logos. **Nr 7, s. 3;** Eklezja, Gadara, Niepodobieństwo. Paruzja, Pomyleni, Szilo, Zoar. **Nr 7, s. 14;** Acedia, Dotyk, Niewidzialna ręka, Podszepcy. **Nr 7, s. 15;**
Gąsiorowski Andrzej: Życie po rewitalizacji. **Nr 7, s. 80–83;**
Gąsiorowski Andrzej: **Foto. Nr 7, s. 80, 81, 82, 83;**
Gemerer van Theo: **Rys. Nr 9, s. 73;**
Gerlich Lilianna patrz: **Moll-Gerlich** Lilianna;
Gerlich Marcin Grzegorz: *Między ciszą a halasem*: Tacy kiedyś byliśmy. **Nr 1, s. 43;** Po co ta(ka) mowa? **Nr 2, s. 43;** „Odważny wiarą”. **Nr 3, s. 79;** Muzealnicy – przewodnicy pamięci. **Nr 4, s. 39;** Sport i sacrum. **Nr 5, s. 39;** Depozytariusze i kustosze. **Nr 6, s. 38;** Piękne miasto a my coraz gorsi... , czyli inne Katowice. **Nr 7, s. 46;** Sierpniowe rocznice i ich świętowanie. **Nr 8, s. 36;** Niemcy, nazizm, wojna w antyhitlerowskim komizmie śląskim. **Nr 9, s. 41;** „Wolny od bajtła”, czyli humanista z bojszowskiego Hollywood. **Nr 10, s. 38;** O absencji śmierci w kulturze współczesnej. **Nr 11, s. 38;** Jaki niegdyś był grudzień. **Nr 12, s. 39;** Roman Nyga – po prostu wielki artysta. **Nr 1, s. 46–51;** Romowie wśród nas. **Nr 3, s. 9–11;** „Silesia”. Czyli 35-lecie szafarki „pięknych dźwięków”. **Nr 5, s. 6–8;** Ten, który wieścił „zmartwychwstanie Polski” (Na zawsze...). **Nr 6, s. 13;** Wojna karnawału z postem. **Nr 2, s. 10–13;** Opowieść o 20 sierpnia 1939 roku, czyli rodzinny przekaz sprzed 80 lat (Na zawsze...). **Nr 8, s. 19–21;**
Gerlich Marian Grzegorz, Lilianna **Moll-Gerlich**:

- Obywatel świata i Honorowy Obywatel Katowic. Z profesorem Andrzejem Jasińskim rozmawiają (...). **Nr 9, s. 16–18**;
- Gibaszek Sylwia**: Łowienie ryb za Garwolinem, ***zginęła ze swoim synem. **Nr 3, s. 80**; Adriatyk, Jabłka, *** chciałbym przepisać te zimę, Ulewa w Oziemkówe. **Nr 3, s. 81**;
- Giba Marcin**: Foto. **Nr 5, s. 35**;
- Gierlotka Stefan**: Od Tarnowskich Gór do Katowic Brynowa. Szkolnictwo górnicze na Górnym Śląsku. **Nr 11, s. 16–18**; Święci patroni górników w Ameryce Południowej. **Nr 3, s. 74–77**;
- Godoj Andrzej**: Rudzkie muzealia. **Nr 5, s. 48**;
- Godyn Mieczysław**: Jane Hirschfield. W dawnej kopalni węgla na Śląsku. Przel. (...). **Nr 6, s. 35**;
- Gołębiowski Grzegorz**: Foto. **Nr 9, s. 76**;
- Grabowski Michał**: Miasto w Muzeum. **Nr 4, s. 68–72**;
- Grabczewski Oskar**: Przestrzeń publiczna i kultura wizualna (*Rozmowy przed weekendem*). **Nr 6, s. 4–9, 68**;
- Grella-Możejko Piotr**: *Język w strunach*: Urok niemożliwości. Barbara Buczkówna (1940–1993). **Nr 1, s. 39**; Muzyka wg Jerzego. **Nr 2, s. 73**; Aleksandry Bilińskiej elektronika romantyczna. **Nr 3, s. 73**; Jana Wincentego Hawla dar muzyki. **Nr 4, s. 73**; Gdzie znaleźć muzykę Małgorzaty Hussar? **Nr 5, s. 73**; Dziesięć dekad Bogusława Schaefera. **Nr 6, s. 73**; Aliny saksofon magiczny. **Nr 7, s. 73**; Niezwykły, zwykły człowiek. **Nr 8, s. 73**; Śmiech jak szelest... czyli o muzyce Katarzyny Arnhold. **Nr 9, s. 73**; Mistrz kontrabasu totalnego. **Nr 10, s. 73**; Kompozytorka rozrzutna. **Nr 11, s. 73**; Romantyk niepokromiony. **Nr 12, s. 57**;
- Grzegorz Rafał**, Patryk Bródka: **Foto. Nr 11, s. 4 okładki**;
- Grześkowiak Grzegorz**: Walki o kopalnię „Michał” 1 września 1939 roku. **Nr 9, s. 8–11**; Pierwsze powstańcze boje. Godów, 20 sierpnia 1919 roku. **Nr 10, s. 29–31**; Obrona południowej rubieży w styczniu 1919 roku. **Nr 11, s. 26–28**; Dobro publiczne mieć zawsze przed oczyma... Rys historyczny Policji Województwa Śląskiego 1922–1939. **Nr 12, s. 28–31**;
- Guziałek Michał**: Gryps, Tabula rasa. **Nr 6, s. 58**; *** mimo wszystko, *** Płótno nakładam. Śmierć fotografa, Wymarsz strzelców. **Nr 6, s. 59**;
- H**
- Haber Franciszek**: Architektura i Pan Architekt (polemika). **Nr 1, s. 45**;
- Hałaś Marcin**: *** Mój kolega Zygmunt Zawisza, Wiosna 2010, Ziomber. **Nr 11, s. 44, 45**; Dłużnik żołnierzy wyklętych. **Nr 6, s. 61** (rec.): Mariusz Solecki: Pod ochroną pamięci. Kraków 2018; Wszystkie strony Nowary. **Nr 8, s. 64** (rec.): Lesław Nowara: Ciemna strona światła. Katowice 2019; Inteligencji i muzułmamy. **Nr 3, s. 88**; Konfrontacja z legendą. **Nr 4, s. 87**; Owoc amerykańskiego snu. **Nr 10, s. 76** (rec.): Koszt życia. Teatr Śląski 2019;
- Hanak Józefa hm**: Służba i przyjaźń. XV lecie Stowarzyszenia Ruchu Harcerskiego „Czuwaj”. **Nr 9, s. 83**;
- Heska-Kwaśniewicz Krystyna**: Mazur z Kossakami. **Nr 1, s. 62**; Krystyna literacka. **Nr 3, s. 58–59**; Wzrzesień na katowickim rynku. O powstańcach, harcerzach i pomniku. **Nr 9, s. 4–7**; Opus magnum Małgorzaty Musierowicz. **Nr 10, s. 13–15**; Przywrócona pamięć o Henryku Kurku – harcerzu. **Nr 11, s. 29**;
- Hirschfield Jane**: W dawnej kopalni węgla na Śląsku. Przel. Mieczysław Godyn. **Nr 6, s. 35**;
- Hryciów Roman**: Foto. **Nr 6, s. 51**;
- Hubacz Łukasz Józef**: Powstańcze manierki. Cz.1. Nieznane kulisy śląskiej insurekcji. **Nr 8, s. 48–52**; Powstańcze manierki. Cz. 2. Nieznane kulisy śląskiej insurekcji. **Nr 10, s. 56–57**; Duchowe oblicza sztuki okopowej. **Nr 12, s. 50–51**;
- I**
- Imiela Emanuel**: Powstańcy naprzód. Hymn Powstańców Śląskich. **Nr 8, s. 3**;
- Imiela Paulina**: Kaszalot. **Nr 11, s. 62–63** (rec.): Szczepan Twardoch: Jak nie zostałem poetą. Kraków 2019;
- Intensywny rok** Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, czyli co słycać w Koszęcinie. **Nr 2, s. 4–5**;
- J**
- Janik Gaweł**: Przyjemność choroby. **Nr 8, s. 62–63** (rec.) Monika Ładoń: Choroba jako literatura. Studia maladyczne. Katowice 2019;
- Jantoń Iwona**: Taki pomnik się nie zdarza. Z (...) rozmawia Piotr Skowronek. O Krystianie Burdzie (1935–2015), grafiku, rzeźbiarzu, twórcy figur przestrzennych oraz budownictwa sakralnego. **Nr 12, s. 6–8**;
- Jarczewski Andrzej**: Marzec 1968 w Gliwicach. **Nr 2, s. 6–9**; Kontakt pod napięciem. Z prezesem Towarzystwa Rozwijania Kontaktów Polsko-Ukraińskich Bogusławem Lesko rozmawia (...). **Nr 3, s. 14–17**; Francuzi ginęli na Górnym Śląsku. **Nr 4, s. 49**; Śmierć dzieci. Gliwice 24.03.1919. **Nr 4, s. 48**; Mały poradnik indynauty. **Nr 5, s. 9**; Najdalsze obserwacje. Z Patrykiem Bródką, fotografem ekstremalnym rozmawia (...). **Nr 7, s. 13**; Wprowadzenie do Sobotty. **Nr 5, s. 32–34**; Towarzyszyć w bezdomności. Z prezesem Koła Gliwickiego Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta Janem Sznajderem rozmawia (...). **Nr 7, s. 10–12**; Mistrz Józef Szmidt w Drawsku Pomorskim. **Nr 9, s. 42**; Randka esperantystów. Cent dek de esperanto movado en Gliwice. **Nr 11, s. 48**; Kapuściński Fiction. **Nr 11, s. 67** (rec.): Tadeusz Loster: Kufer pełen zapachu lawendy. Tarnowskie Góry 2019; Na koniu i pod wozem. **Nr 12, s. 68** (rec.): Antoni Tarnowski: Na koniu i pod wozem. Koszalin 2003; **Foto: Nr 7, s. 10, 11, 12, 13; Nr 9, s. 36, 37, 38; Nr 11, s. 48**;
- Jasińska Anita**: Wyspa bezrobotnych. **Nr 4, s. 63** (rec.): Magdalena Okroska: Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu. Warszawa 2018; Na marne. **Nr 10, s. 65** (rec.): Marta Sapala: Na marne. Wołowiec 2019;
- Jasiński Andrzej**: Obywatel świata i Honorowy Obywatel Katowic. Z prof. (...) rozmawiają Marian G. Gerlich i Lilianna Moll-Gerlich. **Nr 9, s. 16–18**;
- Jasnorzewski Ryszard**: *Z notatek o Konradzie*: Maria Stuart w Mysłowicach. **Nr 1, s. 37**; Gimnazjum i kilka teatrów. **Nr 2, s. 37**; Stalinogród i Strzeżniński. **Nr 3, s. 37**; Goździk w kaburze. **Nr 4, s. 38**; Pogrzeb mieć będziesz żołnierski. **Nr 5, s. 38**;
- Jasnorzewski Ryszard**: Podróż do siebie i trochę dalej. **Nr 2, s. 62** (rec.): Kateryna Babkina: Sonia. Lublin 2018;
- Jaworski Andrzej** patrz: **Sas-Jaworski Andrzej**;
- Jedynak Zdzisław**: Skąd pochodzą nazwy „Koszutka” i „Wełnowiec”. **Nr 4, s. 78–79**;
- Jendroska Przemysław**: **Foto. Nr 3, s. 3 okładki; Nr 10, s. 34, 76; Nr 12, s. 75, 76**;
- Jędraszewska Aleksandra**: **Foto. Nr 11, s. 11**;
- Juchniewicz Andrzej**: Powiernicze sekretów, akuszerki nowego ładu. **Nr 2, s. 64** (rec.): Joanna Kuciel-Frydryszak: Służące do wszystkich. Warszawa 2018; W poszukiwaniu literackiej całości. **Nr 3, s. 64** (rec.): Jakub Kornhauser: Awangarda: strajki, zakłócenia, deformacje. Kraków 2017; Życie w enigmatyce. **Nr 8, s. 65** (rec.): Ewa Kuryluk: Feluni. Apoteoza enigmaty. Kraków 2019; Stygmatyzowana cieleność. **Nr 9, s. 63** (rec.): Joanna Ostrowska: Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej. Warszawa 2018; Kronikarz spełniającej się katastrofy. **Nr 10, s. 64** (rec.): Konrad Góra: Kalendarz Majów. Ustronie Śląskie 2019; Widma zagłady. **Nr 11, s. 65** (rec.): Adam Zagajewski: Prawdziwe życie. Kraków 2019; Śmietnika naszego powszedniego... **Nr 12, s. 65** (rec.): Marta Sapala: Na marne. Wołowiec 2019;
- Jureczka Joanna** patrz: **Jurgala-Jureczka Joanna**;
- Jurgala-Jureczka Joanna**: Kustosz. Wspomnienie o Mariuszu Makowskim. **Nr 4, s. 67**; Znow tańczę z Kossakami. Z (...) rozmawia Lucyna Sadzikowska. 130. rocznica urodzin Zofii Kossak. **Nr 9, s. 29**;
- Jurgielewicz Tomasz**: Foto. **Nr 9, s. 16**;
- K**
- Kac Włodzimierz**: Dzieje Katowic to nasza wspólna historia. Z (...) przewodniczącym Żydowskiej Gminy Wyznaniowej rozmawia redaktor naczelny „Miesięcznika Roździeńskiego” Michał Malina. **Nr 3, s. 7–8**;
- Kapala Zbigniew**: Powstańcy Śląscy w Powstaniu Warszawskim. **Nr 8, s. 8–10**;
- Kazimierzczak Radosław**: **Foto. Łęziny. Nr 1, s. 1 okładki; Foto. Nr 6, s. 74, 75, 76; Nr 7 s. 44, 45; Nr 10 s. 32, 33**;
- Keeling Agni**: Współczesna czarownica. Z (...) rozmawia Arkadiusz Gardaś. **Nr 11, s. 11–13**;
- Kempa Julia**: malarstwo między jawą a snem. **Nr 8, s. 68**; Obrazy: Bezsenność s. 68, Maja s. 71, Nimfa s. 68, Ochron mnie przed snem s. 70, Portret Babcia s. 72, Pośród ptaków s. 68;
- Kiereś Emil**: **Foto. Nr 10, s. 13**;
- Kijonka Tadeusz**: Talerz. **Nr 12, s. 3**;
- Kisiel Joanna**: Critica femina. **Nr 1, s. 64–65**; (rec.): Joanna Grądziel-Wójcik: Przymiarki do istnienia. Wątki i tematy poezji kobiet XX i XXI wieku. Poznań 2016;
- Kisiel Marian**: *Humanisci na Śląsku*: Profesor Elżbieta Dutka. **Nr 1, s. 40–42**; Miłosz Piotrowiak. **Nr 2, s. 40–42**; Anna Świeściak-Fast. **Nr 3, s. 38–39**; Dariusz Pawelec. **Nr 4, s. 40–41**; Marta Tomczok. **Nr 5, s. 40–42**; *Portrety Humanistów*: Profesor Agnieszka Czajkowska. **Nr 6, s. 40–42**; Profesor Józef Bańka. **Nr 7, s. 41–43**; Profesor Zbigniew Jerzy Nowak. **Nr 8, s. 40–42**; Elżbieta Wróbel. **Nr 12, s. 40–42**; Śląski pisarz Kazimierz Kutz. 16 lutego 1929 – 18 grudnia 2018. **Nr 1, s. 20–21**; „Poeta, szaman, błazen”. Zdzisław Tadeusz Łączkowski. 27 października 1926 – 30 marca 2019. **Nr 4, s. 64–65**; Krytyk w murach akademii. Krzysztof Wołowski. 3 maja 1967 – 6 grudnia 2019. **Nr 12, s. 36**; Fuga na trzy wiersze i żart. **Nr 2, s. 16–18**; Skamander płynię przez Śląsk. **Nr 12, s. 14–17**; Kot. **Nr 4, s. 3**; Czulość. **s. 15**; Jeź. **s. 14**; Maski mych oczu. **s. 15**; Pomorowy. **s. 14**; Powrót do domu. **s. 15**; Róże. **s. 15**; Wiatr. **s. 14**; Wrzosey. **s. 14**; Na brzegu morza. **Nr 8, s. 46–47**; Przel. Zygmont Krzyżanowski: Śmierć rzuca kości. Pantomima w trzech aktach. **Nr 1, s. 24–26**; Siergiej Andriejewski: Księga śmierci. (fragmenty, cz.3). **Nr 5, s. 44–46**; Piotr Wiaziemski: Stary notatnik (fragmenty). **Nr 6, s. 18–21**; Laozi: Daoeijing (sparafrazował...). **Nr 6, s. 46–47**; Wikentij Wieriesajew: Notatki na własny użytek. **Nr 7, s. 16–21**; Konfucjusz: Myśli (sparafrazował...). **Nr 7, s. 38–39**; Piotr Czaadajew: Fragmenty i różne myśli. **Nr 10, s. 20–25**; Bart Solomon: Pojedynek. **Nr 12, s. 24–26**;
- Kisiel Marian**: W holdzie miastu. **Nr 2, s. 66** (rec.): Częstochowa nasze miasto. Częstochowa 2018; Rozpad i trwanie. **Nr 4, s. 62** (rec.): Anna Węgrzyński: W świecie, który wciąż się rozpada. Lekturey prozy XX i XXI wieku; W świecie wiersza. **Nr 5, s. 67** (rec.): Janusz Pasterski: Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej. Rzeszów 2019; Na tyłach świata. **Nr 5, s. 62–63** (rec.): Anna Wzorek: „Na tyłach świata”. O poezji księdza Franciszka Kameckiego. Warszawa 2019; Różewicz wobec Boga. **Nr 6, s. 62** (rec.): Józef Maria Ruzsar: Mane, tekel, fares. Obrazy Boga w twórczości Tadeusza Różewicza. Bielsko-Biala 2019; Szkoła doktorska. **Nr 7, s. 61** (rec.): Dydaktyczna szkoła doktorska. Poznań 2018; Starszy brat. **Nr 8, s. 61** (rec.): Janusz Różewicz: Wiersze/Poems/Gedichte. Radomsko 2018; Kutz raz jeszcze. **Nr 10, s. 67**

- (rec.): Andrzej Gwóźdź: Powtórka z Kutza. Katowice 2019; Czytanie Szubera. **Nr 11, s. 61** (rec.): Alicja Jakubowska-Ożóg: „W ciało wzięty”. Szkice o poezji Janusza Szubera. Rzeszów. 2019;
- Kisiel Marian, Paweł Majerski:** Z drugiego brzegu. **Nr 3, s. 42–43;**
- Kleszcz** Martyna: Ogrody do zjedzenia. **Nr 5, s. 12–15;** Utracone raje kuracjuszy. **Nr 12, s. 10–13;**
- Kloch** Bogdan: Chronią historię regionu. **Nr 4, s. 11;**
- Knast** Alicja: Rozmowa z (...) dyrektorem Muzeum Śląskiego w Katowicach. Rozmawia Tadeusz Sierny. **Nr 4, s. 4–7;**
- Kobierski** Radosław: Niech żyją apokryfy. **Nr 5, s. 88;** Jazzowe Katowice. **Nr 6, s. 74–76;** Północny sztorm, półgotowe niebo. III Dni Transromerowskie. **Nr 6, s. 66–67;** Żarty na serio. **Nr 7, s. 75;** Szema Polin. **Nr 7, s. 44–46;** Ciało, historia, tożsamość. **Nr 8, s. 86–88;** **Nr 9, s. 80–82;** Dżem symfonicznie. **Nr 10, s. 32;** Krótki błysk. **Nr 10, s. 18;** Planeta Ars. IX Ars Independent. **Nr 11, s. 88–89;** Twarze przyszłości. **Nr 11, s. 35;**
- Koj** Jacek, Agnieszka Mucha, Maciej Mróz, Łukasz Sykała: Katowice – miasto globalnych wydarzeń. **Nr 1, s. 27;**
- Konfucjusz:** Myśli (sparafrazował Marian Kisiel) **Nr 7, s. 38–39;**
- Konopelska** Wiesława: Wielka „Traviata” na deskach bytomskiej Opery (G. Verdi: Traviata. Opera Śląska w Bytomiu 7.12.2018). **Nr 1, s. 88;** IV Międzynarodowy Konkurs Wokalistyki Operowej im. Adama Didura. **Nr 2, s. 75;** Festiwal Ave Maria – w tym roku po raz dwudziesty. **Nr 4, s. 74;**
- Koperska** Dorota: Foto. **Nr 6, s. 84, 85;** **Nr 10, s. 74–75;** **Nr 11, s. 79;** **Nr 12, s. 77, 78;**
- Koprowski** Damian: Rys. **Nr 11, s. 56, 57;** **Nr 12, s. 27;**
- Korusiewicz** Anna: Rys. **Nr 3, s. 58–59;** Obraz **Nr 11, s. 1. okładki;**
- Korusiewicz** Lech: Codzienna uważność ciała **Nr 2, s. 80–81;**
- Korusiewicz** Maria: Foto. **Nr 3, s. 12, 13, 44, 45, 46;** **Nr 7, s. 3, 15, 39;** **Nr 8, s. 46–47;** **Nr 9, s. 46;** **Nr 10, s. 58;** **Nr 12, s. 20, 21;** Rys.: **Nr 5, s. 45, 46;** **Nr 6, s. 44;** **Nr 7, s. 56;** **Nr 8, s. 39;** **Nr 10, s. 22, 24, 46;** **Nr 11, s. 45;** Żywioł ciemnej materii – impresja o malarstwie Krzysztofa Rzeźniczka. **Nr 7, s. 68, 69;** Stan wojenny, Bogucice. **Nr 12, s. 20–21;**
- Korusiewicz-Kowol** Agnieszka: O weganach, vegetarianach i zdrowiu. **Nr 5, s. 18–21;**
- Kotkowska** Joanna, Anna Gaitoer: *Notatnik Kulturalny*. **Nr 2, s. 82–87;** **Nr 3, s. 84–87;** **Nr 4, s. 84–86;** **Nr 5, s. 82–85;** **Nr 6, s. 80–83;** **Nr 7, s. 84–87;** **Nr 8, s. 82–85;** **Nr 9, s. 86–87;** **Nr 10, s. 84–87;** **Nr 11, s. 84–87;** **Nr 12, s. 80–86;**
- Kowalczyk** Katarzyna: We wnętrzu kaszalota. **Nr 4, s. 61** (rec.): Szczepan Twardoch: Królestwo. Kraków 2018;
- Kowol** Agnieszka patrz: **Korusiewicz-Kowol** Agnieszka;
- Kowynia** Dominika: Obraz **Nr 3, s. 1. okładki, s. 68, 69, 70, 71, 72;**
- Kozakowska-Zaucha** Urszula: Najpiękniejszy kraj. Kresy w malarstwie polskim ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie. **Nr 2, s. 68–72;**
- Kozina** A.: Repr. **Nr 10, s. 21;**
- Kraft** Martin: Foto. **Nr 10, s. 40;**
- Krawczyk** Stanisław: Brzeg (fragment powieści) **Nr 3, s. 44–47;**
- Krupa** Marcin: Katowice przyjazne rodzinom. XII Metropolitalne święto rodziny. Rozmowa z Prezydentem Katowic (...). **Nr 6, s. 11;**
- Krzyżanowski** Zygmunt: Śmierć rzuca kości. Pantomima w trzech aktach. Przeł. Marian Kisiel. **Nr 1, s. 24–26;**
- Kubanowska** Aleksandra: Indeks alfabetyczny nazwisk autorów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk” w roku 2018. **Nr 1, s. 83–87;**
- Kubasik** J.: Foto. **Nr 5, s. 69–72;**
- Kuczera** Piotr: Mówiąc jednym głosem. Z (...) Prezydentem Rybnika i nowym przewodniczącym Śląskiego Związku Gmin i Powiatów rozmawia Dominika Tkocz. **Nr 5, s. 35;**
- Kukuła** Agnieszka: „Exodus” w podróży od tradycji do współczesności. **Nr 4, s. 75;** „Śląsk” w Wilnie. Rok Stanisława Moniuszki. **Nr 5, s. 86;** Dni Hady-nowskie w stulecie urodzin założyciela Zespołu „Śląsk”. **Nr 10, s. 78–79;** „Śląsk” w Japonii. **Nr 12, s. 88, 3 s. okładki;**
- Kurek** Arkadiusz: Epitafium dla Ewy. **Nr 6, s. 39;**
- Kuźnik** Bartłomiej ks.: Twarzą w twarz. **Nr 6, s. 3;** Cudne chwile, Kursor, Prawo Marphyego, Wzrok. **Nr 6, s. 16–17;** Testament. **Nr 10, s. 3;** Czy wiesz, Klakson, Sen, Wiklina **Nr 10, s. 16–17;**
- Kwaśniewicz** Krystyna patrz: **Heska Kwaśniewicz** Krystyna.
- L**
- Labudra-Lis** Małgorzata, Judyta Ścigała: Wystawa na dworcu. **Nr 7, s. 76–77;**
- Laozi:** Daodejing. Sparafrazował Marian Kisiel. **Nr 6, s. 46–47;**
- Lapers** Gilles: Foto. **Nr 9, s. 25, 26, 27;**
- Latuszek** Ryszard: Foto. **Nr 1, s. 44;**
- Lazar** Stefania: Muzeum Saturn w Czeladzi. **Nr 4, s. 10;**
- Lenart** Agnieszka: W poszukiwaniu nowych znaczeń. **Nr 2, s. 65** (rec.): Piotr Fast: Uroki rosyjskiego. Szkice o książkach i pisarzach. Katowice 2018;
- Leśniewska** Lucyna: Posegregowani. **Nr 10, s. 26–28;**
- Lewczyński** Jerzy: Rys. **Nr 6, s. 86, 87, 88;**
- Lichecka** Małgorzata: Stanisław Słodowy – portret rzeźbiarza. **Nr 1, s. 30–33;** Żydy na Górnym Śląsku. Głosy z przeszłości. **Nr 3, s. 4–6;** Bohater czy krwawy działacz. 74. rocznica śmierci powojennego wiceprezydenta Gliwic – Tadeusza Gruszczyńskiego. **Nr 5, s. 30–31;** Legenda gliwicka na ścianie. **Nr 7, s. 35;** Karol Schabik – kreator Gliwic. **Nr 10, s. 80–82;** Ostatnia wielka polska saga. Doda Około-Kułał (Maria Polak) 1948–2019. **Nr 11, s. 77;**
- Lichecka** Małgorzata: Foto. **Nr 1, s. 30, 31, 32;**
- Linert** Andrzej: „Teatr Śląski” w tympanonie. **Nr 1, s. 76–77;** Teatralne stulecie Górnego Śląska. Z prof. dr hab. (...) rozmawia Dorota Rak. **Nr 8, s. 76–79;** Inicjatywy teatralne w powojennym Zabrze 1945–1959. 60-lecie Teatru Nowego w Zabrzu. **Nr 10, s. 10–12;**
- Lipowski** Wojciech: Rosemary: między rozpaczą a (nie) szczęściem. **Nr 5, s. 87** (rec.): Rosemary. Scena Kameralna Teatru Śląskiego. Katowice 2019; Znowu trzeba się przebudzić. **Nr 6, s. 84–85** (rec.): Stanisław Wyspiański: Wesele. Teatr Polski w Bielsku Białej 2019; Pozostał tylko strach. **Nr 7, s. 88** (rec.): Kurt Gerron: Fuhrer daje miasto Żydom. Teatr Śląski. Katowice 2019; W stronę spokojnego morza. **Nr 9, s. 75** (rec.): Dzień osiemdziesiąty piąty. Teatr Lalki i Aktora Wałbrzych LOT. Katowice 2019; Śląskie przypadki de Gaulle’a. **Nr 9, s. 74** (rec.): Marcin Melon: Skarb Generała de Gaulle’a. Teatr dla Dorosłych Bieruń LOT 2019; Widok z wnętrza samotności. **Nr 10, s. 74–75** (rec.): Beztlenowce. Teatr Polski Bielsko-Biała 2019; Kwartet na słowa, gesty i milczenie. **Nr 10, s. 35** (rec.): Martyna Majok: Koszt życia. Teatr Śląski. Katowice 2019; W poszukiwaniu wiecznej miłości. **Nr 11, s. 78–79** (rec.): Mistrz i Małgorzata. Teatr Polski w Bielsku Białej 2019; Ostatnia przestroga. **Nr 12, s. 76** (rec.): Timur Vermes: On wrócił. Teatr Śląski 2019; Kalinowe noce i dnie. **Nr 12, s. 77–78** (rec.): Zuzanna Bojda: Wyspa Kalina. Teatr Polski Bielsko-Biała 2019;
- Lis** Małgorzata patrz: **Laburda-Lis** Małgorzata;
- Lisiak** K.: Foto. **Nr 1, s. 22, 23;**
- Loch** Krystyna: *Na zawsze...* Śląsk musi należeć do Polski. Rozmowa z babcią o Powstaniach Śląskich przeprowadzona w latach 50. ubiegłego wieku. **Nr 5, s. 10–11;**
- Lubos** Barbara: Śląsk daje nadzieję. Z (...) aktorką teatralną, filmową i telewizyjną, związaną z teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia Grzegorz Cwiertniewicz. **Nr 9, s. 76–79;**
- Lubowski** Zbigniew: Czy warto wojować z operetką. **Nr 10, s. 60–61;** Uskrzydleni zapaleńcy. **Nr 11, s. 74–76;** Górską ekspresja w stylu country. **Nr 12, s. 58;** Gwiazdy spod znaku Alligatora. **Nr 12, s. 59;**
- Lubowski** Zbigniew: Foto. **Nr 10, s. 61, Nr 12, s. 58, 59;**
- Lyszczyna** Marek: Historia na wyciągnięcie ręki. **Nr 4, s. 13;**
- Ł**
- Łata** Katarzyna: Obraz. **Nr 11, s. 34**
- Łatosz** Monika: Jak mi Ciebie żal, Święty Krzyżu, Uczę się cierpienia. **Nr 3, s. 12–13;**
- Ławrywaniec** Arkadiusz: Foto. **Nr 6, s. 64, 65, 67;** **Nr 7, s. 45, 46, 75;** **Nr 9, 2 strona okładki, s. 34, 81, 82;** **Nr 10, s. 18;**
- Łopata** Łukasz: (przeł.) Linda Niemiec Foster: Kraje, które się o mnie upominają. **Nr 8, s. 11;**
- M**
- Maciuzkiewicz** Roman: Obraz. **Nr 5, s. 1 okładki;**
- Madej** Grzegorz, Teresa Dudek-Bujarek: Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej. Zamek książąt Sulkowskich. Fałatówka w Bystrej. **Nr 6, s. 50–51;**
- Majerski** Paweł, Marian Kisiel: Z drugiego brzegu. **Nr 3, s. 42–43;**
- Makarska** Anna: Skarby Pałacu Schoena. Judaika ze zbiorów Muzeum w Sosnowcu. **Nr 4, s. 20–21;**
- Malczewski** Jacek: Boginka w dziewanach. **Nr 11, s. 5;** W tumanie **Nr 11, s. 4;**
- Malicki** Jan: *Białe krutki*: Kono Bairei. Kachoga. Kwiaty i ptaki. **Nr 1, s. 78–79;** Listy Gustawa Morcinka. **Nr 2, s. 77–79;** Album Koła Polskiego w Parlamencie Niemieckim. **Nr 3, s. 82–83;** Gradum ad Parnassum. Feniksowa opowieść o Muzeum Śląskim. **Nr 4, s. 76–77;** Nanker. Dialogi wrocławskie z roku 1339 w trzech odsłonach. **Nr 5, s. 74–75;** Mała rycina z Fryderykiem Wielkim. **Nr 6, s. 78–79;** Corviniarium z Torunia. **Nr 7, s. 78–79;** Jasnogórskie księgi pątnicze. **Nr 8, s. 80–81;** „O honor Katowic”. Listy do Kazimierza Gołby o Wrześniu 1939 roku. **Nr 9, s. 84;** Odchodzący świat eklibrisu. **Nr 10, s. 77;** Sonety krymskie Stanisława Moniuszki. **Nr 11, s. 82;** Biedaszyby Maxa Steckla. **Nr 12, s. 73–74;**
- Malina** Michał: Dzieje Katowic to nasza wspólna historia. Z Włodzimierzem Kacem, przewodniczącym Żydowskiej Gminy Wyznaniowej, rozmawia Redaktor naczelny „Miesięcznika Roździeńskiego (...). **Nr 3, s. 7–8;**
- Małecki** Marian: Pszczyna militarna. **Nr 5, s. 49;**
- Mańska-Szulik** Małgorzata: Wypowiedź Pani Prezydent Zabrza Mańki Szulik dla miesięcznika „Śląsk”. XII Metropolitalne Święto Rodziny. **Nr 6, s. 12;**
- Markiewicz** Sebastian: Dzieciństwo. Szkic. **Nr 6, s. 22;** Z gier i zabaw. **Nr 6, s. 23–25;**
- Marzec** Henryk: Królowa króluje. **Nr 5, s. 4–5;**
- Melecki** Maciej: Nieczytelność tego świata-postaci nieobecności. **Nr 12, s. 48–49;**
- Michalak** Kordian, Anna Gaitoer: *Notatnik Kulturalny*. **Nr 1, s. 80–82;**
- Migdał-Drost** Alicja: Foto. **Nr 6, s. 51;**
- Miodek** Jan: *Śląska Ojczyzna Polscy*: O czym rozmawiałem z Kazimierzem Kucem w 1994 roku. **Nr 1, s. 36;** „Wyżgiernie błyskoł”. **Nr 2, s. 36;** Drzistać na rozmaite tematy. **Nr 3, s. 35;** Fuzelki. **Nr 4, s. 37;** Grzoli, godali i przoli. **Nr 5, s. 37;** Hanyki hnet dożrzejom na krzokach. **Nr 6, s. 37;** Onę chęć miłowac. **Nr 7, s. 37;** W podleszczyńskich Włoszakowicach o ...Wodzisławiu Śląskim. **Nr 8, s. 37;** Bóbr i inne śląskie rzeki. **Nr 9, s. 40;** „Pierońsko komedyjo” **nr**

10, s. 37; Ondraszku, Ondraszku... Nr 11, s. 37; „Przódki były we Wrocławiu”. Nr 12, s. 38 Opowieść o dzielnych Ślązaczkach. Nr 9, s. 66 (rec.): Jan Cofalka: Od Kopciuszka śląskiego do milionerki z Ustronia. Warszawa 2019;

Mioduszewski Piotr: Panorama zwierzęcego igryzka. Nr 12, s. 37;

Moll-Gerlich Lilianna, Marian G. Gerlich: Obywatel świata i Honorowy Obywatel Katowic. Z profesorem Andrzejem Jasińskim rozmawiają (...). Nr 9, s. 16–18;

Montewska Julia: *Śląskie tajemnice. cz. 13–24*: Na tropie skarbu z pałacu Minkowskie. Nr 1, s. 53; Piękno zakłete w baroku. Nr 2, s. 50–51; Agonia pałacu w Brzezince. Nr 3, s. 48; Sekret pałacu w Solcu. Nr 4, s. 50–51; Zmienne losy pałacu w Przyborowie. Nr 5, s. 50–51; Pałac skąpany w deszczu gwiazd. Nr 6, s. 52–53; Pałac w Rogowie Wołowskim. Nr 7, s. 52–53; Pałac w Wojciechowie Wielkim. Nr 8, s. 53; Pałac, w którym był Goethe. Nr 9, s. 53; W ciemni długiego domu. Nr 10, s. 50; Pałac w Pankowie. Nr 11, s. 50–51; Zamek w Miliczu. Nr 12, s. 56; Foto. Nr 1, s. 52; Nr 2, s. 51; Nr 4, s. 1 okładki; Nr 9, s. 2. okładki, 52, 53; Nr 10, s. 51; Nr 11, s. 50, 51; Nr 12, s. 56; Repatrianci przyjechali! Kolejowy wehikuł czasu wyruszył na zielony szlak. Nr 5, s. 24–25;

Mozgol Ryszard: „Pancerne skrzydła” W 75. rocznicę wyzwolenia Flandrii przez 1. Dywizję Pancerną gen. Stanisława Maczka. Nr 9, s. 24–27;

Możejko Piotr patrz: **Grella-Możejko** Piotr;

Mról Maciej, Agnieszka Mucha, Jacek Koj, Łukasz Sykała: Katowice miasto globalnych wydarzeń. Nr 1, s. 27;

Mucha Agnieszka, Jacek Koj, Maciej Mróz, Łukasz Sykała: Katowice miasto globalnych wydarzeń. Nr 1, s. 27;

Mutke Kacper: Przechylenie publiczna i kultura wizualna. *Rozmowy przed weekendem*. Nr 6, s. 4–9, 68;

Muzeum: Muzeum Śląskie w Katowicach. Nr 4, s. 32;

N

Nalewajka Tomasz: Foto. Nr 7, s. 76–77;

Nasiłowski Władysław Wojciech: Laudacja na cześć (...) Wygłosił Grzegorz Opala. Nr 10, s. 48–49;

Nawarecki Dariusz: Profesor Anna Hurnik. Nr 11, s. 40–43;

Nawrot Dariusz: Listopad 1918 roku w Zagłębiu Dąbrowskim. Nr 1, s. 4–7;

Niemczyk Stanisław: Mistrz Stanisław Niemczyk. Ze (...) rozmawiał Marek Skwara Nr 9, s. 20–23;

Niesporek Katarzyna: Gdzie jest las? O wyobraźni poetyckiej w „Związku zgody” Feliksa Netza. Nr 4, s. 44–47; Śląsk Utracony. O poezji Floriana Śmieci. Nr 9, s. 56–59; Czarne miasto. O śląskim wierszu Tadeusza Różewicza. Nr 11, s. 20–22; Poeta „absolutnej wrażliwości” Nr 6, s. 60 (rec.): ks. Bartłomiej Kuźnik: Więzy krwiste. Katowice 2019; Z perspektywy środka Nr 7, s. 62–63 (rec.): Krzysztof Sitwczak: Mediany. Kraków 2018;

Nowacki Dariusz: Olga Tokarczuk na Olimpij. Literacka Nagroda Nobla. Nr 10, s. 40–41;

Nowak Zygfryd: XXIV zgromadzenie narodów w sprawie klimatu – COP 24. Katowice. Nr 1, s. 28–29;

Nyga Roman: Obrazy. Nr 1, s. 47–51 Autoportret, Dziadkowie z wnukiem, Jezus, Miłosierny Chrystus na krzyżu, Mój świat, Na wierzchu lepiej, Tryptyk z podróży do Kolonii;

O

Ociepka Teofil: Obraz. Nr 12, s. 46;

Olshewski Tadeusz: Lato permanentne. Nr 9, s. 3; Iwazkiewicz, Kirchstetten 1991 i później, Pławienie koni, Rugia, Syberia, to już za. Nr 9, s. 14–15;

Opala Grzegorz: Laudacja na cześć Profesora Władysława Wojciecha Nasiłowskiego. Nr 10, s. 48–49;

Orzadowski Daniel: Rzyż umarł. Nr 11, s. 56–57;

Oslislo Marian: Przechylenie publiczna i kultura wizualna. *Rozmowy przed weekendem*. Nr 6, s. 4–9, 68;

Ostrowska Julia: Rys. Nr 1, s. 74, 75; Nr 3, s. 41;

P

Pacukiewicz Marek: *** Na zapleczu Lewiatana, *** Nic jest możliwe, *** Za budynkiem Urzędu Pracy Nr 1, s. 73;

Paczkowski Bogdan: Foto. Nr 7, s. 65;

Pałka Olga patrz: **Śląska Pałka** Olga;

Partyka Paweł: Francik, Gryjtka. Nr 10, s. 58–59;

Pasterski Janusz: Śląsk: wyobraźnia i poezja. Nr 5, s. 66 (rec.): Ewa Bartos: Miejsca (w) wyobraźni. Studia i szkice o poetach Górnego Śląska. Katowice 2019;

Paszek Jerzy: *Po-gwarki Profesora*: Biblioteka Narodowa ma sto lat! Nr 1, s. 58–59; Profesorowie piszą arcydzieła (O Eco, Myśliwskim, Saundersie) Nr 2, s. 58–59; Potomstwo rozbrykanego Pegaza (Tuwim, Barańczak, Oleszczyk). Nr 3, s. 60–61; Parabole, paradoksy, paralelizacje. Doktor Faustus Tomasza Manna w „BN”. Nr 4, s. 58–60; Tłumaczenie i wyjaśnianie dzieł Joyce’a. Nowy Ulisses i zagadki Finneganowego trenu. Nr 5, s. 58–60; *Pegaz dęba staje na półce trzeci raz. Czy ukaże się kiedyś bez błędów. Pamięci J.W.G.* Nr 6, s. 48–49; *Don Kichot* dla dorosłych i dowiecipnych. O tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa. Nr 7, s. 58–60; Mnemosyne Nadzieży. Wspomnienia żony Mandelsztama. Nr 8, s. 58–60; O „ę” i „ą” u Herberta. Dowcipy i ek(w)iwoki księcia poetów. Nr 9, s. 60–62; Wykłady Borowego o poezji Mickiewicza. Wspaniała księga odtworzona z rękopisów. Nr 10, s. 62–63; Trzy tomy Sztuki interpretacji. Literatura tkwi w letargu bez lektora. Nr 11, s. 58–60; Synteza literacka Anny Nasilowskiej. Siłaczka w pustyni i puszczy tekstów. Nr 12, s. 60–61; Gromba i turnulka w *Trans-Atlantyku*. Jak śmieję się (z nas) Gombrowicz? W 50. rocznicę śmierci Witolda Gombrowicza. Nr 7, s. 64–66; Ekspert budzący respekt. O stylu krytyka Jerzego Kwiatkowskiego. Nr 8, s. 44–45; Czytadło wyczarowane z brulionów. Druga duża powieść Dąbrowskiej. Nr 9, s. 43–45; Dzienniki Stefana Kisielewskiego. Czarny humor i bluzg. Nr 10, s. 44–45; Ile lektur tyle odkryć Nr 10, s. 66 (rec.): Marek Pichota: (Nie) zapominający czar arcydzieł Anonim, Barańczak, Camus. Katowice 2019; A(r)matoryz Gombrowicza. Nr 11, s. 66 (rec.): Przed i po. Witold Gombrowicz. Red. Józef Olejniczak. Kraków 2019;

Piszczek Jan: Foto. Nr 5, s. 23;

Picheta Martyna: Obszary wstydu. Z Joanną Ambroz rozmawia (...). Nr 3, s. 31–32;

Pichota Marek: Ze starych i nowych przykazyjek (2) Nr 3, s. 41; Ze starych i nowych przykazyjek (3). Nr 7, s. 29;

Pierończyk Ginter: Plecionka – opowieść o Załężu. Nr 9, s. 54–55;

Pietrucha Dariusz: *Historie pachnące betonem. Nr 4 do nr 15*: Styczińska historia Regelbau. Nr 1, s. 54–55; Kolos u wrót Dąbrowki Wielkiej. Nr 2, s. 52–55; Dwie marcowe rocznice. Nr 3, s. 53–55; Tam gdzie zaczęła się wojna. Nr 4, s. 55–57; Punkt oporu Radoszowy. Nr 5, s. 55–57; Schron zniszczony przez spadochroniarzy. Nr 6, s. 54–57; Dobieszowice – nasze pierwsze dziecko. Nr 7, s. 48–51; Schron „Sowiniec” – nagrodzony trud. Nr 8, s. 26–30; Miechowice – ballada o dziurze w ziemi. Nr 9, s. 48–50; Wzgórze 310, czyli atak Polaków na Niemcy. Nr 10, s. 52–55; Wzgórze 304.7 – architektoniczny eksperyment. Nr 11, s. 52–55; Budynek, który nie do końca był zwykłym budynkiem. Nr 12, s. 53–55; Foto. Nr 1, s. 55, 56, 57; Nr 2, s. 52, 53, 52, 55; Nr 3, s. 53, 54, 55; Nr 4, s. 55, 56, 57; Nr 5, s. 55, 56, 57; Nr 6, s. 54, 55, 56, 57; Nr 7, s. 48, 49, 50, 51; Nr 8, s. 26, 27, 28, 29, 30; Nr 9, s. 48, 49, 50, 51; Nr 10, s. 52, 53, 54, 55; Nr 11, s. 52, 53, 54, 55; Nr 12, s. 2 okładki; s. 53, 54, 55;

Podlaska Aleksandra patrz: **Rajnisz-Podlaska** Aleksandra;

Popczyk-Szczęśna Beata: Rozbrajanie dyskursów. O polskiej dramaturgii teatralnej. Nr 1, s. 74–75;

Poprawa Marek, Ireneusz Witek: Koty, kaplica i stół sekcyjny. Czy tutaj straszyc? Nr 11, s. 19;

Prejs Bogdan: chomik to ma klawe życie, derma taka sama od lat. Nr 12, s. 18, rico, serotonin, jutra dla nas nie ma. Nr 12, s. 19;

Pruszkowski Witold: Obraz. Niebezpieczne piękno. Nr 11, s. 5;

Pyka Henryk ks.: Między dwiema ojczyznami. Nr 11, s. 30–31; Zdumienie wypełniające ciszę. Nr 12, s. 4–5;

R

Rajnisz Podlaska Aleksandra: Rys. Nr 10, s. 39, 68, 69, 70–71, 72;

Rak Dorota: Teatralne stulecia Górnego Śląska. Z prof. dr hab. Andrzejem Linerem rozmawia (...). Nr 8, s. 76–79;

Rams Adrian: Jaworzno w roku 1918. Nr 1, s. 8–11;

Rosza Nick: Foto. Nr 6, s. 35;

Rzeźniczek Krzysztof: Julita na molo w Herinsdorf (obraz) Nr 7, s. 1 okładki;

S

Sadzikowska Lucyna: *130. rocznica urodzin Zofii Kossak*: „Mądra, dobra pani...” Z Janiną Żagan rozmawia (...). Nr 9, s. 31; Babcia. Z Anną Taylor rozmawia (...). Nr 9, s. 30; Znow tańczące z Kosakami. Z Joanną Jurgalą-Jureczko rozmawia (...). Nr 9, s. 29;

Safronow Georgij: Olej. Nr 11, s. 31;

Saloni Tadeusz: Powstańcy naprzód. Hymn Powstańców Śląskich. Nr 8, s. 3;

Sarna Paweł: Wspomnienia przy pergaminie. Nr 10, s. 19;

Sas-Jaworski Andrzej: Foto. Nr 8, s. 14–18;

Schmelter Roman: Rys. Lato. Nr 11, s. 15;

Sierny Tadeusz: Od Redaktora: Nr 1, s. 2; Nr 2, s. 2; Nr 3, s. 2; Nr 4, s. 2; Nr 5, s. 2; Nr 6, s. 2; Nr 7, s. 2; Nr 8, s. 2; Nr 9, s. 2; Nr 10, s. 2; Nr 11, s. 2; Nr 12, s. 2; Józef Górdzialek. 26 września 1928 – 27 stycznia 2019. Nr 2, s. 23; Hanys z Bagdadu Nr 3, s. 22–25; „Pamięć ku przyszłości” Nr 5, s. 68; Przechylenie publiczna i kultura wizualna. *Rozmowy przed weekendem*. Nr 6, s. 4–9, 68; Wspomnienie o myślicielu i autorze (Prof. zw. dr hab. Józef Bańka 7 lutego 1934 – 7 lipca 2019). Nr 7, s. 40; Galeria artystyczna Na Placu Grunwaldzkim w Katowicach. Nr 9, s. 35; Sniálnia, czyli Oneiron. Nr 11, s. 32; Tutaj znalazłem swój... Szyb Maciej. (...) rozmawia z dr inż. Zbigniewem Bareckim. Nr 12, s. 32–35; Odcinki od zapomnienia i zniszczenia. Nr 11, s. 68 (rec.): Zbigniew Barecki, Eufrozyna Piątek: Kopalnia Concordia i Szyb Maciej w Zabrze. Zabrze 2019;

Siwicz Krzysztof: Nowa powieść. Nr 3, s. 3; Mydło, Niewydarzony, Proxy, Wymóg. Nr 3, s. 18–19;

Siwek Ewa: Przejścia nie ma (foto). Nr 1, s. 34;

Skowronek Piotr: „A u ich boku cicha patriotka” Kobiety rodu Ligoniów. Nr 8, s. 14–18; Taki pomnik się nie zdarza. Z Iwoną Jantón rozmawia (...). O Krystianie Burdzie (1935–2015), grafiku, rzeźbiarzu, twórcy figur przestrzennych oraz budownictwa sakralnego. Nr 12, s. 6–8; Jak planuje się zbrodnię. Nr 11, s. 64 (rec.): Sonderfahndungsbusch Polen. Specjalna księga gończa dla Polski. Katowice–Warszawa 2019; Po co Karlikowi aparat? Nr 12, s. 66 (rec.): Henryk Grzonka: Stanisław Ligoń 1879–1954. Ziemia Święta w obiektywie Karlika z „Kocyndra”. Katowice 2019;

Skrond Lucja: Muzeum Parafialne im. Jana Sarkandra w Skoczowie. Nr 5, s. 23;

Skwara Bogna: Rys.: Nr 1, s. 12, 73; Nr 2, s. 19; Nr 3, s. 3; Byt wsobny. Nr 4, s. 42. Kamienica, Sól Nr 4, s. 43; Nr 6, s. 3, 16, 19; Nr 7, s. 17, 18, 21, 29; Nr 8, s.

- 38; **Nr 9**, s. 47; **Nr 10**, s. 16, 17, 27; **Nr 12**, s. 18, 19; 22, 23, 25, 26;
- Skwara** Marek: Wyzwalanie świętości miejsca. **Nr 2**, s. 56–57; Uthemann wczoraj i jutro. **Nr 3**, s. 49–50, 51, 52; Plac Dworcowy in statu nascendi. **Nr 4**, s. 22–24; Co by było gdyby. **Nr 5**, s. 54–55; Japońskie inspiracje. Toyota – między warsztatem a sztuką. **Nr 6**, s. 31–32; Centrum nad torami. **Nr 7**, s. 22–23; Mistrz Stanisław Niemczyk. Ze Stanisławem Niemczykiem rozmawiał (...). **Nr 9**, s. 20–23; Foto: **Nr 6**, s. 31, 32, 33, 34; **Nr 7**, s. 22, 23; **Nr 9**, s. 20, 21, 22;
- Skwarc** Wiktor abp: Szanowni czytelnicy miesięcznika „Słask”. Szanowni Państwo! XII Metropolitalne Święto Rodziny. **Nr 9**, s. 10;
- Snopczyńska** Konstancja: Pierwszy poetycki nomada. O Kazimierzu Nowaku. **Nr 3**, s. 56–57; Moje ciało musuje. **Nr 7**, s. 54–57;
- Sobotta** Piotr: O sztuce i niesztuce. **Nr 2**, s. 29–34; Obrazy. **Nr 2**, s. 33, 34; Ciało ¾, Ciało na stole, Ciało w kucki, Ruch, Taboret, Wielokrotny. Olej. **Nr 5**, s. 33, 34;
- Sokołowska** Janina Barbara: (Bez)powroty. wakacje na Wiskienicy, idąc w orszaku, Jasna strona wieczności, Między nocą, Pointa, Przeprowa przez Słudwie, Swojski klimat, Szmaragdy perły kamienie, Teleskop Hubble’a – rozważania metafizyczne,*** tęsknią za bliskim... **Nr 8**, s. 38–39;
- Solarska** Barbara: Opowieści, *** nie powiedziało się, *** zerwana w polu gałązka, *** z czubka świerku znad szyszek. **Nr 5**, s. 43;
- Sówka** Erwin: Obraz. **Nr 12**, s. 47;
- Suwiniński** Bartosz: Gdzieś zawsze jest. **Nr 3**, s. 66 (rec.): Jerzy Janiewicz: Puste noce. Stronie Śląskie 2017;
- Sykała** Łukasz, Jacek Koj, Maciej Mróz, Agnieszka Mucha: Katowice – miasto globalnych wydarzeń. **Nr 1**, s. 27;
- Staniek** Tomasz: Foto. **Nr 11**, s. 3, okładki;
- Stobiński** Janusz: Foto. **Nr 9**, s. 33;
- Stoga** Joanna: Obraz **Nr 12**, s. 1 i 4 okładki; Później. **Nr 12**, s. 22–23;
- Strumień** Jakub: Twarzą w twarz. Frazeologia. **Nr 2**, s. 19;
- Stuchlik** Zygmun: Olej: Fiat Via Regia. **Nr 11**, s. 32 Fiat lux. **Nr 11**, s. 33;
- Sworzeń** Marian: Czerwona katorga (frag.). **Nr 5**, s. 78–81;
- Styrylska-Gałażyn** Joanna: Olej: Manifest. Parabola **Nr 2**, s. 1 okładki, s. 88; Pejzaż miłosny, Zawodnicy. **Nr 2**, s. 3 okładki, Rys.: **Nr 2**, s. 45, 46; Rys. Atak. **Nr 6**, s. 45;
- Szala** Marcin: Foto. **Nr 8**, s. 6; **Nr 9**, s. 68;
- Szruga** Leszek: Limes. **Nr 11**, s. 3; Droga, Kosmici, Łąka. Na rymie się trzymie, Na wezwanie, Sekundy, Śmierć obcego, Tyle. Wspólnota, W luce, Wzajem, Z ojcem, Zaimki. **Nr 11**, s. 14–15;
- Szewczyk** Grażyna Barbara: O sztuce pisarskiej Serbołużyczanina Jurija Brezana. **Nr 9**, s. 64–65 (rec.): Dietrich Scholze: Jurij Brezan. Leben und Werk. Bautzen 2016; Fenomen Lou Andreas-Salome. **Nr 12**, s. 62–63 (rec.): Grażyna Krupińska: Sztuka staje się życiem, a życie sztuką... Poglądy estetyczne Lou Andreas-Salome w przestrzeni kulturowej końca XIX wieku. Kraków 2018; Silesiana. **Nr 12**, s. 67 (rec.): Śląska republika uczonych, Rocznik Łubowicki;
- Szewczyk** Wilhelm: Bierawka. **Nr 9**, s. 68;
- Szczepański** Henryk: Karnawał w dawnych Katowicach. Cz. II.: Kabarety, bale, brydż. **Nr 2**, s. 24–28; Karnawał w dawnych Katowicach. Cz. III.: Pożegnanie bachusowych mięsopustów. **Nr 3**, s. 26–30; Kamiénica Alojzego Potempy. Cz. I.: Dom słowa, muzyki i tańca. **Nr 4**, s. 28–31; Kamiénica Alojzego Potempy. Cz. II.: Dom słowa, muzyki i tańca. **Nr 5**, s. 26–29; Kamiénica Alojzego Potempy. Cz. III. Dom słowa, muzyki i tańca. **Nr 6**, s. 26–30; Stulecie śląskiej insurekcji. Zanim wybuchło pierwsze powstanie. **Nr 7**, s. 24–28; Stulecie śląskiej insurekcji. Cz. 2. Ludzie wydarzenia. Ślązaków powstanie pierwsze. 17–24 sierpnia 1919. **Nr 8**, s. 22–25; Stulecie śląskiej insurekcji. Cz.: III. Heroizm i szaleństwo. **Nr 9**, s. 19; Szkic do portretu pedagoga. Edward Czernichowski. **Nr 11**, s. 23–25;
- Szczęsna** Beata patrz: **Popczyk-Szczęsna** Beata;
- Szlapa** Krzysztof: Widokówki z miasta we mnie. **Nr 11**, s. 69–72;
- Sznajder** Jan: Towarzyszyć w bezdomności. Z Prezesem Koła Gliwickiego Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta (...) rozmawia Andrzej Jarczewski. **Nr 7**, s. 10–12;
- Szuba** Andrzej. Przel.: Walt Whitman: Piosenka w porze bżów. **Nr 2**, s. 3; Na poczet jako preludium. **Nr 2**, s. 15; Powrót bohaterów. **Nr 2**, s. 48–49; Widowisko na Broadwayu. **Nr 2**, s. 14–15; Charles Bukowski: Kupa śmiechu. Uśmiech zabójcy. **Nr 12**, s. 27;
- Szulc** Marek: Strefa otwarta w Bibliotece Śląskiej. **Nr 1**, s. 44;
- Szulik** Małgorzata patrz: **Mańka-Szulik** Małgorzata;
- Ś**
- Ściagała** Judyta, Małgorzata Laburda – Lis: Wystawa na dworcu. **Nr 7**, s. 76–77;
- Ślachciak** Krzysztof: Obraz. **Nr 11**, s. 36;
- Śląska-Pałka** Olga: „MK 94”. **Nr 10**, s. 1 okładki;
- Śnioszek** Magdalena: „Śląsk zawsze chciał być polski” wspomnienie o Henryku Wiośnie. **Nr 9**, s. 12–13;
- T**
- Tagore** Rabindranath: Gitanjali. Przel. Marian Kisiel. **Nr 5**, s. 76–77;
- Taylor** Anna Fenby: Babcia. Z (...) rozmawia Lucyna Sadzikowska. 130. rocznica urodzin Zofii Kossak. **Nr 9**, s. 30;
- TB**: IV Międzynarodowy Konkurs Wokalistyki Operowej im. Adama Didura. Koncert laureatów w hołdzie Stanisławowi Moniuszce. **Nr 4**, s. 88; Katowicki Art Naif Festival. **Nr 5**, s. 47; Lisowice – Śląski Jurassic Park. **Nr 4**, s. 25;
- Tkocz** Dominika: Mówić jednym głosem. Z Piotrem Kuczerą, prezydentem Rybnika i nowym przewodniczącym Śląskiego Związku Gmin i Powiatów rozmawia (...). **Nr 5**, s. 35; Z perspektywą samorządową. **Nr 11**, s. 39;
- Topolski** Feliks: Rys. **Nr 2**, s. 17;
- Topor** Bogdan: Rys. **Nr 9**, s. 3;
- TS**: Kultura Europy Środkowej. **Nr 11**, s. 36;
- U**
- Urbaniak** Michał Paweł: Aureole. **Nr 6**, s. 43–45;
- Uzsołk** Piotr: Wpływ kultury na wizerunek miasta. Inauguracja roku akademickiego 2019/2020 w ASP w Katowicach. **Nr 10**, s. 4–9;
- W**
- W hołdzie Bogusławowi Kaczyńskiemu. **Nr 3**, s. 78;
- Waniek** Henryk: Promieniowanie niezwykłego. **Nr 12**, s. 46–47;
- Warońska** Joanna: Duszo, coraz duszniej. **Nr 2**, s. 74;
- Wawerla** Długosz Sabina: Magiczna podróż w czasie. **Nr 4**, s. 80–83; Powroty. **Nr 5**, s. 3; Dwoje, Resztki, Z czasem. **Nr 5**, s. 16, 17;
- Wazowska** Olga: W hołdzie służbie i przygodzie. **Nr 4**, s. 26;
- Wcisło** Aneta: Zagłębiowska Mediateka. Modernizacja Roku i Najlepsza Przestrzeń Publiczna. **Nr 11**, s. 80–81;
- Whitman** Walt: Piosenka w porze bżów. Przel. Andrzej Szuba. **Nr 2**, s. 3; Na początek jako przechodzień, Powrót bohaterów, Widowisko na Broadwayu. **Nr 2**, s. 14–15, 48–49;
- Wiazemski** Piotr: Stary notatnik (fragment) Przel. Marian Kisiel. **Nr 6**, s. 18–21;
- Wiążik** Małgorzata: Foto. **Nr 11**, s. 42;
- Wieczorek** Dorota Przel.: Linda Nemeč-Foster: Dzieci imigrantów z Union School, Milcząca, Moje imię, Sen emigranta. **Nr 8**, s. 12–13;
- Wieriesajew** Wikentij: Notatki na własny użytek. Przel. Marian Kisiel. **Nr 7**, s. 16–21;
- Więcek** Krzysztof: Foto. **Nr 10**, s. 60, 61;
- Wilgusiewicz** Antoni: Kresowianie na Górnym Śląsku – między pamięcią a współczesnością. **Nr 3**, s. 20–22; Muzeum ostatniej nadziei. **Nr 11**, s. 49;
- Wilgusiewicz** Antoni: Odkłamywanie Lwowa? **Nr 6**, s. 63 (rec.): Lutz C. Kleweman: Lwów. Portret utraczonego miasta. Kraków 2019;
- Witalińska** Jolanta: Foto. **Nr 6**, s. 51;
- Witek** Ireneusz, Marek Poprawa: Koty, kaplica i stół sekcyjny. Czy tutaj straszyc? **Nr 11**, s. 19;
- Witos** Maria Przel.: Linda Nemeč-Foster: Doppelgänger. List z ostatniego miejsca na ziemi, Nagroda Nobla. **Nr 8**, s. 12;
- Witosz** Bożena: Mistrz. O Profesorze Aleksandrze Wilkoniu. **Nr 2**, s. 38;
- Wojcieszak** Janusz Lech: Foto. **Nr 9**, s. 69;
- Woźniak** Jerzy Lucjan: Ogrody. **Nr 1**, s. 3 Coś ze szpitala, jesień, O sobie, Pan Cogito docenia Pana Herberta, Podejmowanie decyzji, Polipy i ukwiały, Przyszła, Rozważanie zmiany, Sarna. **Nr 1**, s. 14, 15;
- Woźniak** Maciej: Dzienniki Sławomira Mrożka. W 6. rocznicę śmierci pisarza. **Nr 8**, s. 54–57;
- Woźniczka** Zygmun: Cud nad Odrą – czyli ewenement powstań śląskich (1919–1921). **Nr 8**, s. 4–7;
- Wyciślik** Karolina: I śmieszno, i straszno. **Nr 3**, s. 65 (rec.): Weronika Gogola: Po trochu. Wrocław 2017; Dzieci i ryby głosu nie mają. **Nr 8**, s. 66 (rec.): Łukasz Pilip: Podwórko bez trzepaka. Reportaże z dzieciństwa. Warszawa 2019;
- Wyciślik** Karolina: Czas Olgi. Literacka Nagroda Nobla. **Nr 10**, s. 42;
- Z**
- Zackowska** Jolanta: Obrazy wyszły na wolność. **Nr 6**, s. 86–88;
- Zackowski** Piotr: Zabite drzwi i umarłe okna. **Nr 1**, s. 35; Książka o śmierci. **Nr 11**, s. 46–47; Z dziennika. **Nr 12**, s. 43–45; Czego bacie potrzeba. **Nr 1**, s. 60 (rec.): Leonard Neuger: Wierutne bajki dla dorosłych dzieci. Kraków 2018;
- Zakrzewski** Tomasz: Foto. **Nr 6**, s. 1 okładki;
- Zamysłowski** Tomasz: Foto. **Nr 1**, s. 54, 55;
- Zaucha** Urszula patrz: **Kozakowska-Zaucha** Urszula;
- Zielińska** Agnieszka: Legendy miejskie straszą i bawią. **Nr 7**, s. 4–7; Malarz ulotnego kobiecego piękna. **Nr 7**, s. 74; Osiedla i kolonie patronackie na Śląsku i w Zagłębiu. **Nr 8**, s. 74–75; Wolnomularze w Zagłębiu Dąbrowskim. **Nr 9**, s. 85; Ci, którzy uprawiali sztukę królewską Wolnomularze na Śląsku i w Zagłębiu. **Nr 11**, s. 6–9; Planetniki, strzygi i wapiersze. **Nr 11**, s. 4–5; Mikołaj – najbardziej lubiany święty Wschodu i Zachodu. **Nr 12**, s. 9;
- Zielińska** Agnieszka: Foto. **Nr 8**, s. 74, 75; **Nr 12**, s. 2 okładki; 9;
- Zieliński** Marek: Przestrzeń publiczna i kultura wizualna. *Rozmowy przed weekendem*. **Nr 6**, s. 4–9, 68;
- Zimoń** Damian abp senior: O Zofii Kossak. 130. rocznica urodzin Zofii Kossak. **Nr 10**, s. 43;
- Zych** Adam. A.: Auschwitz w poezji Romów i Sinty. **Nr 1**, s. 66 (rec.): W. Ihrig, U. Janetzki: Die morgendammerrung der Worte... Berlin 2018;
- Ż**
- Żagan** Janina: „Mądra, dobra pani...” Z (...) rozmawia Lucyna Sadzikowska. 130. rocznica urodzin Zofii Kossak. **Nr 9**, s. 31.



Jedna z rzeźb prof. Adama Myjaka prezentowana na wystawie w Galerii Akademickiej ATH w Bielsku-Białej

